

Biblioteka
U. M. K.
Toruń

287879

Hulewicz

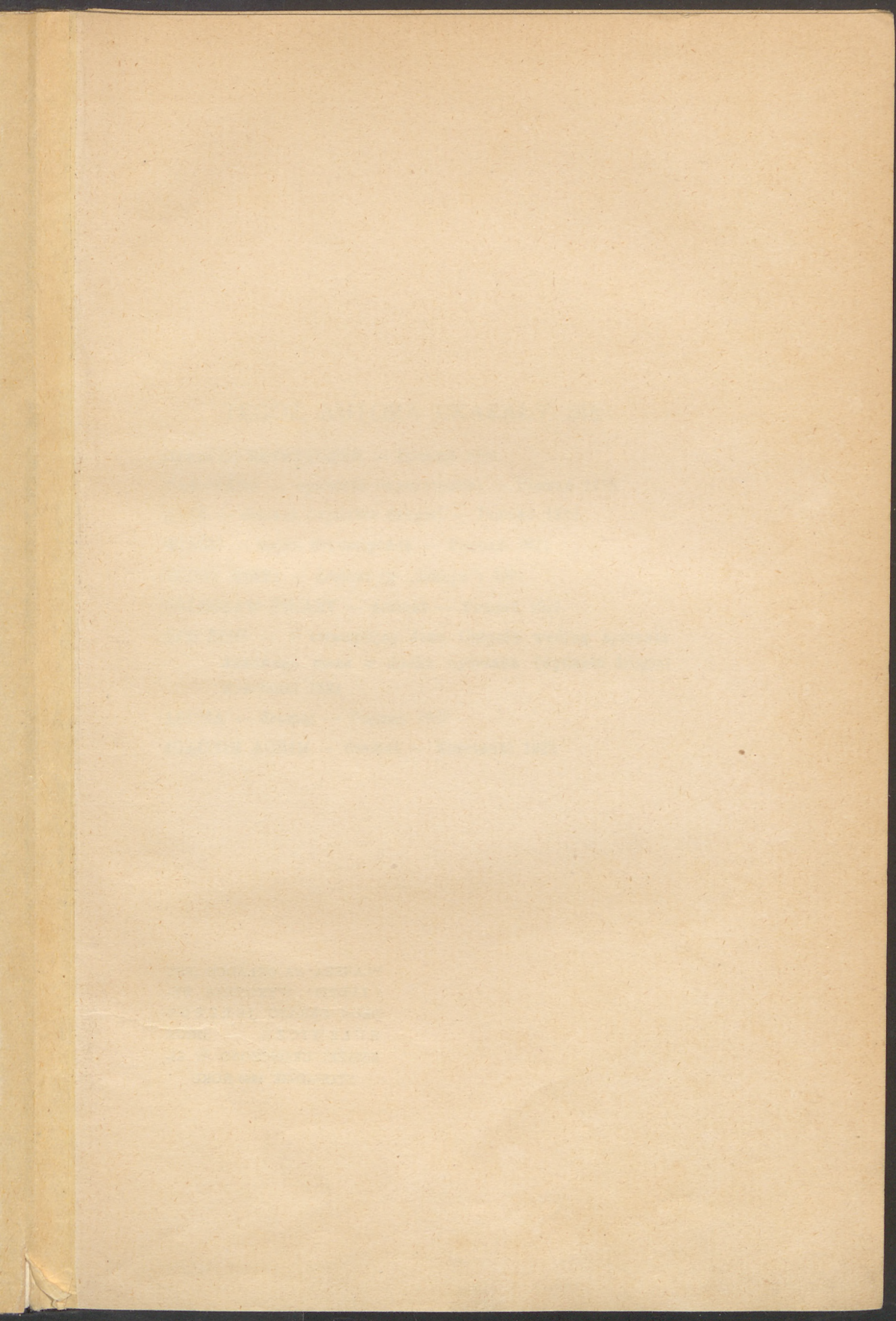
KRATERY



P S Y I L U D Z I E

J E R Z Y H U L E W I C Z

1 9 2 4



PLANSZA NA OKŁADCE „PSY
I LUDZIE” WYKONANA WE-
DŁUG OBRAZU JERZEGO
HULEWICZA. — DRUK
KSIĄŻKI UKOŃCZONO W LI-
STOPADZIE 1923 ROKU

TEGOŻ AUTORA UKAZAŁY SIĘ:

DJALOGI ESTETYCZNE — Poznań 1910.

SAMSKÂRA — opowieść (wyczerpane) — Poznań 1918.

KAIN — dramat (wydanie drugie) — Poznań 1920

WIANO — bajka dramatyczna — Poznań 1921

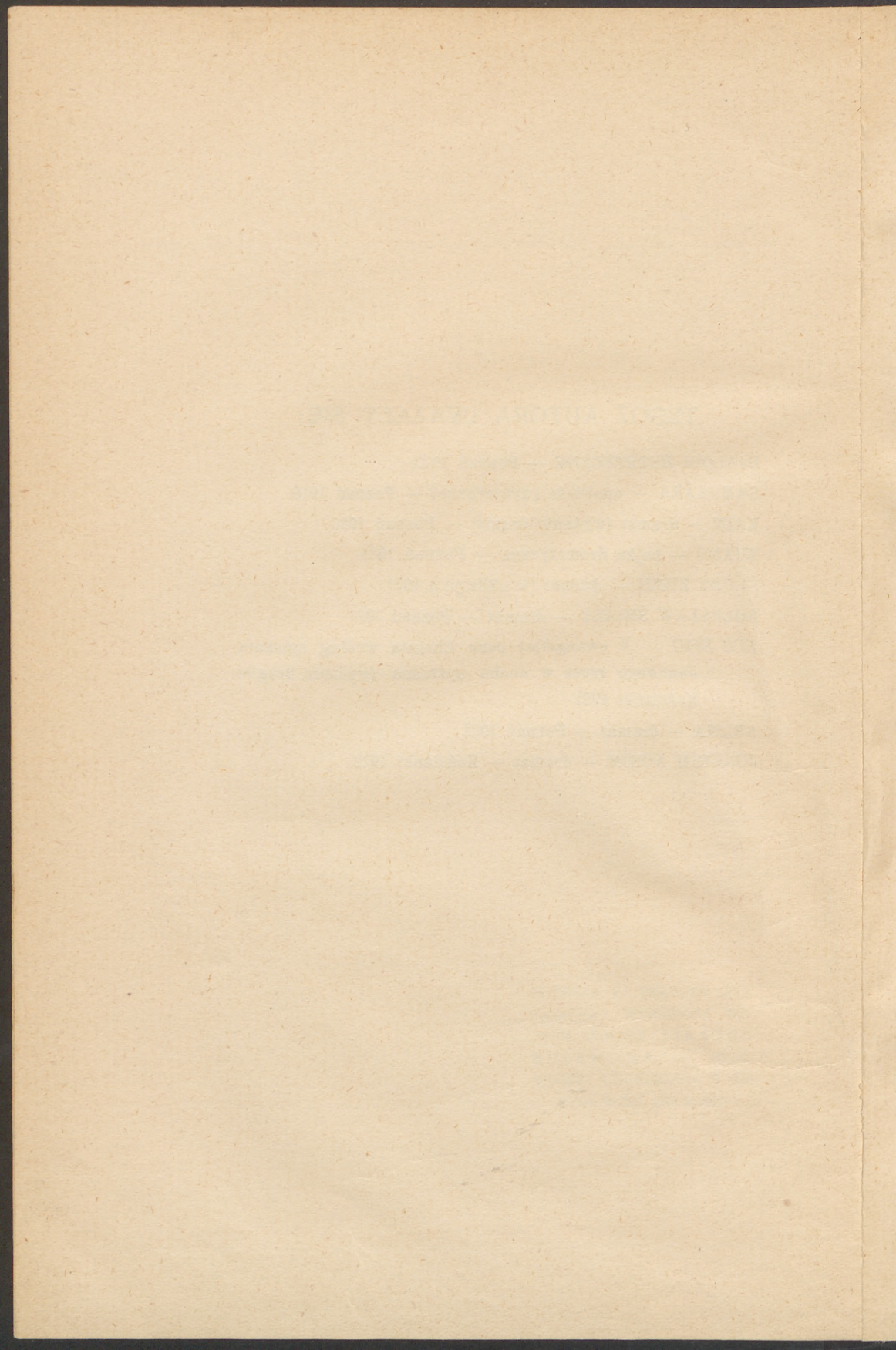
ŚLUBY ZIEMI — dramat (w „Zdroju“) 1921

BOLESŁAW ŚMIAŁY — dramat — Poznań 1921

ΕΙΩ ΕΙΜΙ — O ewangeljey Jezu Chrysta według spisania
Janowego rzecz w duchu uyrzana (wydanie drugie)
Kościanki 1921

ARUNA — dramat — Poznań 1922

JOACHIM ACHIM — dramat — Kościanki 1922.



KRATERY

KRATERY

771528

JERZY HULEWICZ

KRATERY

POWIEŚĆ

KOŚCIANKI — POZNAŃ 1924.

JERRY HILLWICK

KRATERY

POWIEŚĆ

287879



WYDAWCA: WYDZIAŁ WYDAWNICZY UNIWERSYTETU W TORUNIU

12.1446/57

I.

Mózgiem niezdzierzona przeżyć tajemnica i w nich zakłete poczyznań źródło...

Nieprzeorane ziemi pokłady święte są i dziewicze — nietknięte mózgiem ni dłonią...

Tajemnica Duchowi oddana jest; jest mu więc siostrzycą, jest kochanką.

Kazirodczy jest Duch — tajemnica przeto jego jest.

Jeden tylko płód jest błogosławiony: ten, co z tajemnicy wziął swój początek, aby wieczności stać się źdźbłem.

Szukaj tedy jeno mocy tej, która poczęła się z Tajemnicy i z Ducha — z siostry i brata, ku sromowi twojemu i na wspak wierzeniom twoim.

Szukaj zmylonem okiem oślepijącego światła, znaku wróżbnego, który w miłości sprzął kochanków dla nieustannego rodzenia wiecznych poczyznań.

Szukaj bezwładnemi kończyny ciągłej odmiany form nieuchwytnych, które zjawiskami są Ducha — i celem, i wyrazem...

Patrzaj w czeluść nieodgadnioną (mienisz ją poznaną).

Martwemi dłońmi ugniataj nieprzeoraną glinę. Miejże ułudę tworzenia formy nowej.

Ułudą żyj, gdy nie stanie ducha — i milcz.

Milcz jako niewiedzący — duchem jeno bowiem wiedzieć możesz.

Milczenia znamię niech spocznie na tobie, aż do chwili tej, w której ożyje w tobie żądza *Poznania*.

To objawienia pierwszy promień.

Błysk mniemanej rzeczywistości.

Ducha pierwotność.

Wzgardzonej bestji zaczątek.

Embrion formy.

Forma niewolnictwa.

Pół-forma.

Pół-zwierzę...

Zwierzę.

... Teraz siądź!

Sądź człowieka, który cię stworzył i którego tworzysz a który ciąglą jest ci zawadą.

Sądź naturę, z której czerpiesz życia odurzenie.

Sądź Boga, którego czcisz, jak czci oprawcę na rzecz wiedzione bydle.

Sądź i patrz... Patrz i sądz... Patrz w Nędzę.

W Nędzę patrz, która po wiele razy wymierzyła globu ostrość i okrągłość, która tłukła się długo po zaułkach zmęczonego miasta i ot pod drzewem przysiadła na ławie malowanej, opodal rozpustnego posążka... która tam przysiadła i zamieszkała w skulonym, zbłąkanym człowieku.

Nędza!

Nędza we mnie, skulonym na ławie człowieku.

Przyczaiła się — czuję — i jeno przez jamy oczne na świat ciemny wyziera — cicha, zimna, straszliwa w swem milczeniu, na mem licu chudemi palcami warg bolesne

skrzywienie znaczy, a raz wraz dreszczem trąca znękane moje ciało.

Z odrętwienia zbudziłem się, wewnętrznym targnięty wstrząsem.

Przycailę się.

Uszami łowiłem szmer wszelki i szelest rozproszony w nocnej ciszy.

Czekałem. Odliczałem czas, pulsem własnym czas odliczałem i tak trwałem...

Przeszedł ktoś — cień skulony przeszedł cicho. Długi cień podwójny, a skroś podwójny światła snop.

W skrzyżowanie smug świetlnych i cieni błękitnych wszylem wzroku swego tępe igły.

Mocowały się oczy z cienia potęgą i z potęgą światła.

Wreszcie oczy me uległy, nie zdzierżyły. Zwiesiłem bezradnie ramiona.

Zgasły latarnie. Znikł podwójny światła snop na wilgotnej, smutnej ziemi. Długi cień powtórzył się po wiele razy i wzdłuż i wszerz przekroił ziemi siną płaszczyznę, że w jednię ją zlał z ulicą całą, z uśpionymi domy i z niebem...

Zaskomlał pies opodal — pies zbłąkany.

Usłyszałem skomlenie, ja, człowiek skulony na ławie, człowiek zbłąkany.

Głos pokrewny — w duszy usłyszany głos.

Jęknąłem. Szedł bury pies po wilgotnej ziemi — szedł opodal skulony pies...

Zmylił zbłąkane moje czasu wyliczanie, tętno w żyłach unieruchomił, w żyłach człowieka, co to mierzył światła smugi, co w cieniu cienia szukał...

Wstałem i skuliwszy się w sobie, podążyłem za zbłąkanym cieniem psa.

Milcz jako niewiedzący — duchem jeno bowiem wiedzieć możesz.

Milczenia znamię niech spocznie na tobie, aż do chwili tej, w której ożyje w tobie żądza *Poznania*.

To objawienia pierwszy promień.

Błysk mniemanej rzeczywistości.

Ducha pierwotność.

Wzgardzonej bestji zaczątek.

Embrion formy.

Forma niewolnictwa.

Pół-forma.

Pół-zwierzę...

Zwierzę.

... Teraz siądź!

Sądź człowieka, który cię stworzył i którego tworzysz a który ciąglą jest ci zawadą.

Sądź naturę, z której czerpiesz życia odurzenie.

Sądź Boga, którego czcisz, jak czci oprawcę na rzeź wiedzione bydle.

Sądź i patrz... Patrz i sądz... Patrz w Nędzę.

W Nędzę patrz, która po wiele razy wymierzyła globu ostrość i okrągłość, która tłukła się długo po zaułkach zmęczonego miasta i ot pod drzewem przysiadła na ławie malowanej, opodal rozpustnego posążka... która tam przysiadła i zamieszkała w skulonym, zbłąkanym człowieku.

Nędza!

Nędza we mnie, skulonym na ławie człowieku.

Przycaila się — czuję — i jeno przez jamy oczne na świat ciemny wyziera — cicha, zimna, straszliwa w swem milczeniu, na mem licu chudemi palcami warg bolesne

skrzywienie znaczy, a raz wraz dreszczem trąca znękane moje ciało.

Z odrętwienia zbudziłem się, wewnętrznym targnięty wstrząsem.

Przyczailem się.

Uszami łowiłem szmer wszelki i szelest rozproszony w nocnej ciszy.

Czekałem. Odliczałem czas, pulsem własnym czas odliczałem i tak trwałem...

Przeszedł ktoś — cień skulony przeszedł cicho. Długi cień podwójny, a skroś podwójny światła snop.

W skrzyżowanie smug świetlnych i cieni błękitnych wszylem wzroku swego tępe igły.

Mocowały się oczy z cienia potęgą i z potęgą światła.

Wreszcie oczy me uległy, nie zdzierżyły. Zwiesiłem bezradnie ramiona.

Zgasły latarnie. Znikł podwójny światła snop na wilgotnej, smutnej ziemi. Długi cień powtórzył się po wiele razy i wzdłuż i wszerz przekroił ziemi siną płaszczyznę, że w jednię ją zlał z ulicą całą, z uśpionymi domy i z niebem...

Zaskomlał pies opodal — pies zbłąkany.

Usłyszałem skomlenie, ja człowiek skulony na ławie, człowiek zbłąkany.

Głos pokrewny — w duszy usłyszany głos.

Jęknąłem. Szedł bury pies po wilgotnej ziemi — szedł opodal skulony pies...

Zmylił zbłąkane moje czasu wyliczanie, tętno w żyłach unieruchomił, w żyłach człowieka, co to mierzył światła smugi, co w cieniu cienia szukał...

Wstałem i skuliwszy się w sobie, podążyłem za zbłąkanym cieniem psa.

Poprzez cień powszechny i poprzez milczenie szliśmy obaj zbląkami. Nocy powłoka w jedno nas złączyła, szliśmy, stopieni w siebie, jako mąż jeden, jako jedno zwierzę.

Jedna Nęcza.

Jedna Myśl.

Poznałem się. Psa oblicze ujrzałem w sobie.

Skomlenie w piersi usłyszałem, uczułem w sobie wieczne psa zbląkanie.

Któraś późną wybijał zegar godzinę na wieży, gdy bezwolnie klucz przekręcałem w drzwiach mego mieszkania, bolesny klucza zgrzyt przeszył mnie od zmęczonego mózgu, aż po zimne stopy.

Wszedłem do mieszkania i nasłuchiwać jałem a rozglądać się, jak złodziej, albo jak spóźniony z zakazanej wycieczki wyżeł, skarcenia winny i gniewu pana.

Nieutulony ból tęsknoty możniejszy wszakże był, niż lęk pokory.

Wszedłem do pokoju.

— Kto tu? — usłyszałem wyraźne warknięcie z niewiadomego kierunku. W kąt cofnąłem się. W mroku dwa blade oka spozierały bezmyślnie.

— Kto tu? — pytało coś głosem niesamowitym.

Odpowiedzieć chciałem, albo spytać, głos przecież ugrzązł mi w gardle.

— Kto tu? Kto tu? — pytał natarczywie głos, tłukąc się po głuchych ścianach, a mnożąc w dalekiej przestrzeni za oknami, gdzieś między murami uspiętego miasta.

Nagle — zda mi się — szczeknąłem!...

W odpowiedzi szczeknąć jeno zdołałem i przeraziłem się głosu własnego.

Kurczowym ruchem ręki zapaliłem żarówkę, lecz w tejże chwili zgasiłem światło pośpiesznie i odskoczyłem w bok. Serce młotem walić mi poczęło; czułem, jako włos mi się jeży a oczy przerażeniem świecą w czarnej nocy.

Patrzałem w znikłego obrazu przypomniany ślad.
Zjawisko w ciemni zniknęło.

Wielką wyteżyłem wzroku siłę, aż wypatrzyłem: w fotelu, przed biurkiem pies siedział, bury pies, kudłaty, zgarbiony pies... nad stołem zapisanego papieru pochylony pies.

Pisał, pisał...

Cicho warczał i pisał.

Po długiej chwili, po bardzo długiej chwili pies pióro odłożył i pilnie wlepił przyczajone ślepia w papier zapisany. Wreszcie jął czytać głośno: „... a kiedy twórcza niemoc cię oładnie w pełni woli i w pełni życia, zestrzelisz bezwolnie wszystko swoje chcenie w prawdę ukrytą w zmyleniu tęsknot człecznych. I już się życie twoje toczyć będzie po linii onego poznania, co wskaże błąd poszukiwań wyższych życia sfer, gdy niższe jeszcze nie są dopełnione.

I ujrzyś Nicość w Wszystkiem. Wszystko w Nicości. A wtedy rozpacz i żądza rozpierać będą twą jaźń i nad przepaści krawędź ją stoczą. Daremne wołanie traconej miłości, daremne słuchanie miłosnego szeptu.

Bo umiłowanej przez ciebie kobiecie padną na duszę słowa te: „Gdy ujrzyś dziewczkę czarnooką, której czoło białość hostji ci przypomni, zapragniesz purpurą hostję zrumienić, by miłość przemienić i włonić w swe życie życia dwa.“

Zawyje w tobie pies a człowiek w tobie jęknie i po raz pierwszy w tobie westchnie — Bóg...“

Pies urwał na chwilę czytanie, bolesne skomlenie do-
było się z mej piersi.

Pieczęć zapowiedzi wyciskano w tej chwili ogniem na mem czole. Pies zasię przy biurku westchnął, kart kilka przerzucił i czytał dalej:

„Tak spopielone kwiaty, kwiatom potomnym dają woń.

W narodzeniu śmierć, w śmierci narodzenie.

Jedno jest śmierć i jedno narodzenie: przemienienie.“

Chrapliwem warknięciem przerwałem nagle psa czytanie.

Coś mnie uniosło, że wyprężyłem się i poczułem, jak wyolbrzymiałem nagle do nieludzkich rozmiarów. Uniósł się pies jednocześnie i zawisł nad papierów stosem olbrzymi, potworny.

O krok postąpiłem wółprzymny, straszny, obłąkany; zwolna posuwałem się w stronę zjawiska, w stronę olbrzymiego psa, kudłatego psa, straszliwego psa.

Siebie w nim ujrzałem wyraźnie, siebie poznałem.

Jak ryś przyskoczyłem do biurka i oburącz przycisnąłem zwoje zapisanego papieru — drapieźnie, rozpacznie.

Szarpnął gwałtownie pies papierem wszystkim — nie ustąpiłem. Położył tedy łapy obie na papierów stosie i groźnie kły wyszczerzył, a krwawo lśnił oczami.

Sprzęgliśmy się wzrokiem rozszałłych bestji.

— Nie ja to pisałem! — krzyknąłem rozpacznie.

— Ty! Ty! — odszczeknął pies.

— Nie ja!

— Ty!

— Niecee!!

— Aa!...

W groźnem szczekaniu sprzęgły się dwa wrogie głosy i w jeden zwały się straszliwy skowyt.

Jako w ulicznym zaułku spotkane u celu wspólnego psy żrą się o sukę, tak żarły się dwie bestje twórcze,

czworo łap krwawych położywszy na spisany wspólnie tworze.

Nagle ucichliśmy obaj. Ślepią wzajem chcieliśmy wy-
patrzeć i takeśmy trwali długo — długo...

W krwią nabiegłym oku psa utonął wzrok człowieka
— mój obłąkany wzrok.

W małym krążku dwa krążki barwne promieniają
ku środkowi. Promyki, niby złote igły ruchliwe, drgające
bieżą do wspólnego środka i tam w ciemni toną.

Dreszcz zimny przeszedł me ciało, taki chłód szedł z o-
nego promieni ześrodkowania.

Błado i zimno tajemnica pozabytu jęła przyświecać
zawej, człowieczej źrenicy.

Miesiąca tajemnica.

Słońca oszukanie.

Przystani upragnionej złuda.

Spragnion byłem przystani, schronienia. Palil mnie żar
psich oczu; ożywczego chłodu miesiąca łaknąłem.

Ośrodek źrenicy zwolna w miesiąc się przemieniał.

Zmylone wargi witać jęły nieznaną modlitwą miesiąca
zjawę.

O! przystani ducha mojego! o! odpocznienie skołata-
nego serca!

II.

Przestałem pisać...

Skłóciły się ostatecznie skrzyżowania sprzecznych wzajem promieni i już jeno o przywrócenie, ha! o stworzenie poraz pierwszy harmonji kołatać mi a zabiegać!...

Lękliwość zmiennych a ustępliwych myśli przykaz stwarza urągliwy, że oto przymusza światel iglice do omijania się wzajemnego, a nici pajęcze i myśli szeroko rozpościera, iżby nie potraçały się w sprzeczności swej i zmyleniu.

Nieczęsto rzeczywistości wewnętrznej, biały dzień jest odbiciem żywym, są przecież chwilę nieklamane, a takie tylko samotności są udziałem... A czyż jestem sam? Bywało, że samotność, albo samotności przywidzenie dręczyły mnie niemal do rozpaczy; wszelako dziś samotności chcę, a zdobyć jej nie mogę. Nie jestem sam, bo oto pies zbłąkany towarzyszy mi, jako on cień nieustępliwy w promienny dzień lipcowy. Dusza ma zmęczona upalnością moich dni...

„Nie ja to pisałem“ — brzmi w uszach moich głos własny, a w ślad za nim psa wycie: ty! ty!.....

Przestałem pisać... Od dłuższego już czasu, cała moja praca dzienna skupiała się w przewracaniu manuskryptów, których wielką ilością zavalone było mieszkanie. Gorączka trawiła mnie i jakaś nieznana konieczność pośpiechu przy-

nagłała. Każdy nowy papier wydał mi się nowym wrogiem, wrogiem zapomnianym, który oto nieublaganą staje się rzeczywistością i przeciw mnie powstaje i tysiące we mnie rzuca sztyletów i wciąż zabija, choć nie może zabić.

Każda myśl z pyłu zapomnienia na światło dobyta, znów żywa się staje, i przeciw mnie jest i rachunku żąda i wytłomaczenia, a wszystko woła mi głosem zdławionym: rodzicielu! ojcze wyrodny! A ja nie wiem, zalim ja, czy ów pies je zrodził, który tam oto między papierami cieniem tłucze się, zjawiając się i znikając na przemian.

Przychodzą chwile, w których myśl układa się w harmonijne sploty, że za dotykem jednej, wszystkie jednaki czynią ruch. Zgodność jest i układność, iż przykazanego ładu nie mąci nic. Aż oto strzeli nagle myśl zuchwała, uderzy w tarczę pajęczej tkaniny, spłoszy i zmyli osiadłe tam myśli, a wplecionemi zdradnie światła promieniami zadzwoni rozgłośnie. Tak było dnia pewnego: na odgłos dzwonka, warknął sennie czujny we mnie pies — aż wtóry dzwonek całą przywrócił mi rzeczy świadomość.

Poszedłem drzwi otworzyć. Gość nieznaną. Za ledwie widzialna sylwetka zgarbionej postaci; cofnąłem się do pokoju, zapraszając przybysza, który wszelako nie kwapił się, ale jął się szamotać w ciemnym przedsionku, coś dogadując komuś, a czyniąc hałas osobliwy. Coś biło skrzydłami po ścianach i podłodze, przybysz zaś wykonywał ruchy niespokojne, a przemawiał w nieznanym mi języku. Wreszcie zadyszany wszedł do pokoju, niosąc pod pachą bociana. Ptak wydał mi się ogromnych rozmiarów, jako że ściany mojego mieszkania ciasne były, że gdy bocian złężniony skrzydła rozpostarł, to i zamiótł niemi po całym pokoju.

Zdziwony patrzałem na przybysza. Mały, skulony w sobie staruszek postawił bociana na ziemi; trzymając ptaka oburącz, czynił wrażenie poskromiciela dzikiego zwierza, którego niezupełnie jeszcze jest pewny.

Starzec mrugnął mi przyjaźnie.

— Złamane skrzydło — rzekł w moim języku — poratować trzeba. Sąsiedzi pańscy, których o pomoc prosiłem, wyśmiali mnie; pan nie odmówisz... poratować trzeba.

Nie czekał odpowiedzi, wsunął ostrożnie bociana w kąt, zastawił krzesłem i jał opatrywać nadwyreżone skrzydło. Gdy skończył dość długi opatrunek, przystąpił do mnie i rękę uściśnął. Siedliśmy i długim opowiadaniem starca o przygodzie z bocianem zawiązała się nasza pierwsza znajomość. Ozwał się przybysz:

— Jestem Achiman, człowiek, który zastukał do drzwi człowieka po ratunek dla zwierzęcia. Nie czynią ludzie dobrze ludziom, bo żadnem stworzeniom dobrze czynić nie nauczyli się, a dobrze czynić, to nie sobie, a im. Tak oto być ma, a tak nie jest, więc źle jest, jak jest... Dwóch gości masz przyjacielu, ale względem jednego tylko obowiązek, jemu nie odmówisz.

— — — — — Wkrótce Achiman znikł mi z oczu, bocian pozostał u mnie.

Słowa sędziwego Achimana, brzmiały mi w uszach jak proste, miarowe uderzenie młota o kamień, z którego rzeźbiarz zwolna wyczarowuje przedziwne kształty swego kunsztu. Oto nowe uderzenie o twardość mojej duszy; zdało mi się, że ów ptak nieszczęsny myśl moją uskrzydlił.

Przed długie dni słotne przewracałem w papierach, a stos przeznaczony na spalenie rósł i rósł, a za oknem dął wicher żaloszny, a w szyby zacinał deszcz.

W szarej mgle sunął pies zblakany i tłukł się po ciemnych miasta zaułkach.

Uszedł.

Strwożony bocian w bezruchu oczekiwał pierwszego zimy zmrożenia, a smęt niesamowity dławił mnie odtąd złowróźbny, a uparty. Achiman nie zjawiał się, choć był obiecał odwiedzić mnie wkrótce. Głęboko wświdrowało się we mnie dziwne spojrzenie siwych, łzawych oczu osobliwego starca, utrwało gdzieś na wewnętrznym transparencie cień obłądnego psa i zapatrzonego w siebie, w zdrętwieniu oczekiwania ptaka wiosny. A zima szła i już jej tchnienie kości me przenikało.

Zwolna sam już popadałem w smęt niewiadomego czekania...

III.

Straciłem poczucie czasu. Czulem zerwanie się wielu nici, które zdały się dotąd tworzyć jeden splot dążeń. Czyżbym nagle w wszystkich rozszczepiał się kierunkach? Poczucie czasu jest bądź co bądź pewną umiejętnością przystosowania się do narzuconego z zewnątrz rytmu. O! nie ono jedno! Wszystko dziś życie nasze jest poczuciem narzuconego rytmu i zda się, że stąd tak trudno odnaleźć rytm wewnętrzny.

Nie zaczynamy u podstaw, ale u szczytów urojonych zdobyczy, które stały się już nieodwołalnym przykazem. I oto czuję zmylenie wewnętrzne: jak straciłem poczucie czasu, tak snadź wyzbyłem się poczucia przykazu.

Jedyny ratunek, to odnalezienie podstaw i budowanie zasię od początku, a potem... potem uczynienie rachunku i — ostateczne porównanie...

Konieczność tę odczuwam coraz wyraźniej i wiem, że do niej się zbliżam party jakąś siłą, której jeszcze nie znam. Żeby jednak móc zacząć od początku, żeby móc zakładać fundamenty, muszę umieć samego siebie określić w stosunku do wszystkiego, co mnie otacza, bez względu na czas i przestrzeń i bez względu na zmysłową doświadczalność zjawisk. A więc znów poczucie przestrzeni (oprócz poczucia czasu) — a zasię poczucie sprawdzianu zjawisk...

Czuję, że aby stworzyć w sobie świadomość rzeczywistości pozazmysłowej, wyzbyć się wpieryw muszę tych wszystkich nawyknień, które wtłoczyły mnie w ogólne ko-
 ryto zmylenia — tak! zmylenia, jako że wszystkie sprawy-
 dziany z zewnątrz do mej świadomości docierają — tylko
 z zewnątrz!

Jeżeli więc przeznaczono mi wyzbycie się całego szeregu poczuć po to, iżbym wreszcie wszedł na drogę zdobywania poczucia wewnętrznej rzeczywistości — to poczułem oto teraz pierwsze dokonanie się przeobrażenia wewnętrznego, które zda mi się oknem na świat nowego życia — oknem rzeczywistości wewnętrznej.

Pierwsze, grubo ciosane narzędzie, to ciężki taran, bijący w twardy mur pewszecznego zmylenia. Skruszone we mnie poczucie czasu! ten pomocniczy miernik dla skarłonego mózgu, którego praca nigdy za pracą ducha podążyć nie może. Pierwszem zaś zjawiskiem utraty poczucia czasu zda mi się zupełna w tej chwili niemożność skojarzenia poszczególnych przeżyć i ustosunkowania ich wzajem w przestrzeni i w czasie.

Wszelako do nowej tej pracy, władze mózgowe i czuciowe jeszcze przyuczone nie są, ale zdolają już pochwycić wytyczne białe kamienie, które niekiedy świecą w ogólnym mroku.

..... Darjusz... Olga..., a zasię Tymon, imię, którem mnie obdarzono... tak! Tymon... a oto znów Darjusz... Olga... i wreszcie Achiman...

Kiedy ostatni raz rozmawiałem z niezrównanym Darjuszem? kiedy Olę widziałem i napawałem się jej słodką drapieżnością łasicy? Kiedy topniałem pod spojrzeniem nieznanego przybysza, który mi przyniósł ptaka ze złamanym skrzydłem?



O! czai się cień zbląkanego psa, a opodal bocian trwa w bezruchu, w dreszczu oczekiwania pierwszego zimy zmrożenia.

Olgo! Olgo! Jak odmienne twoje spojrzenie! jak nieczuły uśmiech twój łasiczy! Darjusz! teraz oto i twojej mądrości oddech zaprzeć się musi!...

Przekonamy się! nie zawiódł mnie nigdy Darjusz, ale czy teraz sprostą zadaniu? Z tem pytaniem na ustach co dnia zaczynałem prace przrzucania, niszczenia lub układania manuskryptów, a kończyłem ją postanowieniem pójścia zaraz do mieszkania Darjusza. W mieście pono rewolucja; nijak przedrzeć się przez barykady, a zbyt długie przebywanie w zgiełku, w walce, wśród wystrzałów i wybuchów bomb łatwo zniweczyć może wewnętrzne skupienie, które zdobyłem z takim trudem. Przeciwności strzedz mi się! nawet choćby kosztem najbliższych powierników myśli i uczuć, nawet kosztem przyjaciela, nawet kosztem... Olgi! ha! i kosztem samego siebie... A jednak... Pójdę! pójdę! bo pójść muszę, jeno przeczekam natłok walczącego motłochu i natłok walczących myśli i spienionych żądz w przymuszanej świadomości własnej.

Przeczekam! Ha! ha! znów poczucie czasu? nie czekać więc, nie skracać czasu, ani go przedłużać... nie pracować nad zmianą czegoś, co nie istnieje, nie wysilać się nad zmianą urojenia!...

Postanowiłem zaraz pójść do Darjusza. Natłok myśli wszelkie, nawet najcodzienniejsze chcenie zda się osłabiać. Jakaś potężna fala sił nieznanymi czyni nacisk na wolę moją i udaremnia jej samodzielność. Potężny zgiełk zbitej masy ciał, ludzkiej woli, rozpacz i wyuzdania...

Rewolucja! Mury — zda się — skrzyły się w swych posadach, a śniedzią czasu pokryte dachy i mchem brodate ich zagiecia i złamania w rozkołysaniu ogólnem chwiały się i obracały na wsze strony, pełne niepokoju, a zdziwienia. Spojrzałem przez okno. Tysiące głów ludzkich, tysiące rąk i pieśń złowroga i klątwy piana i krew. Oto wszystka skolatana myśl moja wyległa na ulicę i woła swoich praw, jeno braknie jej umienia i woli i mocy.

Przeto włóczy się, jako on pies zbłąkany i obnosi bezsilną swą klątwę i wygraża, a pluje krwią w wszystkie ścieki miasta.

— — — Po długiej, bardzo długiej chwili tłum rzednąć począł, powoli unosząc złorzeczenia w inną miasta dzielnicę.

Długo stałem wpatrzony w pustkę dalekiej ulicy, chłodząc żywy puls czoła o zimną płytę szyby. Porwałem się, by pośpieszyć do Darjusza.

Ulica istotnie pełna była czadu i cichego niepokoju. Kamienie pono ożyły, bruk skakał, niby klawjatura pod uderzeniami niewidzialnych palców, drgających w konwulsji, chodniki i ścieki wiły się, jak węże, purpurą świecąc, a latarnie uginały się smutnie pod ciężarem ciał ludzkich, zwisających żałobnie ku ruchliwym kamieniom bruku.

Jakiś upiór skrzydlaty przeleciał w poprzek ulicy, zaśmiał się przeraźliwie i znikł...

Cisza. Ulica czadu pełna była i cichej trwogi.

— — — Czy Darjusza zastanę w domu? On społecznik, to i krew wspólnie pije pewnie. Ujrzałem twarz przyjaciela obryzganą krwią, twarz bladą, spokojną, smutną, a jednak koło ust krwią zwalaną.

Oto marmur w swym spokoju i kamiennej mądrości, zawsze zimny — pierwszy raz ogrzany ciepłą, świeżą krwią.

Nie! Nie! ta krew ogrzać twarzy tej nie może! nie! krew na obliczu zimnem już stygnie, zanim zdola się osadzić, czarna, skrzepła krew dokoła ust Darjusza. Otrząsnąłem się, przyspieszyłem kroku.

Znów tłum ten sam. Zbita masa ludzkich ciał, tysiące głów i kadłubów współobnażonych, tysiące rąk, tysiące przekleństw...

Ulica rżęży krwawym oddechem zemsty.

Straszliwe rewolucji spojrzenie pomnożone w miliony nienawistnych oczu, z których krzyk opętańczy rozdzierał powietrze i wnikał do uszu kołysanych wichrem wisielców, to znów w miliony iskier rozrzucone spojrzenie owo układało się w jedno łzawe oko, pełne żalu, bólu i mądrości. Zrozumiałem; wielka mnogość spojrzeń, sprzeczność w jedności.

Ulica pełna była czadu i cichego niepokoju.

Aż oto niespodzianie jasność cicha przemknęła się w szarości tej powszechnej i uczyniła spokój wśród skaczących kamieni, zatrzymała w ruchu domy, mury, dachy, purpurę ścieków zamieniła w odbłask nieba, a wiszącym trupom zdała się nucić cichą pieśń pokoju.

Jasność przesunęła się w szarości tej powszechnej i znikła.

Zrozumiałem: spojrzenie oczu mi nieznanych. Zastłoniłem twarz i ujrzałem białość nieskałaną dziewiczego tchnienia, pośród spienionego morza krwi.

Postać znikła.

Biegłem ulicami miasta i już nie pomnę, co widziałem i słyszałem, wiem tylko, że śmiertelnie zmęczony doszedłem do mieszkania Darjusza.

Zastukałem i wszedłem.

Darjusz!

Z przerażenia osłupiałem.

Ujrzałem przyjaciela w pośrodku pokoju stojącego w bezruchu, straszliwie skrzywionego, z białą jak kreda twarzą, obryzganą krwią dokoła ust szeroko otwartych. Miast spokoju kamiennego i dostojnego smutku — przerażenie, rozpacz, lęk.

— Więc tak! więc tak! — szeptałem prawie bezwiednie i tak staliśmy długą chwilę naprzeciw siebie.

— Tymon! — wrzasnął nagle Darjusz.

Nigdy tego głosu z niego się dobywającego nie znałem, nigdy tego niepokoju...

— Więc tak! — powtarzałem uporczywie i nic więcej powiedzieć nie zdołałem.

— Czego tu chcesz!? — zawołał znów przeraźliwie Darjusz — ty tutaj? ty? ty?

Zachwiał się i padł na podłogę z łoskotem.

————— Późna była już noc, gdy Darjusz otworzył oczy. Nieruchomie leżał na łóżku, tak jak go położyłem. Długo patrzył w sufit, poczem wzrok jego na mnie spoczął. Równocześnie palcami zaczął wodzić po swej twarzy, znów spokojnej, białej, kamiennej, jak dawniej. Snadź szukał krwi dokoła swych ust, uśmiechnął się blade. Twarz obmyłem poprzednio.

Darjusz zasnął, czuwałem do białego dnia.

IV.

Głęboka udręka błąkała się po obliczu Darjusza. Długie jego palce niespokojnie posuwały się po szklistej płycie mahoniowego stołu, a ciężkie słowa dobywały się z ust jego.

— I ty, Darjusz! — wyjąknąłem prawie bezwiednie. On smutnie na mnie popatrzył i zapłakał.

Po dłuższej chwili jał mówić przed siebie:

— Społeczność to zwierzę krwi żądne. Namiętności nie oparłem się... uległem manji społecznej!

Sądziłem ożywić martwą teorię własną, tę którą zwałeś zawsze jedyną mądrością, z którą w życiu się spotkałeś... Tak! Sądziłem życiem ją potwierdzić, własnem życiem, czynem... Co zaś uczyniłem?... potwierdziłem ją śmiercią, zabiłem człowieka!...

— Jednego człowieka? — zapytałem głucho, nie żądając odpowiedzi. Darjusz twarz ukrył w dłoniach.

— Społeczność to zwierzę krwi żądne — mówił ponuro — społeczność była mi bożyszczem, sługą jej czułem się... ona mi wcisnęła mordercze narzędzie, a ja je wcisnąłem tłumom i oto mordują się, a nikt nie wie o co, nikt nie wie w imię jakiego hasła...

Wołają, wywieszają hasła, ale nie wiedzą, nie wiedzą... i lepiej, że nie wiedzą!...

Zabiłem człowieka własną ręką! Zabiłem setki ich rękoma. Zabiłem i jeszcze zabijam!...

Szyderstwem rozjaśniła się nagle twarz Darjusza.

— I śmiercią ożywiłem martwą mą teorję!

Darjusz umilkł nagle, głucho zapanaowało milczenie, i ja słowa z siebie wydobyć nie mogłem.

Nagle zrumienił się mrok ciemnej już komnaty; ujrzałem twarz przyjaciela w pełnym blasku krwi, oczy szeroko otworzył, dwie gorejące świece, bólem iskrzące.

Darjusz patrzył w miasto.

Požoga.

Z ciemnej, ogniem rozdartej dali dolatywał bolesny miasta gwar.

Strzały!

Głucho detonacje!

Krzyki, jęki, przekleństwa...

Darjusz stanął przy oknie i zaśmiał się dziko poczem ogarnął go widoczny spokój.

Jął mówić sucho obojętnie:

— Praca moja wydaje plon.

Wczoraj w nocy padło hasło. Maski precz odrzuciliśmy. Jawność zwyciężyła. Ruszyliśmy! Tłum za nami, padło nas stu, padło tysiąc! zwyciężyliśmy! ruszyliśmy dalej — tamtych trupami miasto zasłane. Upojony byłem zwycięstwem. Szał mnie ogarnął. Ruszyliśmy dalej. Zawrzała znowu walka, już nie z żołnierzami, ale z obywatelami miasta, byli mężczyźni, kobiety były i starcy i dzieci. Ideji kładli życie swe w ofierze i my też... my i oni. My zwycięscy, oni pokonani.

Rzeź! Parłem naprzód! Wszystko kładło mi się u stóp pokotem, choć nie dałem ani jednego strzału. Czulem jako

życie ludzkie kłania się mojej idei, mojej teorji, powołanej do życia.

Byłem z szczęścia nieprzytomny.

Aż dopiero stawil mi czoło człowiek zuchwały; stanęliśmy pierś w pierś. Strzelił — chybił! Strzeliłem! Przeciwnik zwałił się do mych stóp. Coś mną targnęło! ruszyłem dalej. Aż nagle stało się coś dziwnego:

Przez mgłę ujrzałem piętrzący się stos dziecięcych ciał i ciał zrozpaczonych kobiet, męża nie było żadnego. Może to był ostatni którego zabiłem przed chwilą?!

Nagle ów żywy czy martwy wał dzieci i matek wystrzelił tysiącem rak ku niebu, niby bukiet rozpaczy. I tysiąc ramion wyniosło ponad nasze głowy zgrzybiałego starca, o karlim wyglądzie.

Wiatr biały włos jego rozsypał wokół starczej głowy jasną aureolą. Cofnąłem się, bo oto postać ta niezwykła poczęła rość do rozmiarów niewidzianych i zdała się nas przytłaczać swoim ogromem.

Był to sędziwy żyd niewiadomy. Nagle przeszył mnie wzrokiem tak nieziemskim, że mi broń z ręki wypadła i już tylko w oczy jego patrzałem i czułem, że moc wszystka mnie odeszła.

Starego żyda niosły zrozpaczone ręce matek i dzieci.

Nagle wydało mi się, że wycie atakującego tłumu przycichło, jakoby moc jakaś nad rozjuszoną tłuszcza zapanowała i wyraźnie usłyszałem głos doniosły starca w wyżynie:

„Pokój ludziom dobrej woli!“

I w tejże chwili ptak wielki rozpostarł skrzydła nad starcem, że wydał mi się aniołem niesionym przez tysiące ramion bitych matek i bitych niemowląt.

Stójcie! wrzasnąłem na moich ludzi i pierś im własną nadstawiłem. Powstał zgiełk. Świętości starca nie pojęli. Ruszyli naprzód.

Padłem. Przygnietli.

Czyjeś mordercze ramiona chwyciły mą głowę i twarzą wgniatały w skrważoną pierś trupa. Opiłem się krwią.

Straciłem przytomność.

— — — Nad ranem zbudziłem się wśród ciszy.

Zanim odzyskałem świadomość zupełną, usłyszałem łagodny głos starca:

„Pokój ludziom.“

Przedemną stał sędziwy żyd.

Podał mi ramię, do swego mieszkania poprowadził, położył i winem przytomność zupełną przywrócił.

Drżące dłonie na skroni mej złożył i rzekł:

— Nie zabijaj...

A potem milczał i tylko dłonie jego drżały na mem czole i potwierdzały słowa sędziwego żyda i zdały się wołać aż w ostatnie zakamarki mózgu mego: nie zabijaj!

I ogarnęło mnie spojrzenie to samo, które mnie było powaliło w zgiełku walki, a broń z mej ręki wytrąciło. I już w półśnie słyszałem dalsze słowa starca:

— „Zło świata, zło społeczne zrodziło w tobie społeczną myśl, której służyłeś. A mówię'ć, synu, niema społeczności, której trzeba krwi cudzej.

Zło człowiecze zrodziło w tobie myśl ludzką, której służyłeś. A mówię'ć, synu, niemasz człowieka, któremu trzeba krwi człowieczej.

Niemasz idei, która mocą materji silna jest, a zagłady żyjącego stworzenia pożąda.

Przeto mówię'ć, synu! nie zabijaj wszelkiego stworzenia.“

Zerwałem się.

— Kto jesteś? spytałem gwałtownie.

— Jestem tym, który pokój czyni wśród żywego stworzenia, jestem Achiman.

Tu Darjusz urwał nagle, snadź spostrzegł, że drgnąłem.

— Czy znasz to imię? — zagadnął mnie dość niespokojnie.

— Znam. Achiman przyszedł do mnie w chwili załamania mej duszy... przyszedł w porę.

— Więc znasz go?! — szeptał oszołomiony Darjusz i słowa te powtarzał, patrząc w daleką lunę zrumienioną nad nieszczęśliwym miastem.

— Później o dziwnym tym starcu pomówimy — ozwałem się po chwili. Jeśli odzyskałeś już spokój wewnętrzny, powiedz mi coś o sobie. Czemu pozwoliłeś się wciągnąć w tę niższą sferę duchowego życia... czemu, Darjuzsu?

— Nikt mnie nie wciągnął — rzekł oschle — poszedłem sam.

— Czemu?

— Aby... aby słowo ciałem się stało.

Umilkliśmy obaj.

Chmura rdzawego dymu zawisała nad miastem. Góra ołowiu przygniotła posępne myśli nasze. Trwaliśmy w milczeniu, zasluchani w głuchy jęk miasta. Tam oto skowyt nędznego stworzenia mieszał się z pieśnią pożaru, a czad gryzący rozścielił się nad ludzką nędzą i wypalał oczy, wysuszał żyły, dławił oddech zmęczonej rzeszy.

Błysnęło nagle spojrzenie Darjusza w ciemni onej rdzawej i wystrzeliła — zda się — myśl rakieta w przezierającym gdzieniegdzie błękit nieba.

Skończone! — westchnął Darjusz, oburącz za skronie się chwycił i znów umilkł.

Przyjaciół mój, którego znałem z tej strony, iż stwarzał zawsze niespodzianki sobie i swym najbliższym, zgotował nową, wielką rzecz niespodzianą. Zawila kompozycja jego wnętrza, nie pozwalała stworzyć o nim sądu, jakakolwiek opinia o Darjuszku zawsze okazywała się wkrótce błędną. On, którego myśl żyła tylko w górnych sferach życia wewnętrznego, nagle staje na czele ruchu rewolucyjnego, on — apostoł miłości i przebaczenia — zabija człowieka i każe zabijać.

On zeszedł z wyżyn zdobytych długim wewnętrznym mozołem i zupełnem wyrzeczeniem się siebie samego — zeszedł, aby „słowo ciałem się stało“... Zabił, kazał zabijać, aby „słowo ciałem się stało.“

Ha! Ha! — zaśmiałem się boleśnie.

Darjusz spojrział na mnie wzrokiem nicokreślonym, potem siadł w fotelu, głowę w tył rzucił i zamknął powieki.

— Czy wiesz, Tymonie, — rzekł po chwili — co to jest rewolucja?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć — odparłem pośpiesznie. — Chcę, abyś i ty nie wiedział, wiedzieć nie chciałem, abyś powrócił tam, gdzie byłeś... Czy słyszysz? Tam gdzie ty byłeś, tam i ja powoli zbliżałem się, tam też podążam. W tobie pomoc znajdowałem zawsze. Wszystkie niespodzianki, które mi w drodze tej gotowałeś, okazywały się zawsze nowym dla mnie szczeblem, aż nagle... Nie, Darjuszku, nie chciej wiedzieć o tych rzeczach, wróć, wróć do siebie.

Namiętność ideji... ideji niższej... temperament dnia... to nie ma zarodka wieczności...

Darjusz wciąż siedział bez ruchu, z głową na wznak przechyloną i zdał się wsłuchiwać w siebie.

Sądziłem, iż słów moich wcale nie słyszy. Umilkłem.

Przez bladą maskę przyjaciela przesuwał się raz wraz rdzawy cień, odbicie dalekiej pożogi.

Darjusz podniósł nieco powieki ciężkie smutkiem i skupieniem.

— Ty nie wiesz — rzekł — i ja dotąd nie wiedziałem. Dziś wiem, tak, zaczynam wiedzieć...

Rewolucja to rzecz wielka, jedna z tych wielkich, które ludzkość wiodą wzwyż. Jeno my mali, jeno my mali.

Jeśliby choć jeden z nas w duchu dojrzały był, dokonałby! ale niemasz takich i nie było — krom *Jednego*...

Mord, pożoga w nim się dokonała, to też rewolucję wszczął wielką i dokonał.

Ludzkość raz wraz urządza rewolucje — tak „urządza” jak widowisko w teatrze...

Wszelako rewolucja dokonać się ma w nas i w nas ogień, w nas mord, w nas zarodek nowego życia...

Poszedłem... ha! ha! poszedłem urządzić widowisko. Tam poznałem, że to tylko widowisko, parada krwawa... ale nic więcej, nic więcej.

Ten człowiek zginął... zginęli ci ludzie... może po to tylko, aby swą śmiercią stworzyć we mnie pełną świadomość rzeczy...

Tymonie, czy ty to rozumiesz?

Nie umiałem mu odpowiedzieć, ale myśl moja bieżyla dalej i zatrzymywała się w zagadnieniach t. zw. społecznych. Rzekłem wreszcie:

— Cóż z tego, że jeden łotr zniesie z powierzchni drugiego i sam na niej zapanuje po to, iżby przyszedł trzeci i uczynił to samo.

Darjusz milczał.

— Poszedłeś więc — mówiłem dalej — urządzić widowisko.

— Niestety, drogo okupione doświadczenie...

Patrzaj mi w twarz. Tymonie, nie dziwno ci, że ledwo wyszedłem z krwi ukropu, gdzie to po raz pierwszy dotknąłem się żywych owoców mej teorji, gdzie zaraz na wstępie własna moja teorja, nabrawszy żywych kształtów rzeczywistości, powaliła mnie, zdeptała, zmiażdżyła — że ledwo ze krwi wyszedłem i czuję jeszcze świeży jej zapach, a mdłą, ciepłą jej lepkość mam jeszcze w ustach, już nową zaczynam budowę rozumowania. Nie dziwno ci, Tymonie?

— Serce zapodziałeś...

Darjusz zadumał się i jął mówić, jakoby do siebie.

— Serce... Och, miałem ja serce takie gorące... (tu Darjusz spojrział w mdlejącą już lunę nad miastem)... Serce takie gorące, że oto zdołało rozpalić serc tysiące i drugie tyle zabić i oto tam wzniecić ten fajerwerk.

To są ofiary serca.

— W błędzie jesteś, Darjusz! — zawołałem niccierpliwie — to nie to, nie to...

Znałem ciebie dawno, jako człowieka z marmuru, z pięknego marmuru, który jedną będąc zawsze bryłą szlachetnego kamienia, wciąż stawał się nowym, niespodzianym tworem kunsztu rzeźbiarskiego. Jednak marmurem być nigdy nie przestałeś. I oto pójście twe tam w ogień, który sam wznieciłeś i w krew, którą sam utoczyłeś, to nowy twór rzeźbiarza... Nie serce to, a ustawiczne uderzanie bryły o bryłę, aż pęknięcie na poly dokonało się...

Teraz nowemi teorji formułkami pęknięcia nie zlepisz...

Póki w zdobyczach ducha jesteśmy mali, acz już na drodze zdobywania, dopóty skłonni jesteśmy imać się for-

mułek. Osiągnąwszy zaś Poznania pierwszy stopień, podobni stajemy się prostakom, którzy jeszcze na drogę zdobywania nie wkroczyli.

Szczyty nie stoją w sprzeczności z niziną, ale wzajemnie się dopełniają.

Duch wielki łączy z zwierzęciem się zrozumie, trudno z człowiekiem pospolitej miary. On przetopiwszy mądrość w ogniu ducha, w krew ją przemienia i mocą uderzenia serca żywe uczynia ciało.

Nie formułki rozumowe mądrością są, ale...

— Czy sądzisz, Tymonie — przerwał z gorzkim uśmiechem Darjusz, — że formułką zdołałem wstrząsnąć posadami miasta?

— Tak, jeżeli formuła była zsumowaniem namiętności tłumu, jego żądz, pragnień, tęsknot...

Zali nie słyszałeś słów skrzydlatego starca, wzniesionego ponad mordem i pożogą?

Nie słyszałem słów tych, jeno przez usta twoje, ale je czuję, słyszę w sobie... To był głos wielki, który w ciebie uderzył gromem, że w zbrodni powstrzymał...

Nie znam Achimana, jeno że nad ptakiem z złamanem skrzydłem się ulitował i że raz patrzył na mnie oczami mądrej dobroci i mówił to, czego mi nikt jeszcze nie powiedział.

Mówię ci, Darjusz, Achiman, to duch wielki.

Darjusz z trudem łowił każde moje słowo i zdało mi się, że w bóleści ukrywanej przechowywał je wszystkie, nie mogąc zrazu w jedną połączyć całość, zostawiając to na później.

Długo jeszcze mówiłem, bo czułem potrzebę mówienia. Nie doszedłem do tego, o czym mówić pragnąłem, udając się do przyjaciela. Zbyt wiele nowego wrażenia i zbyt niespodziane wstrząśnienie.

Co w sobie przeżywać musiał Darjusz i jaką staczać walkę wewnętrzną, skoro tyle odmiennych rzeczy mi powiedział. Że cierpiał dotkliwie, to mówiła twarz jego, której nigdy w skurczach nie widziałem, jako że wogóle nie zmieniała się pod wpływem przeżyć. Dzisiaj wszelako nie miał siły panowania nad bolesnymi drgnieniami mięśni w obliczu.

Znów poranek biały śronem okrył miasto, kiedy opuściłem mieszkanie Darjusza. Odetchnąłem lżej po tylu godzinach ciężkiej, ołowianej atmosfery w mieszkaniu złamanego rewolucjonisty.

Na ulicy rozejrzałem się, aby sobie przypomnieć, w którą to udać się stronę, odeszło mnie bowiem poczucie codziennej rzeczywistości. Nie miałem już czasu na dalsze dumanie, bo oto za sobą usłyszałem gwar, a potem miarowy krok oddziału żołnierzy.

Przyśpieszyłem kroku w stronę przeciwną.

Zbita masa ludzi posuwała się w moim kierunku. Znów przynagliłem kroku, aż obejrzawszy się z znacznego już odalenia, (he! he! poczucie przestrzeni) — ujrzałem, że gromada ludzi zatrzymała się przed domem, w którym mieszkał Darjusz.

Świst piszczałki.

Cisza.

Weszli do środka.

V.

Manuskrypty nieliczne, które z niewiadomego powodu zachować postanowiłem, poukładałem starannie w tece; stosy zaś całe zapisanego papieru spaliłem.

I teraz dopiero poczułem całą różnicę między myślą przeżyta wewnątrznie i tam zachowaną, a myślą powierzona papierowi.

Czystość zrodzonej w duszy myśli twórczej maleje z tą chwilą, gdy ją przyobleka się w formę zmysłom przystępną. Słowo powierzone tajemnicy, moc ma nieuszczuploną, rzeczzone zaś więdnie w własnym brzmieniu.

Miłość moja do Olgi jakże podobna była gwiazdy promieniowi, który nigdy się ziemi nie ima, do chwili pierwszego jej pocałunku i oddania się miłosnego.

Tęsknota za Niewiadomem, która we mnie żyła, jakże twórczą była do chwili, aż wyczułem w sobie zbląkanego psa istotę i ujrzałem ją w kształcie rzeczywistym.

Czy nie dzieje się to samo z ideją rewolucji w duszy Darjusza?

O! najpiękniejsze nieba zjawy, zrodzone w człowieku, skoro dotkną się ziemi, stają się jej znikomym okruchem.

Czy tak jest istotnie?

Czy znowu małość nasza nie jest tego przyczyną? Może Darjusz ma słuszność!

W tej chwili przypomniał mi się Achiman. On z pewnością odpowiedziałby mi na te pytania. Gdzież go znaleźć?!

Muszę go odszukać, ale nie teraz, jeszcze nie. Jeszcze nie czuję się dojrzały do rozmowy z Achimanem.

Hm! wstrząs jakiś czuję w sobie od dnia mej bytności u Darjusza. Ha! ha! może i ja czuję rewolucję?!...

Na pohybel! Precz z manuskryptami! precz z kirem żałoby! chcę uśmiechu, który omijał mnie od tak dawna.

Pozbyłem się balastu mnogich rękopisów, lżej oddycham. Teraz czerpać mi siły nowe! wprzód jednak chcę odpoczynku.

Jakże tu odpoczywać w niefrasobliwym bezczynnie, gdy jeszcze nie zorientowałem się w całym mem otoczeniu? Mówią, że nowe jest wszystko i nowa zaczęła się era... Głupi są ludzie... to im się zdaje, a że to wmówić umięją szerokiej rzeszy, więc na pewien czas spokój będzie na ulicy. Nowe rządy? — być może... hm... toż i ja w sobie nowe rządy zaczynam, toż niemal całe ustawodawstwo w manuskryptach skrzętnie spisane zniszczyłem... ha! ha! ha! nie powstydzi się przyjaciel mój, i we mnie ma rewolucjonistę, zwycięskiego rewolucjonistę...

Ha! jestem z siebie zadowolony, to wyjątkowa chwila. Teraz radbym nawet poszedł do Olgi — to wyjątkowa chwila.

Nigdybym nie miał sił spojrzeć jej raz jeszcze w oczy, ale dziś siły mam, dziś jestem z siebie zadowolony, to wyjątkowa chwila!

Powinienem z niej skorzystać i napisać nowe poema...

Poezji czy kobiecie poświęcić chwilę wyjątkową? Poezji czy kobiecie?

Zradne one obie...

Hej! Olgo! Zdziwisz się, gdy przed tobą stanę, może zaniepokoisz się bardzo, a może tylko rumieniec upiększy twoje liczko?

Pójdę do niej! Co mi powie? jak przywita? czy każe się tłumaczyć?

Spojrzałem na zegarek — piąta.

O tej porze przyjmuje... lepiej że nie będę sam...

Cóż jej powiem? Nic! sza! może pierwszy raz ujrzę błysk zdziwienia w jej przebiegłym oku.

Ona będzie pytać — oczami, a ja — nic, sza!

— — — Poszedłem...

Rzęsiście oświetlone okna willi, w której mieszkała Olga, wabiły już zdala; mimowoli przyśpieszyłem kroku. Podeszedłem pod bramę i chciałem zadzwonić. Coś mnie powstrzymało. Stałem chwilę w niepewności. Chciałem się zastanowić, ale nawet tego nie umiałem w tej chwili, poczułem, że serce wali mi w piersi.

Nagle, zniecierpliwiony sam sobą — zadzwoniłem. Furtka otworzyła się. Chciałem się jeszcze cofnąć, już było zapóźno, lokaj stał na schodach.

W hallu odurzyła mnie znana, właściwa tylko komnatom Olgi woń, która też w mgnieniu oka przypomniała mi te nieliczne a upojne wieczory z Olgą tu spędzone.

Już też zupełnie byłem pod czarem tej dziwnej kobiety, jakkolwiek jeszcze na nią nawet nie spojrzałem, ani dotknąłem się jej ręki.

Z salonu nagle drzwi się otworzyły, falą złotego światła żywych świec oślepiła mnie. Zdawało mi się, że słyszę dolatujący z głębi śmiech Olgi. Kilka osób wyszło kolejno, minęli mnie, ktoś — zda się — złożył mi ukłon. Nie poznałem nikogo. Odeszli.

Lokaj zapraszał do salonu.

Wszedłem. W tej chwili dopiero odzyskałem równowagę, tak mi się przynajmniej zdawało.

Ogarnąłem spojrzeniem salon cały. Gość jeszcze jeden pozostał ku memu zadowoleniu.

Ujrzałem jego sylwetkę na tle żarzących się świec. Głowa nieznanego miała najwyraźniej kształt trapezu, a wielkie uszy odstawały tak dalece, iż wydawały mi się zaledwie przyczepione do dziwnej czaszki. Nieciosana twardość i przykre skrzywienie znamionowały na pierwszy rzut oka młodego tego mężczyznę.

Sylwetka nieznanego nie poruszała się wcale. Mówił coś przytłumionym, acz twardym głosem. Tak mówione słowa nie mogły nawet dotrzeć do słuchającej w głębi Olgi; takie przynajmniej odniosłem wrażenie.

Olga, niby majak mglisty, stała wsparta o marmurowy słup, dźwigający Hermafrodyty rozkosznie wygięte ciało.

Wśród błękitnego dymu była Olga mgłą ledwie się znaczącą, z której jeno iskrzące szmaragdem oczy kłamały, iż uszy słuchają twardych gościa wynurzeń.

Nagle odniosłem wrażenie, że kilka naraz błysków skrzyżowało się w źrenicach Olgi. Błyski, niby ostrza złotych szydełek zamigotały i znikły.

Olga postąpiła ku mnie i rzekła z najwyższym spokojem i obojętnością:

— Witam pana, proszę bliżej. Panowie znacie się przecież...

Być może — pomyślałem sobie, ale nic o tem nie wiem... Przyjaźnie uścisnąłem dłoń gościa, który miał głowę w kształcie trapezu, a uszy chwiejące się w powietrzu. Nieznajomy zaś witał mnie niemal jak starego przyjaciela. Wydało mi

się przecież, iż z mojej obecności nie był zadowolony, co mnie zresztą mało wzruszało. Zajęty byłem przedewszystkiem — sobą. Nie mogłem wyjść z podziwu, że z takim opamiętaniem się, zarówno na wewnątrz, jak na zewnątrz przywitałem się z Olgą. Nawet pocałunek złożony na jej ręce z roli mnie nie wytrącił. Miałem dzień szczęśliwy.

Tak jest: dzień szczęśliwy, bo oto, gdy spostrzegłem, iż zachowanie się Olgi względem mnie, było takie samo, jak moje, nawet to mnie nie wzruszyło. I gdybyśmy z Olgą w tej chwili zaczęli badać wszystkich nas troje obecnych, zgodzilibyśmy się na to, iż niespokojny w sobie jest jedynie — ten trzeci, gość mi nieznanym.

Ołga raz wraz spoglądała na niego, a lekki uśmiech podnosił kąciki jej zagadkowych ust, uśmiech, który mogłem chyba sam zrozumieć. Jakkolwiek ów elegancki młodzieniec, z trapezową głową i odstającymi gdzieś w przestrzeń uszami nie pojął tego uśmiechu, niebawem pożegnał się i wyszedł, potraciwszy niemal wszystkie napotkane meble i odrzwia.

Zostaliśmy sami.

Długo patrzyliśmy przed siebie w milczeniu.

Doznałem wrażenia, iż oboje ulegamy w tej chwili jednakim wzruszeniom. Jeżeli myśl jaka była teraz możliwą, to była wspólna nam obojgu. Ale które z nas mogło w tej chwili myśleć o czemkolwiek? Wspólną nam była wewnętrzna szarpanina i jakieś przygasłe, znów do życia powołane wulkany, które sposobiły się znów do wybuchów.

To jedno czuliśmy wyraźnie oboje, że każde drgnienie kipiącego wnętrza jest wspólne nam obojgu i że za chwilę tryśnie war gejjiru i — kto wie, czy nam nie będzie nowym poematem życia. W milczeniu oczekiwaliśmy jakiejś niezwykłej chwili, jakiegoś wybuchu, zdarzenia.

Całą siłą panowaliśmy nad sobą.

Olga uśmiechnęła się dziwnie i nic nie mówiącym ruchem szczyptę mirrhy wrzuciła do srebrnego naczynia, umieszczonego na wysokim trójnogu, poczem dobyła szczypcami rozżarzonego węgielka i dorzuciła do mirrhy. Małeńkie, sinego dymu pasemko snuło się ku górze, napelniając salon odurzającą, rozkoszną wonią.

Niedaleka przeszłość zjawiała mi się w tej mgle otulającej Olgę, zapadła gdzieś w głębokościach jedwabnych poduszek na sofie.

Nie zjawia to wzrokowa tylko, ale to głos wspólnej rozkoszy ozwał się cichy bólem, namiętny wspomnieniem. Żal za minioną chwilą odzywał się ledwie słyszalny w oddechach naszych, a tajemnicza cisza była dopełnieniem wzajemnego przebaczenia, które zawiązywało się między nami w tej oto chwili. Oboje czuliśmy, że każde, nawet najciszej rzucone słowo, słowo nawet takie, które najgłębsze cierpienia uśmierzyłoby musiało, nawet takie stłuc może cenny kryształ dokonującego się przebaczenia.

Milczeliśmy, zasluchani w świętość tej niewysłowionej ciszy.

Pragnąłem, aby trwała jaknajdłużej, aby nieskończyła się bodaj nigdy, przemieniając nasze dusze w naczynia ziemskiej, cichej, niewypowiedzianej szczęśliwości.

Tonąłem w półśnie rozkoszy.

Przestałem żyć ostatniemi wstrząsami i kurczyć się w sobie pełną udręczeń i świadomości niemocy manją twórczą.

Wdychałem pełną piersią woń duszy umiłowanej kobiety. Chwila ta wydała mi się atrium nigdy niezaznanej szczęśliwości.

Niczem niezmacona harmonja zdała się czynić jedność nas dwojga i wszystkiego wokół otoczenia.

Nagle... Och!!...

Nagle — przeraźliwy śmiech podarł ciszę raję na strzępy. Olga rzuciła się całym ciałem, jak gromem rażona i zaśmiała się tak strasznie, tak rozpacznie, że poczułem gwałtowne w piersi szarpnięcie, a spokojne tętno serca zdało się mylić czystość rytmu słyszanej godziny.

Ostrego śmiechu bolesne uklucia... Szczęk tępych narzędzi... Łomot tysiąca zaleknionych serc i dusz spleczonych... Oblędnej sfory skówyt żaloszny... a potem dzika, opętańcza radość, ucieszny śmiech, nieukróconej żądzy zadośćuczynienie...

— — — Upiorne larwy obskoczyły mnie dokola i bro- niły przystępu do tej, której z pomocą spieszyć chciałem i ukoić, przytulić, śmiech bólu umniejszyć — albo żywy wziąć udział w opętańczym tańcu stu dusz, które w tej chwili wszczęły straszliwy bunt w jednej tej kobiecie.

Tak! sto dusz!

Tym duszom sto własnych stawilem przy boku... a równocześnie sto larw upiornych naszym hufcom zabie- żyło droge.

Zawrzała walka. Zdyszane ogniem nienawiści dusze pochłaniały się wzajem w straszliwym zgiełku i zamęcie, a nad nimi królował nieustanny, niezmienny, tryumfujący śmiech... śmiech zagłady.

Przedarłem się przez zwaśnione dusze i ostatnim wysiłkiem wyciągnąłem ramiona, iżby dosięgnąć, ocalić zginioną gdzieś w wielkim zamęcie, półzjawę, udęczoną Olgę...

Dusze odtrąciły mnie... uległem!

Szalony szum uczulem w głowie, a wszystko otoczenie tańcowało wokół, szydząc urągliwie, nielitośnie. Przez lzy już tylko taniec ten widziałem i pojmowałem ledwie, że słabnie w zawrotnym swym wirze, że cichnie, stopniowo w spokojność przechodzi, utrwala się.

Wszystko stanęło...

Bolesny grymas wszego stworzenia dziwował się skurczowi mej oszołomionej, jedynej pozostałej duszy. Cisza ponura znów zaległa.

Usłyszałem nagle cichy szept... To mówiła Olga. Nie rozumiałem ni słowa. Przetarłem czoło i oczy.

Przedemną stała Olga z wyciągniętą ręką, blada, cicha, skupiona.

Pochwyciłem obie jej dłonie i całować jąłem bez pamięci.

Siedliśmy obok siebie. Olga oburącz trzymała dłoń moją, wplatając swe palce w moje zimne i zdrętwiałe, jakoby je do życia przywoływała.

— Czemuś mnie odszedł? — szepnęła z cichym wyrzutem.

Nie miałem siły odpowiedzieć, a ona wciąż szeptała:

— Czemu? czemu?...

Czułem, że między nami stoi jeszcze to, co nas niedawno odepchnęło, co nas rozłączyło; coś niewiadomego nam obojgu, coś co pochwyć winniśmy czworgiem rąk i ubezwładnić, aby poznać, aby dokładnie przyjrzeć się złemu.

Olga czuła to samo.

Wróćmy myślą w niedawną przeszłość i szukajmy wątką obopólnego rozczarowania.

— Olgo! — zacząłem zdławionym głosem — przecie nie ja otuliłem się twardym płaszczem chłodu, przecie nie ja

uczyniłem giest rozstania ani wywołałem konieczność tę, ani jej chciałem.

... Ja tylko uszanowawszy twą wolę, twoje żądanie, w imię naszej miłości uległem twemu — rozkazowi...

— Rozkazowi? — powtórzyła Olga bezdźwięcznie.

— Tak odczułem wtedy słowa twoje, Olgo.

— Słowa moje?

— Rozstać się musimy — mówiłaś wtedy i żądałaś, iżbym nie pytał o przyczynę, jako że jest ona we mnie. Odczułem to tak, że kochać mnie przestałaś, składając winę na moje barki. Wszelako wiedziałem, że wola to była twoja, twój mus, twoje chcenie. Uszanowałem je, Olgo...

— Moje chcenie — powtórzyła przed siebie... Tymoniet — zawołała po chwili, powstając — czy krótko przed naszym rozstaniem rozmawiałeś o nas z Darjuszem?

— Tak. Rozmawiałem, jednakże nie krótko przed naszym rozstaniem, a dawniej.

— Ja zaś rozmawiałam z nim w przeddzień twej ostatniej u mnie bytności. Więcej ci nic nie powiem; więcej powiedzieć nie powinnam...

Darjusz! Więc przyjaciel stanął między nami!

Wiem: miłość umie być silniejszą, niż najściślejsze więzy przyjaźni. Ale nie! nie! Darjusz nie umiałby oszukać przyjaciela. Raczejby zabił dla miłości, nie oszukałby nigdy!

Cisnęły mi się do głowy pytania, na które żadnej nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Pytania te rzucały mną na wszystkie strony, a ja nie miałem mocy oprzeć się ich gwałtowności. Bezwiednie szukałem pomocy z zewnątrz, jakiegoś oparcia, choćby marnego słowa, choć giestu. Chwyciłem rękę Olgi i do ust przycisnąłem.

Ona rękę cofnęła. Stałem osłupiały.

— Dlaczego przyszedłeś do mnie dziś właśnie — spytała przez łyżę.

— Dlaczego? dlaczego dziś właśnie? nie wiem, zgoła nie wiem...

— Czy dlatego, że niema już Darjusza?

— Jakto niema Darjusza!?

— Czy dlatego, że Darjusz uwięziony?

Zerwałem się.

— Co?! Co mówisz Olgo! Darjusz uwięziony??

— Od czterech dni w więzieniu.

— W więzieniu? Cóż uczynił? — wołałem oszołomiony.

— Nie chciał więcej zabijać — rzekła twardo. Tak! nie chciał zabijać... Ha! ha! ha! Olga roześmiała się boleśnie.

Dalsze jej słowa docierały do mej świadomości tylko oderwane, treścią z sobą niezłączone, zgoła niezrozumiałe.

Czułem tylko, że Olga nie dowierza mi, jakobym nie o uwięzieniu Darjusza nie wiedział, że przyjście moje dziś właśnie musi być obliczone na coś, z czego ona sprawy sobie nie zdaje.

W cichem podnieceniu mówiła, że miłość nasza chyba od nowa zawiązywać się musi, bo kanwa jej porwana na strzępy, bo tyle jest nie-domówień, tyle niejasności, tyle skaz...

Słowa Olgi dźwięczały mi w uszach jak jedno wielkie poruszenie sumienia, jeden potężny wstrząs, jedno w piersi głębokie zalkanie.

Ani mnie chłód zimowego wieczoru nie przywiódł do przytomności, skoro szedłem ulicami miasta do swego mieszkania, ani gwar uliczny, ani spotkanie gromadki znajomych.

Jeno wilgotne, gorące wciąż czułem wargi na czole. Wśród niemego bólu całunek przebaczenia wyciskał mi z oczu lzy ukojne.

Wchodząc do swego mieszkania sądziłem, że samotność dręczyć mnie będzie do samego rana. Myliłem się. Nigdy może jeszcze nie przeżyłem godzin tak bogatych i tak żywych, jak tej właśnie nocy. Nawał myśli i wrażeń obległ mą istotę, niby tłum przyjazny i pełen współprzeżywania. Myśl każda z chwilą pojawienia się, ucieleśniała się w postać tak wyraźną i żywą, że obcowalem z nią, jak z istotą, z którą żyłem się już oddawna, a której nie tailem niczego, co czułem, czem żyłem.

Wszystkie zrazu sprzeczne w swej istocie postacie utworzyły wokół mnie harmonijne grono niezwyklej gości. Poszczególne, skupione grupki przeżywały raz jeszcze słowami to, co najsilniej drgało w ich wnętrzach, jakby dla przypomnienia, jakby dla uzmysłowienia nieuchwytnych uczuć.

Znałem tematy wszystkich grup, a co wymykało się dotąd mej uwadze i utrwaleniu w pamięci, to stawało teraz przedemną w całej swej wyrazistości.

Tematy rozmów poszczególnych grup różne były, przepłatały się przecieź wzajemnie, jak z różnych rzucone stron wielobarwne promienie światła, w rozlicznych swych skrzyżowaniach całość stwarzając niezwyklej.

Tam oto promienie Olgi w drgnieniach ledwie dostrzegalnych snuły się poprzez sieć promieni szerokiego otoczenia. Czytałem je. W blasku ich poczułem wstyd nad sobą. Ujrzałem nagle Olgi istotę zarysowaną tak czystą linią, że chciałem się cofnąć, iżby swoją bliskością nie zmylić liniowej

harmonji świętej uludy, którą żyłem nosząc w sercu odbicie tak gorąco kochanej kobiety.

Chciałem się cofnąć... Nie... w istocie już się cofnąłem.

Oto więc zwiększone między nami oddalenie.

Wszelako gdzieś w błękitnej głębi tła, wśród najodleglejszej sfery drgających promieni wyczułem gdzieniegdzie wyraźne załamanie. Były to jedyne promienie pozostające poza splotem promieni grup innych. Pozostawały sobie i w sobie się skrzywiały, podczas gdy wszystkie inne wplecione były w więź ogólną otaczającego światła.

Owe załamane, w głębi ciemnego tła zjawiające się promienie utrwaliły się w mej pamięci i długo czekałem na rozwiązanie ich znaczenia.

Tymczasem w ogólnej sieci powszechnego światła rozpoznałem promienie... tak! wyraźnie promienie — Achimana. Te niby igły djamentowe, przesywały wszystką barwę promiennej sieci i zdawało się, że sieć cała na tych to igłach duszy Achimanowej jest rozpiętą.

Tylko owe zakrzywienia promieni w najodleglejszym błękicie tła, owe zakrzywienia z światła Olgi idące, one jedne były poza sferą działania Achimanowych djamentów.

Spostrzeżenie to utrwaliło się w mej pamięci i długo nań rozwiązania znaleźć nie mogłem.

Tam też myślą nie pozostałem. Bo oto tuż, tuż poznałem promienie Darjusza. Czulem moje z nimi krewieństwo.

A jednak bujna ich różnorodność nie pozwalała na ułożenie linii równoległych, ani nawet takich, któreby w zupełnej zgodzie przecinały się, tworząc układne sploty mistycznego rysunku.

Inność ta rozbudziła mą uwagę, zwłaszcza, że nie była wzajemną między przyjaciółmi sprzecznością.

Tu znowu uczułem ową niespodzianą drganiej duszy Darjusza.

I rzeczywiście: z jednej strony zawisłe między djamentowemi Achimana iglicami promienie Darjusza nie tylko w podpromienie iglic wplatały się i je przenikały, ale nadto blaskowi djamentu wyraźnie uległy i jego barwie i sile nie czyniły sprzeciwu, z drugiej strony rozniecały w stronę promieni Olgi iskier taką mnogość, że zdało się, iż nie dopuszczają działania iglic Achimanowych, jakkolwiek te je trzymały w swych widlicach wszystkie, krom onych w sobie skrzyżowanych, w najdalszym tła błękitie.

Mnogość innych promyków, tworzących miraż lyskającej sieci, zdała mi się obcą; jedynie swoje własne promienie w nich widzieć chciałem i — widziałem.

Z każdego z tamtych cząstkę w siebie brały, każdemu — prócz Achimana djamentów — własnych udzielały barw. Niekiedy z orbity działania Achimanowego, wy dostać się próbowały; wszelako bezskutecznie.

Wpatrywałem się uporczywie, bo oto dostrzegłem nagle życia mego zagadkę: promienie, które drgały wśród tych, co nazywałem obce, z mojemi stykały się uporczywie. Z nich zdały się wyszukiwać niektóre, wyzwalając je raz wraz z łączności z promieniami Olgi, do których docierały przez skrzyżowanie się z mojemi — przybierały chwilami blask iglic djamentowych. Zrozumiałem: Achiman nie był sam...

Mrok z wolna jął ustępować, białe dachy rysowały się już za oknem, gdy w szarości poranka zjawa cała ginąć poczęła. To co wydało mi się takim oczywistem, prostem i nieulegającym zmyleniu, zaczęło zatracać swe kontury, mieszać się, znikać.

Majak dnia z wolna rzeczywistości prawdę jął wypierać. Śmiertelnie znużony zasnąłem.

VI.

Długo nie mogłem zebrać myśli po chaotycznym śnie, z którego zbudziła mnie posługaczka, przynosząc obiad na tacy. Rad byłem, że pocziwa służa zaprzestała gderać nademną i nad stygnącą strawą i że wreszcie pozostawiła mnie własnym myślom.

Zapałem papierosa i półotwartymi oczami szukałem przerwane go wątki sennych majaczeń. O! Żle! Już złuda dnia białego odbiera mi jasność spojrzenia, już znowu odwrotność pojęć i określeń kładzie mi w usta.

Senne majaczenia? Nie! Czuję w tej chwili, iż rzeczywistość odbiega mnie, że uchodzi prawda sądu wewnętrznego, ta prawda, która przed chwilą była niewzruszalna, niezmienna.

Rzuciłem się na posłaniu, aż łóżko zaskrzypiało żałośnie.

Czulem, że już nie zgonię prawd doznanych przed chwilą, że jasnowidze myśli pierzchają i bledną gdzieś w suchotniczem dnia spojrzeniu.

Postanowiłem tedy zimnym umysłem codziennego człowieka (tak! codziennego) rozważyć wszystko kolejno i ułożyć w sobie wszystkie doznane wrażenia.

Po niedługim wysiłku przekonałem się, że tego uczynić nie umiem.

Przestałem więc myśleć. W tej zaś bezmyśli wpadłem na jedynie słuszne drogowskazy.

Teraz dopiero uprzytomniłem sobie Olgę, a po chwili Darjusza.

Zaraz też błyskawica ostatnich przeżyć mój przeszła i sądziłem, że wiem już wszystko, sądziłem, że wiem co mam czynić. Ale skoro zacząłem snuć plany, przekonałem się, że znów nie wiem.

Męczące myśli przerwała nagle posługaczka, która prócz wyrzekań nad ostyglým obiadem przyniosła mi list i zaciekawiona stała w kącie, patrząc na mnie z ukosa.

Rozerwałem kopertę.

Czytam.

„Byłam i jestem mimo wszystko. Bądź także.

Bądźmy oboje, choć jest to, czego nie chcemy. A że jednego nie chcemy oboje, więc chcemy też jedno. Niech to nam wystarczy na dzisiaj.

Chcę cię widzieć. Jeśli nie można — donieś.

O.“

Opadłem na poduszki, w pół przymknąłem oczy, próbowałem myśleć. Dobrotliwa, acz uśmiechnięta chytrze twarz posługaczki wszelką myśl rozpraszała.

Zerwałem się i począłem się ubierać, wyprosiwszy z pokoju natrętną starowinę.

Jeszcze nie zdołałem ustosunkować się do przeżyć i wrażeń dnia poprzedniego, a już nowe cisnęły się do zamkniętych wrót moich i gwałtownie stukały otwarcia i wpuszczenia do wnętrza.

Po długich rozważaniach doszedłem do przekonania, że ustosunkowanie moje do przeżyć minionych dokonało się w większym, niż sądziłem, stopniu. Że muszę rozmawiać

z Darjuszem w najkrótszym czasie, że przede wszystkim widzieć go muszę przed pójściem do Olgi — to nie ulegało już żadnej wątpliwości.

Teraz więc tylko rozważałem w sobie, co odpowiedzieć Oldze na jej list, list taki prosty, mocny i w swej nieustępliwości gorący, jedyny.

Nie wiedziałem, co począć.

Postanowiłem więc odpowiedź odłożyć, a wpieryw spróbować wizyty w więzieniu.

Pobiegłem na policję. Tam odesłano mnie do sądu. Znów na policję wrócić musiałem, potem do domu, po własne papiery, po to, by mi w jakimś innym biurze oświadczone, iż urzędowanie dnia tego już skończone.

Zapisawszy się nazajutrz w listę gości więziennych, miałem dnia trzeciego dowiedzieć się o terminie odwiedzin więźnia. Jakoż to się stało, otrzymałem papier i pozwolenie na dzień następny.

Wśród męczących tych zabiegów, myślałem sobie o charakterze „nowych rządów.“ Władza porewolucyjna wydała mi się taż sama, co i dawniej. Podobne utrudnienia w życiu codziennem, podobna biurokratyczności osobliwość. Budynki kaźni te same... tylko role zmienione. Ci, co sądzili są zasądzeni, ci co byli sądzeni albo przed sądami chronili się chytrze i z cicha — teraz sądzą. Ci z trybun sędziowskich poszli do cel więziennych, tamci zaś z cel powyłaziwszy, siedli na stolcach sędziowskich.

Zrozumiałem istotę rewolucji społecznej.

A Darjusz?!

Darjusz — jak to on zawsze — i tym razem jest wyjątkiem. Należał przed rewolucją do tych z cel więziennych, a jeśli w kaźni nie spędzał żywota, to tylko dzięki własnej

i kompanów chytrości, albo dzięki niezaradności przeciwników wtedy rządzących.

Teraz więc powinien siedzieć na stolcu sędziowskim, jak inni, jak wszyscy jego przyjaciele polityczni.

On jednak urządził się inaczej, dogania odsiadki w kaźni teraz, co był zaniedbał w czasie przedrewolucyjnym.

On zawsze inny i zawsze gotuje niespodzianki! — Któż w nim się zorientuje?...

Czyżby tak samo dokonywała się rewolucja człowieczej jednostki?

Zacząłem porównywać.

Żadnych stycznych przeobrażeń psychicznych nie znalazłem między ludźmi, których znałem dobrze. Czuje wszelako, że gdybym zdołał ogarnąć całość każdego z bytów indywidualnych, znalazłbym wszystkie styczne między przeobrażającymi się duszami — a może wtedy zrozumiałbym dokonującą się rewolucję ducha jednostkowego.

Zaczynam znów porównywać: — Olga — Darjusz... Darjusz — ja, Tymon... Poprzestańmy na tych indywiduach.

Gdzież tam, do ładu nie dojdę...

A może Darjusz ma rację: rewolucja to rzecz wielka, jeno my mali, my mali...

A jednak i w Darjusz i w Oldze i w sobie czuję wyraźnie ów pęd wzwyż, owo heroiczne zmaganie się z *Niewiadomem*; ową walkę, wśród której jeden drugiego niebacznie potrafi, ukrzywdzi, sam może o tem nie wiedząc...

Tak! w nas wszystkich jest walka z *Niewiadomem*.

Zbliżała się wreszcie godzina przyjęć w więzieniu, to też powoli myśl moja ulegała zagadnieniom związanym z bliską już moją bytnością u Darjusza.

Przedewszystkiem obowiązek odwiedzenia przyjaciela w nieszczęściu...

Jakże się to stało, że Olga (ba, bo i całe miasto) wprzód wiedziała o uwięzieniu Darjusza, niż ja? Toż ja dowiedziałem się o tem przypadkiem, z rozmowy z Olgą... Jakże się stało, że o wszystkim wszyscy wiedzieli, a ja o niczem?...

Poza obowiązkiem odwiedzin pędzi mnie do przyjaciela pałaca żądza dowiedzenia się, czemu to między Olgą a mną stanęła jakaś tajemnicza moc jego, która wbrew woli obojga, nas od siebie odpycha.

Inaczej być nie może.

Olga łączy moje nagłe do niej przyjście z uwięzieniem Darjusza.

Ani ona, ani ja — żadne z nas nie pragnęło zerwania naszej miłości — a jednak...

Jednocześnie, jakby pod czyimś nakazem lub przymusem oboje, bez wiadomej przyczyny odeszliśmy od siebie.

Co mnie od niej odepchnęło? co ją odemnie?

Czuję w tem działanie (może bezwiedne) kogoś trzeciego, a tym mógł być tylko Darjusz, skoro Olga mój niespodziewany powrót przypisuje uwięzieniu przyjaciela.

Zaluję teraz, że nie dowiedziałem się od niej bliższych szczegółów. Nie pytałem, bo wiadomość o kaźni Darjusza zbyt silnie mną była wstrząsnęła.

Mam jednak wewnętrzną pewność, iż między duszą Olgi i moją stanęła dusza Darjuszowa.

— — — Wszystkie dalsze rozważania nie wyjaśniły mi nic zgoła, to też stanąwszy pod drzwiami celi więziennej, mniej wiedziałem o celu tych zamierzonych odwiedzin, niż w chwili powzięcia tego zamiaru.

Gdy pod dozorem jakiegoś indywiduum, wszedłem do celi, ujrzałem przyjaciela zgarbionego, z twarzą zwróconą do ściany, rysującego coś pilnie na szarym, wilgotnym murze.

Chciałem rzucić mu się na szyję, chciałem powitać go rąco, pocieszyć, przygarnąć...

Spojrzał na mnie przyjaźnie, ale tak, jakbym był co dopiero wyszedł z jego pokoju i wrócił znów na pogawędkę (jak to bywało w jego domu).

— Darjusz! — szepnąłem i umilkłem, gdyż przeszkadzała mi obecność dozorca. Wsunąłem mu w rękę papierowy pieniądz. Oddalił się. Dozorca był dyskretny (jak dawniej).

Nim zdołałem przemówić, Darjusz skinął na mnie i jął mi pokazywać na ścianie linje narysowane tępym ołówkiem, a tworzące istną sieć kolei żelaznej na mapie. Po linjach poruszały się mrowia popielatych wszów.

— Spójrz-no, Tymonie — rzekł Darjusz z przejęciem — oto społeczność, których dążenia i cele zaczynam rozumieć — społeczność wszów — *pediculidae*.

Chciałem coś rzec, ale Darjusz uczynił ruch zniecierpliwienia, jakby chciał powiedzieć, że wobec jego dociekań, wszystko inne jest bez znaczenia.

— Czy spostrzegasz — mówił dalej — wybitną celowość skomplikowanego rysunku tych linii? Nie są one dowolne, utrwaliłem kierunek poszczególnych wędrówek tych pogardzanych stworzonek. Patrzaj, jaki harmonijny spłot linii tworzący wybitnie geometryczne figury, z których część rozwiązać zdołałem, inna zaś czeka jeszcze mojej pracy. Żałuję tylko, że w latach ostatnich zaniedbałem matematykę, o! gdyby nie to, łatwiej rozwiązałbym dzisiaj wszystkie zawiłe problemy społeczeństwa wszów.

Dzisiaj już odgaduję pewne zróżniczkowanie społeczne w hierarchji tego robactwa, a figury te zdradzają wyraźnie różnorodność zadań i obowiązków poszczególnych wszych indywiduów. Naprzykład...

Tu chwyciłem przyjaciela za obie ręce. Wywodów jego dłużej słuchać nie mogłem:

— Darjusz! na Boga! nie po to jam tu przyszedł, iżby roztrząsać właściwości społeczeństwa wszów... Odłóż tę zabawę na czas samotności.

Darjusz spojrział na mnie zdziwiony, poczem uśmiechnął się i skinął głową. Spojrział troskliwie na zarysowaną ścianę, jedną z linii poprawił i przedłużył, a obejrawszy raz jeszcze całość rysunku, siadł na ławie w przeciwległym kącie.

— Służę ci — rzekł niedbale — dobrze, żeś przyszedł... dobrze, bardzo dobrze...

— Darjusz! co się z tobą dzieje? — zawołałem pełen troski.

— Nic, zgoła nic — odparł obojętnie... Czy masz przypadkiem papierosa?

Zapaliliśmy. Darjusz łakomie wciągał w płuca masy wonnego dymu. Wsunąłem mu w kieszeń wszystkie papierosy, które miałem przy sobie. Darjusz palił z lubością, wciąż ukradkiem spoglądając w stronę zarysowanej ściany. Ja zaś starałem się tak stać w pośrodku celi, iżby pupile mego przyjaciela najmniej mnie obeszły, aby ta osobliwa społeczność możliwie mało miała ze mnie pożytku. Trudno! zawsze byłem człowiekiem nieuspołecznionym.

Rozmowa moja z Darjuszem rozwijała się ciężko. Trudno mi było dowiedzieć się szczegółów aresztowania i przypuszczalnych, dalszych przyjaciela losów. Również niełatwo mi przyszło udzielanie informacji o własnych przeżyciach osta-

tnich, a cóż dopiero zaczęcie rozmowy o właściwym celu moich odwiedzin.

Przyszedł mi z pomocą sam dozorca, który niebawem zjawił się w celi z oznajmieniem, że już zbyt długo tu pozostać nie mogę, z racji istniejących przepisów. Zaniepokoiło to wyraźnie Darjusza. Dozorcę udobruchałem, podobnie jak na wstępie.

Znowu pozostaliśmy sami.

Spiesznie przystąpiłem do Darjusza i ucałowałem go serdecznie:

— Wyrzuca mnie za chwilę. Mówże mi o sobie, czemu cię aresztowano? co cię czeka?

— Aresztowano mnie pod zarzutem zdrady ruchu rewolucyjnego. Ty wiesz przecież: załamała się moja teoria społeczna w własnem dokonaniu się — wiesz przecież...

Co mnie czeka? — pytasz. — Drobnostka, cóż mi czynią? zresztą to mi obojętne.

— Jakże się czujesz w więzieniu. Przecież to straszne dla ciebie.

— Jak? oto lepiej, niż kiedykolwiek.

— Niewola nie przygniębia cię? toż sama jej świadomość...

— Nigdy nie miałem tyle czasu na myślenie... To mi dogadza. Ach, ten spokój, ta cisza, przecież to wymarzone dla mnie chwile! Ty wcale nie wiesz, jak daleko posunąłem się naprzód, przez te parę dni kaźni. Przecież zdołałem już wejść na trop zgoła nowej metody badania zjawisk życia zbiorowego. O! te rysunki na ścianie, to cały systemat odkrytego życia psychiki zbiorowej, to już nie martwa forma teorii, to istotne życie.

Każda tam linja, to tylko utrwalenie dążeń indywidualów, które składają się na społeczność... Wiesz ty co? — do-

szedłem do wniosku, że indywiduum nigdy społeczności nie przeczy, ale zawsze jest jej pracownikiem, a im bardziej jego działanie sprzeciwia się pozornie ogólnemu prawu, tem bogatsze wartości nowe wnosi ono indywiduum do życia zbiorowego.

Wierzaj mi, Tymonie! nie badania zbiorowisk ludzkich odsłonią ci tajemnicę zadań społecznych, ale badania zbiorowisk takich, jak wszy... może inne również, ale wszy przedewszystkiem.

Człowiek zwodzi cię i okłamuje; insekt nie oszuka, jako że daleki jest od spraw ludzkich; nawyknięcia więc człowiecze i rachuby obce są stworzeniom, o które oparłem moje dociekania.

Darjusz spojrzal na mnie badawczo.

— Et! — westchnął po chwili — ty zawsze jednaki. Już pewnie nie porozumiemy się nigdy. Obce ci są sprawy moje, nie mam też prawa wymagać, abyś szedł niewolniczo za mną... Masz słusność: raz muszą się rozejść nasze drogi.

Skorzystałem skwapliwie z takiego obrotu wywodów przyjaciela:

— Istotnie — odparłem bezdźwięcznie. — Myśl twoja — zdaje mi się — ugrzęzła w czterech ścianach celi więziennej.

Darjusz uśmiechnął się; nie zważałem na to, iżby nie zejść z toku rozmowy tej, na której mi przedewszystkiem zależało; mówiłem więc dalej:

— Wierzę przecież, że w najbliższym czasie uzyskasz wolność i siłą rzeczy wrócisz do zagadnień życia i do spraw, które nas wiążą z otoczeniem. W tych oto sprawach znajdziemy się z pewnością, to też nie martwi mnie chwilowa rozbieżność naszych myśli.

Dziwi mnie tylko to, że podczas, gdy my wszyscy, tobie bliscy, tak ciepło o tobie mówimy i tylko wyczekujemy twojego uwolnienia, ty do nas bynajmniej nie tęsknisz, ani się troszczysz, co się dzieje z sprawami, których do niedawna byłeś motorem.

— Motorem? ja? — zdziwił się Darjusz.

— Tak. Przecież wiele rzeczy stało się za twojem właśnie działaniem, za twoim wpływem.

— Hm! — mruknął Darjusz; chciał coś powiedzieć, ale urwał nagle.

Czułem, że znów rwie się nasza rozmowa, że może nie doprowadzę jej do zamierzonego tematu.

— Powiedz mi coś o pani Oldze Munchowej — ozwał się niespodziewanie i twardo Darjusz.

Zmieszałem się. W tej chwili jednak poznałem dawnego Darjusza, zawsze celował domyślnością. Czułem, że spostrzegł, iż odczwanie jego zabolowało mnie i zmieszało. Zapalił papierosa i puszczał przed siebie kłęby dymu.

W tej chwili odczułem konieczność postawienia sprawy twardo i bez ogródki; wszelako twarz przyjaciela odbierała mi wszelką władzę.

— Czy widziałeś się — zapytał — z panią Olgą, od czasu...

— Byłem u niej.

— Byłeś u niej?...

Chwila milczenia.

— Nie mówmy o tem, — rzekł nagle Darjusz.

Roześmiałem się:

— Gdybym cię nie znał, sądziłbym, że kochasz Olgę, albo...

— Albo?

— Albo, że przynajmniej wolałbyś, abym ja...

— Tak, wolałbym... Ty jednak tego nie zrozumiesz...

Chwila ciszy.

— O jedno cię poproszę, — rzekłem wreszcie — powiedz mi, czy wpływałaś na Olgę...

— To takie obojętne — przerwał mi — to dla mnie nie istniejące... Nawet nie umiałbym na to odpowiedzieć.

Odpowiedź jednak znajdziesz sam. Rozważ: Wzajemne oddziaływanie duchów jednostkowych; działanie w wyż, działanie w niż. A czasem zbawiennego działania usunięcie przez odejście od ducha wyższego, a czasem działania w niż usunięcie przez odejście od ducha niższego. Rozważ sił wewnętrznych ustosunkowanie...

A tam, gdzieś zapodziany, zapomniany, bo odepchnięty, duch jednostkowy czeka podania dłoni zbawczej, iżby oparcie znalazł, by pójść w wyż, a ta dłoń wyciągniona ściąga innego ducha w niż, choćby tamtego była zdolna podciągnąć...

Rozważ, Tymonie...

Poskoczyłem ku przyjacielowi:

— O Romanie Munchu mówisz... o mężu Olgi?...

Nic nie odpowiedział.

Darjusz snuł dalej swe myśli:

— Ogniwa jednego wielkiego łańcucha, który wypracowuje się do stopnia społeczności, nieustannie rwą się i sobie przeczą. W ten sposób bogacą zawilóść problemu społecznego. I nie ujrzyś tam łatwo podstawy społecznej istoty, albowiem ustawiczne komplikowanie wciąż zmieniających się ustosunkowań ogniw, wielość stwarza życia, zawierając jego jedność.

Tu Darjusz wskazał palcem na zarysowaną ścianę, po której poruszały się długie sznury drobnych insektów.

— Tam łatwiej znajdziesz podstawy życia zbiorowego.

Czułem, że dłużej rozmawiać z Darjuszem już nie mogę.

Rad byłem, gdy po chwili wszedł dozorca i przerwał dalszą rozmowę, dla mnie męczącą i kłopotliwą. Dozorca wezwał mnie grzecznie do opuszczenia celi.

Pożegnałem się z przyjacielem.

VII.

Zwięzienia spieszyłem do domu. Febra mną trzęsła. Jeszcze nie uprzytomniłem sobie, co się stało między mną i Darjuszem.

Rozstrzępiona myśl trzepotała lachmanami na wszystkie strony a wicher zewsząd dący niecił we mnie dokuczliwy niepokój.

Mroziła mnie myśl o dłużnej odpowiedzi na list Olgi.

Ona przecież na mnie czeka.

Jakże nierozumnie i niesubtelnie postąpiłem! i oto w takiej chwili! w chwili cichego, bez wyrzutu przebaczenia...

Zaprzagnąłem choć zewnętrznym gościem, choć obowiązującą zapowiedzią usunąć z siebie wyrzut i niepokój.

Posłałem więc do Olgi ulicznego posłańca z biletem, zapowiadającym moje przyście wieczorem. Rad byłem, że zyskałem kilka godzin czasu. W stanie, w jakim w tej chwili się znajdowałem, nie mogłem pokazać się Oldze, poza tem obiecywałem sobie wiele po najbliższej u niej bytności.

Pierś moją rozpicrała żądza szalonego pędu, całe swe jestestwo przagnąłem rozskrzydląć i wzbić się w zawrotne wyżyny poezji i miłości i tam szybować aż do niepamięci, aż do zatracenia.

Myśl o rozkoszach wieczoru rozgrzała mnie do tego stopnia, że zrazu nie uczepiła się mnie nawet obawa, iż Olga

w swej subtelnej wrażliwości może wziąć mi do tego stopnia za złe moje milczenie, że stosunek nasz znów pocnie się rysować, jak złe zbudowana lepianka pod silnem słońca działaniem.

Możliwość tę uświadamiałem sobie dopiero w miarę zbliżania się do domu, tak iż drzwi otwierałem już pełen niepokoju.

W mieszkaniu zastałem posługaczkę sprzątającą; uśmiechnęła się do siebie znacząco, patrząc to na mnie, to na stół. Istotnie też leżał tam bilet zapisany ręką Olgi:

„Byłam. Konsekwentnie przebaczam. Czekam...”

— Kiedy była tu pani? zagadnąłem gwałtownie starą.

— Może wczoraj... — odparła, zaciskając pomarszczone powieki.

— Wczoraj? jakto wczoraj?

— Karteczkę dziś rano zastałam na stole.

Zdumiałem... Więc wcale biletu nie zauważyłem ani z wieczora, ani dzisiaj... Olga czekała mnie wczoraj...

Mimo zawstydzenie ogarnęła mnie wprost dzika radość.

Postanowiłem przyspieszyć pójście do Olgi. Zresztą i tak już pora spóźniona.

Zażądałem kąpieli, stara przyrzadziła mi ją błyskawicznie. Sądziłem pozostawić w wannie wszystkie udręki i rozczarowania, wszystkie niepokoje dni ostatnich.

Z wody wyszedłem odświeżony, pogodny, radosny. Otulony w prześcieradło rzuciłem się na sofę i zasnąłem snem słodkim, jak w bajce.

W półśnie słyszałem dogadującą sobie posługaczkę, która krzątała się około mojej garderoby i głos jej chrypliwy wydał mi się miękkim, życzliwym, pono o piękności Olgi coś mamrotała.

— — — Ciemno już było na ulicach, gdy znalazłem się przed willą Olgi.

W chwili, gdy furtka willi otworzyła się przedemną, ujrzałem przez okno w hallu sylwetkę mężczyzny, któremu lokaj podawał futro. Przed drzwiami zawahałem się, sam nie wiedząc dlaczego. Uchyliłem drzwi, owiała mnie ciężka jakaś, nie dająca się określić ni wytłumaczyć atmosfera smutku.

Znajomy głos. Wchodzę, poznaję. Gość przeszedł mimo, bardzo przygniębony, nieznacznie ukloniwszy się, znikł za drzwiami.

Był to Roman Munch, były mąż Olgi.

Milcząc oddałem palto i kapelusz lokajowi. Wszedłem do salonu. Czekać musiałem dość długo. Serce waliło mi w piersi. Czulem, że coś się stało, albo, że coś złego stać się może.

Spodziewałem się ujrzeć teraz Olgę wzburzoną, może przygnębioną, albo nawet zapłakaną... Ale nie, — nie byłaby w stylu. Ona zawsze jest w swoim stylu.

Wreszcie weszła panna służąca i poprosiła mnie do bu-
duaru.

Olga w barwnym, wschodnim szlafroku o szerokich, fałdzistych rękawach, siedziała w fotelu, a na mój powitalny ukłon wyciągnęła rozkosznie ręce.

Podbiegłem i jąłem całować jej cudne dłonie, szukając ustami ramion, wylaniających się śnieżną białością z fałd sutych, opadających rękawów.

— O, niedobry, niedobry Tymie! — szeptała, a ja bez pamięci całowałem jej cudne ręce i przykleknąwszy, tuliłem głowę do jej kolan i poddawałem ją miękkim dotknięciem jej różowych, delikatnych palców.

Siadłem obok.

— Jakież było spotkanie w hallu, spytała z uśmiechem.

— Z panem Munchem? . . .

— Z moim mężem, Tymie, z moim mężem . . .

— Z byłym mężem . . . oponowałem.

— A jeśli nie, to co? — zaczęła się przekomarzać.

— Nie wierzę, nie wierzę! — i znów okryłem jej śliczne dłonie pocałunkami.

Olga wydała mi się tego wieczoru piękniejszą jeszcze, niż zazwyczaj. Rysujące się pod lekkim jedwabiem jej ciało odbierało mi zmysły. Wiedziała o tem. Z rozcięcia sutej tuniki wysunęła zgrabną nóżkę, w jedwabnej pończoszcze srebrnego odcienia, głowę zaś, podawszy w tył, ujęła oburącz, obnażając szeroko w nieskałanym alabastrze toczone ramiona. Oczy zmrużyła, patrząc mi prosto w twarz.

Przez pogodną tęczę jej spojrzenia przemknął cicho cień smutku — i uleciał. Znów tęcza całym blaskiem zajaśniała.

Tak patrzeć w obraz wymarzony było największą dla mnie rozkoszą; patrzyłem w zachwycie i upojeniu i milczałem, aby słowem nie skazić czystości niebiańskiego wrażenia.

Ona to czuła i milczała również.

Weszła panna służąca z czarną kawą i likierami. Pani domu poczęstowawszy mnie, siadła do fortepianu i cicho jęła przygrywać własne kompozycje. Czułem, że klawiatura mówi tylko do mnie. Pieśni te, to powtórzenie obrazu, przeżywanego przed chwilą. To kolejne warjanty naszej miłości.

Olga zakończyła przykrym, acz cichym akordem, westchnęła głęboko i chwilę patrzała przez okno w oddalone światła uliczne.

— Olgo, — przerwałem ciszę — czy spotkało cię dzisiaj coś smutnego.

— Tyle radości! tyle światła! że tamto w potoku gwiazd gdzieś utonęło.

— Więc przebaczyłaś? wszystko przebaczyłaś mi Olgo?

— Wszystko... A ty?

— Jeśli miałem co do przebaczenia...

Ucałowałem ją w rękę z całym szacunkiem.

Milczeliśmy przez chwilę.

Olga wypila czarną kawę i podała mi papierosa.

— Zdziwiłeś się pewnie, spotkawszy się w hallu z panem Munchem?

— Istotnie, nie spodziewałem się.

— Zapowiedział swą wizytę, przybył załatwić pewną formalność majątkową; musiał uzyskać mój podpis, a ja jego. Widzisz więc, że formalnie zależną jestem od niego — a więc mój mąż... Z praw formalnych próbował przejść do faktycznych.

Szukał najwyraźniej porozumienia...

Patrz, jak się ubrałam... — tu uczyniła zgrabny ruch taneczny, ujawniła zalotnie fałdy tuniki, a pokazawszy zgrabne nóżki, dyga uczyniła i siadła w fotelu.

— Sądziłeś może, iż dla ciebie się tak ubrałam?

Tym razem nie. Tak przyjąłem ex-męża. Niech rozkochane jego oczy widzą co straciły.

— Jesteś okrutna — rzekłem półzartem.

— Miłość jest słodka i okrutna...

— Munch — rzekłem — wyszedł bardzo przybity.

— Wiem. Niech wyrównanie będzie obustronne, wtedy wyleczymy się oboje z miłości...

— Już go nie kochasz?...

— A jeśli tak, to co? miły Tymie — rzekła zalotnie i kocim ruchem przybliżyła się i usta nachyliła, niby do pocałunku.

Raziła mnie rozmowa ta o panu Munchu. Udałem, że zalotów Olgi nie wziąłem do siebie. Pociągnąłem ją za rękę, izby usiadła i sam uczyniłem to samo, skierowałem rozmowę na moje odwiedziny Darjusza w więzieniu.

Olga dopytywała się o wszystkie szczegóły i litowała się nad nieszczęsnym rewolucjonistą, tłumacząc go jak mogła.

— Każdy człowiek — dowodziła — musi nadmiar swej energii uzewnętrznić. Darjusz uczynił to w czynie społecznym, wzniciwszy rewolucję, aby wykazać jej nicość.

— I wykazał?

— Nie, ale w tych gigantycznych zapasach uzewnętrznił nadmiar swej energii — o to też tylko chodzi. Powiesz, że to rozmowanie kobiece — być może, ale niemniej słuszne.

— Być może — odparłem — ale radbym ci stawić pewne zapytanie dotyczące...

— No?

— Dotyczące nas obojga i Darjusza...

— O mój zazdrośniku, zawołała Olga wesoło. Myślałam przedtem, że o Muncha jesteś zazdrośny, a to o Darjusza ci chodzi.

— Bynajmniej. Znam Darjusza na tyle, że wiem, iż kochając ciebie, przystąpiłby wpierw do mnie i w ten, czy inny sposób załatwiłby się wpierw ze mną, zanimby pierwszy uczynił krok ku tobie. To twarda, od zasady nigdy nie odstępująca, pełna samopoczucia natura. Darjusz niczego nie czyni podstępem i kłamstwem. Prawda, Olgo? Sama to przytwardzić musisz.

— Bezsprzecznie.

— Otóż to! Jednakże o czem innym chcę mówić. Z tego, co mi Darjusz powiedział dzisiaj o nas obojgu i o własnym na nas minionem oddziaływaniu, widzę, że między nami było wiele niedomówień i przez to mogły między nas wejść ideje Darjusza i nas na tak długo — rozdzielić.

Olga zdziwionemi patrzała na mnie oczami:

— Więc tak? tak sądzisz?...

— Darjusz — ciągnąłem dalej — to fanatyk ideji. On to — jak sądzę, wlewał w nas kroplę po kropli swoich wątpliwości, które w nas zasiały zarodek zwątpienia...

Bo zwątpiliśmy w naszą miłość — prawda?

— Prawda... prawda... A czy ci tłumaczył Darjusz co o sobie, w stosunku do naszej miłości.

— „Laurowe i górne“ były słowa jego i bezpośrednio nie tłumaczyły żadnych poczynań realnego życia, jednakże rzuciły dużo światła...

Czy możesz, Olgo, dzisiaj mi wyjawić coś o działaniu Darjusza w naszej miłości?

Nie z żalu do niego pytam, iżby go potem oskarżać i żywić żal do przyjaciela; nie, nie! Chciałbym tylko usunąć wszystek cień niedomówień między nami. Olgo, czy możesz dziś już wyjaśnić mi cokolwiek?

Olga słuchała zamysłona; w oczach jej czytałem, że stopniowo zagadka jej się rozjaśnia. Wreszcie z załamanemi rękoma stanęła przedemną i jęła mówić:

— Teraz dopiero zaczynam odgadywać tajemnicę naszej wspólnej omyłki. Przyznaj, Tymonie, w skrytości duszy oskarżałeś mnie, żal czułeś... prawda?

— Czułem żal...

— I ja żal czułam i ja oskarżałam cię w swem sercu...

— A teraz? — teraz, nie oskarżając Darjusza, bo go

o niskie nie posądzam cele, widzę w nim źródło naszego chwilowego rozstania się...

— Tymonie! W tobie widziałam tak wysokie wartości, że już dla nich, mimo oskarżeń i żalu nosiłam w sercu pełne wytłomaczenie. Ani na chwilę też nie potępiłam twojego odsunięcia się odemnie.

— Ja się odsunąłem? — spytałem z żalem.

— Poczekaj... Mówię, jak pojmowałam wówczas.

Otóż wiesz dobrze, że Darjusz wszystką swą myśl i wszystko działanie skupia w jednym wewnętrznym pragnieniu ustawicznego kroczenia wzwyż. Prawda? Tę dążność rozkłada także na swe otoczenie. Czasem wygląda to na manję, ale to nie umniejsza jego intencji. Teraz rozumiem, co go spowodowało do nakłaniania mnie, abym dla twojej miłości od ciebie się odwróciła, godząc się z panem Munchem... Teraz rozumiem, dlaczego forsował mnie do tego... a skoro wreszcie powiedział, że mi to mówi po rozmowie z tobą, że wie, iż ty czujesz obniżenie swego lotu w miłości ku mnie, że jeno jako mężczyzna... więc cóż mi pozostało, gdy uwierzyłam słowom Darjusza, a szlachetną jego intencję widziałam?... Toż odwróciłam się od ciebie, abys ty tego czynić nie potrzebował... Ale myślałam, że czynię to na skutek twojego cichego żądania...

— Olgo! co mówisz? — zawołałem uderzony tem wynurzeniem jak gradem kamieni — Więc to myśl o mojem cichem żądaniu odwróciła cię odemnie?

— Tak, Tymonie.

— Darjusz mówił nieprawdę.

— Mówił od siebie, tak ciebie osądzał.

— Jakże on mógł! jakim prawem wdarł się w moje wnętrze i fałszywem tam zaświecił światłem?... Więc tak?!

— I mnie wmawiał Darjusz niższe we mnie, niż w tobie wartości wewnętrzne — mówiła w podrażnieniu Olga. — Powoływał się na moje sumienie, twierdził, że nie mam prawa ściągać cię z wyżyny ku sobie... Wszystko to mówił daremnie; ale skoro na twój sąd o mnie się powołał, to już kobieca moja ambicja nie zezwalała mi postąpić inaczej...

Oldze łzą zaiskrzyły się oczy. Chwyciłem ją za rękę i uspakajałem, długo przekładając jej wszystkie delikatne odcienia onych zawiślań trojga ludzi dobrej woli. Chmury, które były osiadły w nas jako osad, pierzchły, pozostawiając w sercach naszych czyste promienie słońca po ponurej burzy. A potwierdzeniem mego odzyskanego szczęścia było to, że oto trzymałem w ramionach przytuloną do mej piersi postać drogiej kobiety i mogłem z jej oczu wyciąlowywać wszystką pozostałą jeszcze łzę, a z ust wszystką słodycz, która mi się wróciła.

Olga oplotła ramionami mą szyję i tak zawisła, tuląc swe piersi do moich, że rytm jej serca czulem wyraźnie i ona czuła zgodny rytm mojego. Z szczęścia byłem pijany.

Jednym niemal ruchem ręki,* rozerwałem spięcie jej szlafroka, obnażając wpół piersi i ramiona. Olga wyrwała się łagodnie z mych objęć i podtrzymując obfite, nie dbale z jej białego ciała zwisające fałdy, jąła wsypywać do srebrnego naczynia na wysokim trójnogu kilka szczypt myrrhy. Błękitne pasmo dymu wzbilo się ku rozpustnym amorkom na suficie i odurzającą wonią nappełniło powietrze buduaru.

Olga nalala kilka kropel złotego płynu do kieliszka z winem i wyciągając rękę z napojem ku mnie, zawołała rozkosznie:

— Pij!

Jednak kieliszka mi nie dała, jeno wychyliła sama, a przystąpiwszy do mnie, podała mi usta, a ja z jej ust piłem napój tajemnej rozkoszy. Pociągnęła mnie do swej alkowy...

Snudo się pasmo dni jasnych mojego życia. Pełną dłoń czerpałem zeń, a Olga dostarczała mi wciąż nowych, wyszukanych rozkoszy. Nigdy dotąd nie wiedziałem, że miłość może być tak piękną. Wyrafinowana kultura wewnętrzna Olgi nie zezwalała nawet na najdrobniejszą nie-subtelność w naszym stosunku. Dlatego tak piękna była miłość nasza.

Od dłuższego już czasu rozmawialiśmy zupełnie już swobodnie o wszystkim, co do niedawna nastęczało pełno niepożądanych możliwości i dotknięć bolesnych. Wszystko, co nas otaczało, zdało się służyć naszej miłości. I dyskretne — może naiwne, niewolnicze zachowanie się Muncha, dalszy pobyt Darjusza w więzieniu, nawet oddalenie się w mej pamięci Achimana — wszystko to jednemu i jedyemu służyło celowi: naszej miłości.

Pewnego dnia zaproponowała mi Olga przejażdżkę saniami za miasto. Dzień był mroźny, słoneczny. Olga otulona w ogromne futro z soboli siadła w saniach, ująwszy mnie pod ramię.

Zakwiliły dzwonki, ostry śnieg zaskrzypiał pod saniami. Ruszyliśmy z kopyta. Na zakręcie jednej z ulic stał młody mężczyzna w wytartym futerku i ciekawie przypatrywał się naszym saniom. Uchylił czapki ruchem niepewnym.

Był to ów młodzieniec z głową w kształcie trapezu i wielkimi, ledwo do czaszki przyczepionymi uszami. Olga uśmiechnęła się i przycisnęła moje ramię.

— Od pewnego czasu — rzekłem do Olgi — młodzieniec ten spotyka mnie niemal na każdej ulicy. Mam wrażenie, że włości się za mną.

— Śledzi cię — zaśmiała się Olga. Co najwyżej wy-
pośrodkuje, że się kochamy...

Czy i on?...

— Ach taki zabawny... taki nieśmiały, a jednak ła-
komy...

Po chwili zagadnąłem:

— Jak ci się podobają jego uszy?

— Bardzo rasowe... odcięła, mitygując wyraźnie moją
niesubtelną pogardę dla domniemanego rywala.

Za miastem konie pomknęły wyciągniętym kłusem. we-
soło parszając i rzucając bryłami śniegu w naszą stronę.

Umilkliśmy przytuleni do siebie. Tak sunęliśmy długo
poprzez daleką, cichą równinę. Doznawałem w tej chwili
uczucia, które mnie częściej nawiedzało, a było ono zgoła
nieokreślone. Wiem tylko, że czułem je w sobie wtedy zawsze,
gdy osiągałem stan ukojenia po długiej udręce albo zbyt
rozszałałem tempie wezbranych pragnień. Wtedy ogarniał
mnie spokój, w którym zaczynał się bies oczekiwania i prze-
czucia. Wtedy też zjawa onego psa zbłąkanego tłukła się
w zakamarkach mej skolatanej duszy. Tak też w tej chwili
przesunęło mi się widmo sfory psów, łańcuchem sunących
po równinie śniegu. Kundle biegnące za suką, wspólną
żądzą gnane i wspólną złączone do się nienawiścią. A w
sforze tej ohydnej ujrzałem owego psa zbłąkanego, który
zawsze ze mnie się wyłaniał, gdy miało się stać coś, co we
mnie wywoływało wstrząs i przewrót.

Przykre te myśli przerwała wreszcie Olga:

— Chciałabym przejść się po śniegu... stańmy, pójdźmy pieszo...

Zatrzymałem woźnicę.

Wysiedliśmy. Polecilem woźnicy, by przejeżdżał konie, a my niebawem tu wrócimy.

Zdjąłem z Olgi wielkie futro.

W białym swaeterku wyglądała jak cukierek z choinki.

Ująłem ją pod rękę i skręciliśmy w wąwóz, brodząc po kolana w śniegu. Rozmawialiśmy wesoło i przekomarzaaliśmy się jak dzieci, zabawiając się niekiedy walką na kule śniegowe. Wśród śmiechu i swawolnej radości uszliśmy spory kawał drogi.

Nagle pod brzozowym laskiem spostrzeżyliśmy dość liczną gromadkę ludzi zbitą w jedną masę. Chciałem ich ominąć, ale Olga oparła się, koniecznie pragnęła zaspokoić swoją ciekawość, jakby istotnie było czego. Twierdziła, że lubi wieśniaków, a tam musiało wydarzyć się coś ciekawego.

Podeszliśmy.

W rzeczywistości ujrzelśmy obraz niezwykły.

Czarna, zbita, milcząca masa skulonych ludzi utkwiała całą swą uwagę w człowieku siedzącym na ogromnym kamieniu i prawiącym coś — niby kazanie.

Niektórzy słuchacze pozdejmowali czapki nabożnie, z przejęciem łowiąc każde słowo kaznodzieji. Dobrotliwe oczy niektórych z pośród gromady zwrócone na chwilę w naszą stronę zachęciły nas i zaciekawiły. Olga ciągnęła mnie za rękaw, szukając oczami mówcę poprzez głowy słuchaczów. Gdy zbliżyliśmy się, ci z brzoza rozstąpili się, czyniąc nam miejsce w gromadzie; przyłączyliśmy się, czując odruchowo pewne ciepło od ludzi tych bijące.

Głos kazającego człowieka dochodził mych uszu, chwytalem poszczególne zwroty, jednakże zrazu treści uchwycić nie zdołałem. Spojrzałem uważniej w twarz mówcy.

Drgnąłem.

Poznałem...

Olga zauważyła, że ów człowiek uczynił na mnie wrażenie; spojrzała na mnie pytająco.

— Achiman! — szepnąłem jej w ucho. Imię to wszakże nic jej nie mówiło.

Zwolna zacząłem wiązać poszczególne zdania mówcy i łączyć je uważnie w jedną całość, zorientowałem się, że Achiman przed chwilą zamknął jedną część swej nauki i przeszedł do następnej.

Patrzałem w twarz jego i przypominałem sobie jego bytność u mnie; bociana wspomniałem... zginionego bociana.

Głos starego żyda przykuwał moją uwagę do tyła, że musiałem przestać myśleć o Achimanie przynoszącym mi ptaka ze złamanem skrzydłem, nawet już nie w jego osobę byłem wpatrzony, jeno słów jego prostych, mocnych, nieomylnych, a jednak niezmierną dźwięczących łagodnością słuchałem z uwagą największą.

Achiman kazał:

— Gdy przeto złączycie to, co wam rzekłem, w jedno, łącno ujrzycie prawdę tę, iż w wszystkiej duszy jest duch i jest zwierzętwo. I mówię wam: Bóg jest duch, a człowiek: Duch — Zwierzę. A ma on być Bóg — Człowiek...

Życie ludzkie to wyzwalenie się Boga z Zwierzęcia. Macie tedy w sobie zabić Zwierzę, macie w sobie wyzwolić Boga.

Tę prawdę głosiły ludzkości duchy najwyższe już w zaraniu wieków i prawdę tę głoszą przez wieki objawiciele,

ale małość człowiecza według siebie mierzy prawdy objawione.

Ofiarę zwierzęcia złożono cielesną, wygodę sobie czyniąc kosztem stworzenia słabszego.

I rzezano bydlęta i barany, a Bogu ciało ich ofiarowano na stosie. A nie czyniono ofiary z zwierzęcia w sobie.

Abraham w duchu posłyszał o potrzebie takiej ofiary. Umiłował był nad wszystko syna Izaaka.

Abraham Bogu służył duszą całą; miłość do syna mniemał zdrożną, iż to miłości bożej na zawadzie stała. Usłyszał tedy w sumieniu głos: zabij Bogu Izaaka.

Abraham tedy na znak wierności jął się noża, iżby krew syna Bogu złożyć w ofierze.

Ale żarliwość ta zesłała nań nagłe rozjaśnienie: nie ofiary krwi żądny jest Duch, ale ofiary wszystkiej niższej miłości...

A mówię wam, iżże najniższa z miłości jest ta, co nie mieści się w sferze ducha... wszystka ona jest zwierzęciem w nas, wszystką Duchowi złożmy w ofierze.

Właściwościom zwierzęcia nie czyniąc gwałtu (jako że jest stworzeniem bożem) przemieniajcie je w właściwości Ducha. Zabijajcie tedy zwierzę w sobie. Tych oto prawd wyłożonych wedle Ducha nie uczy was ojciec ni matka, ani szkoła, ani ksiądz lub rabin, jako że mniejsi są od najmniejszych Abrahama potomków z ducha, a Abraham zbłądził, mając się noża, którym miał zgładzić Izaaka.

A mówię wam: nauka wasza mniejsza jest, aniżeli cień wspomnienia Abrahama i małość człowiecza naukę umniejsza, choć ją objawiają czystą Chrystusy wieków.

Szczęśliwość — mówię wam — w was jest, w czastce boskiej duszy waszej. Wszystek zasię niepokój i udręka

w zwierzęciu jest, które żywie w was. Chcecie szczęśliwości wiecznej już w tem życiu, miłujcie boską w waszej duszy częśćkę.

Jeśli miłujesz dziecię swe, miłuj boską jego część. Jeśli miłujesz niewiastę, miłuj ją po to, iżby z miłości tej nowa częśćka ducha bożego wykwitła. Jeśli społeczność miłujesz, czerp z niej moc ducha i swą częśćkę boską oddaj jej w ofierze.

Wszystko inne — to zwierzę w dziecięciu, zwierzę w niewieście, zwierzę w gromadzie...

I tedy patrzajcie na te włóczące się psy za jedną suką...

Takie są domy wasze, taka wasza społeczność.

Ja oto — Achiman — żyd pogardzony przez chrześcijan, wypchnięty z zakonu mojego, sam jestem, jako że nie chcę żyć w społeczności psów, żrących się o sukę, albo o ścierw.

Przeto jestem w pogardzie i jeno mała garstka was mnie słucha, a pośród was nie wszyscy do mojej wejść mogą społeczności z ducha...

Sposóbcie się, albowiem dzień jest niedaleki pokolenia tego, w którym zabite będzie zwierzę w człowieku, a który tylko miał zwierzę, zabity będzie, bo wszystko w nim będzie zabite..."

— — — Poczulem, że ramię Olgi drży, jak w febrze. Zaczęła pociągać mnie i wysuwać się z gromady. Ociągałem się, pragnąłem słuchać dalej, jako że zaciekał mnie wątek ideologiczny Achimana.

Pozatem chciałem doczekać końca, przecież marzyłem o odnalezieniu Achimana. Jakże nie skorzystać z tej niezwykłej sposobności...

— Chwilkę jeszcze — szepnąłem Oldze do ucha... Nie mogę! ja muszę!...

Olga posmutniała. Widziałem to, ale pragnienie zamienienia choć słów kilku z Achimaniem przemogło. Jakoś też niebawem skończył. Jeden z słuchaczy przystąpił do starego żyda — widocznie szukał porady... Postanowiłem przeczekać i uczynić to samo.

Wysunąłem rękę z pod ramienia Olgi i przybliżyłem się do Achimana. Ów, który z nim był rozmawiał, cofnął się już, czułem, że na mnie kolej. Podszedłem. Odeszła mnie odwaga... Achiman spostrzegł mnie, uśmiechnął się przyjaźnie. Nie wiem, dlaczego zdjąłem kapelusz jak przed świętością i tak stałem, nie mogąc wymówić ni słowa. Czułem, że wszyscy obecni na mnie zwrócone mają oczy.

Chciałem pochwycić rękę Olgi i wspólnie klęknąć przed starym żydem, aby błogosławił naszej miłości.

W mgnieniu oka jednak wydał mi się ten zamiar świętokradztwem. (Tak mała była wtedy miłość nasza?)

Achimian ozwał się do mnie łagodnie:

— Bywaj, przyjacielu, cóżes uczynił z bocianem, którego powierzyłem twej pieczy?

Żyd uśmiechnął się dobrotliwie; stałem oszołomiony, przeczuwając znaczenie tego zapytania.

— Nie lękaj się — rzekł łagodnie Achimian. Ptaka ci wykradłem, jest u mnie bezpieczny... Gdy za nim zatęsknisz, przyjdź do mnie...

Żyd wstał, uściskał mi rękę i poszedł. Za nim ruszyła cała gromadka, jeno niektórzy w inną podążyli stronę. Zostaliśmy sami.

Olga coś mówiła do mnie; przynaglała. Nie rozumiałem. Spostrzegłem jednego z odchodzących słuchaczy. Podbiegłem, skinawszy na Olgę, by szła za mną. Jąłem dopypywać się bliższych szczegółów o kazającym żydzie. Nie-

znajomy zrazu odpowiadał mi powściągliwie, jakoby z pewną nieufnością, uprzytomnił jednak sobie, iż coś musiało mnie łączyć osobiście z Achimanem, skoro mówił do mnie o powierzonem mej pieczy bocianie. Nabrał tedy do mnie zaufania. Dowiedziałem się więc, gdzie jest mieszkanie Achimana, że przy nim jest młodziutka jego wychowanka, chrześcijanka, że dzieci wszystkich wsi okolicznych radośnie krzyczą na jej widok i biegną po łakocie i dobre słowo. Oповідаł mi dalej chłop, jak to co dnia niemal nawiedza Achiman jedną lub drugą wieś i prawi znękanym ludziom takie piękne rzeczy, że aż się dusza nieco uspakaja i nowej nabiera siły. To nie to, co ksiądz jegomość, co przepowie wyuczone pacierze, a potem jeno gromi, a straszy piekłem, głodem i zarazą.

Bóg, którego objawia ludziom Achiman, jest to Bóg dobrotliwy, na nędzę ludzką czuły i nie tropiący win ludzkich, jeno ludziom błogosławi, przebacza.

Za to przeklinają żydy Achimana, za to przeklinają go katoliccy ludzie. Ale wiadomo w gromadzie, że to człek dobry, choć żyd, a krzywdy nie chce niczyjej, raczej dopomoże. Inaczejby było, gdyby gromadom takie ludzie przewodziły, inaczej!...

Zapytałem chłopa, czy wszystko rozumieją, co im żyd prawi.

— Póki prawi, to i rozumie się, a potem niejedno się zmyli; ale zawsze coś tam pozostanie na duszy, a ukojność jakaś na czas pewien w człeku osiedzie...

O! jakże zazdrościłem temu prostakowi wielkiej umiejętności wsłuchiwania się w dobro wieszczzonego słowa. On pół nieba nosi w sobie już za życia.

Wracaliśmy z Olgą przez wysoki śnieg w wąwozie. Już błękit wieczoru rozpostarł się po śnieżnych stokach wąwozu, jeno wysokie jego krawędzie złociły się w promieniach zachodzącego słońca.

Westchnąłem na widok ostatnich tych pozłocen i zanurzyłem się myślą w błękitcie, który w cichości powszechnej rozlał się szeroko, jakby pod zaklęciem słów Achimanowych.

— Jak ślicznie złoto śniegu nam połyska, tam w górze — zauważyła Olga z melancholią.

— To już ostatnie — zda się — połyski — odparłem niechętnie.

Olga spojrzała na mnie, jakoby z oczu wyczytać mi chciała słów tych znaczenie.

Przycisnąłem mocno ramię Olgi:

— Dzieciak z ciebie... Już widzę — rozstroił cię stary kaznodzieja.

— Nie on, ale...

— Ale?

— Raczej twoje nadmierne przejęcie się tym starym żydem.

Nic nie odparłem. Szliśmy w milczeniu, wreszcie zagadnąłem:

— Co sądzisz o Achimanie, o tem, co mówił tym ludziom?

— Tym ludziom? — powtórzyła — a nam nie?

— Może i nam... Czy jednak mamy się tem smucić?

— Zależy.

Olga ozwała się po chwili:

— Słowa Achimana były istotnie niezwykle... O tych sprawach dzisiaj się nie mówi... Ale czy mamy brać je dosłownie?

— Zapewne, — rzekłem po namyśle.

— I stosować do siebie?

— Wedle przekonania...

— A ty? — spojrzała niespokojnie na mnie...

— Jeszcze nie wiem.

— Nie wiesz? Tymonie — z wyrzutem zawołała — Czy ty nie czujesz, że wszystko to, co on mówił, to jest równoznaczne z mieszanem z błotem naszej miłości? Czy ty nie otrząśles się na jego słowa, o psach, żrących się o sukę i o ścierw... Tymonie! — on mądry, może bardzo mądry człowiek, ale — przyznasz — w określeniach czasem zbyt mało ciosany.

— To nie o to chodzi, Olgo! On mówił — prawdę...

— Prawdę mówił?...

— Rozwinę rzecz może w domu, gdy wrócimy, tu nie sposób.

Dochodziliśmy właśnie do sań. Mrok już zapadał, gdy ruszyliśmy ku miastu

Olga oparła głowę o moje ramię, przycisnąłem ją silnie i tak mknęliśmy w błękitie wieczoru.

VIII.

Przeczucie nie zwiodło mnie. W kilku zaledwie zdaniach zawarta nauka Achimana uderzyła w świadomość naszej miłości, jak grom.

Czy stało się coś niespodziewanego? Czy miłość nasza była czemś wyjątkowem, jak się to nam wydawało? Czy nauka Achimana jest nowem jakimś objawieniem? Czy wreszcie to, co się stało, spadło na mnie nieoczekiwanie? Zdawna czułem, że obok mnie snuła się jakaś myśl wielka, rodząca się, choć odwieczna... Tak, obok mnie! I tylko niekiedy owa wielka idea dotykała mej duszy, przypominała się i w obręb swój zapraszała. Szukałem jej, a jednak głos jej głuszyłem w sobie rozgorzałą namiętnością do Olgi.

Jakto? Czy miłość nasza nie może pomieścić się w nauce, którą objawia Achiman, i z niej czerpać siłę i piękno, uszlachetnić się i ziemię nam w niebo przemienić?...

Już usłyszałem poszept mówiący, że miłość nasza jest większa, niż wszystka wielka myśl, przeto w niej się nie mieści.

Już też głos ten chciałem ponieść Oldze, iżby rozradowała się i przestała trwożnie patrzeć mi w oczy... Ale w tejże chwili poznałem, iż próbuję sam siebie oszukać.

Mnogość pytań szarpała mi wnętrze w tej chwili i nie umiałem żadnego z nich zaspokoić, nie raniąc naszej miłości.

Niedojrzałość!

Przedwczesne szamotanie, przeto daremne. Tak! Tak! Słowa te powtarzałem sobie po wiele razy, one mnie uspokajały, a przynajmniej tak mi się zdawało, bo tego chciałem.

Czułem jakieś wewnętrzne przygotowania do zajadłej walki, czułem, że mam stać się jakimś mistycznym naczyniem, w którym zakipieć ma nieznany mi rozczyń, kompozycja wzajem żrących się substancji. Czy war ten rozsądzi ściany mej duszy? Czy zeżre je?

W oczekiwaniu strasznych przeżyć wewnętrznych nie traciłem spokoju. Wiedziałem, że to stać się musi, że stać się powinno.

Przemiana była konieczna, zbyt wiele nagromadziło się we mnie pytań, które musiały być rozwiązane.

Walki nie lękałem się. Poczulem w sobie żelazną moc, a ta była mi potrzebna w tej chwili, iżby Olga we mnie miała oparcie.

I dobrze stało się, że rozpętany szał rozkoszy zwolna układał się, jak wody z górskich spadów pochodzące w równiny dał spokojną. Co dnia więcej było miejsca na wymiany myśli między nami i nieraz zapuszczaliśmy się w odległe tajnie bytu.

Oboje czuliśmy, że nieraz rozmowy nasze nie były szczerze; uczucie, które nas łączyło, żądało wymijań, wilo się zgrabnie między myśłowemi tezami, jak wąż w cierniu.

Po niejakiem czasie, czułem wewnętrzną potrzebę stopniowego przycierania kantów naszego stanu wewnętrznego, tak, iżby mniej konieczne były naszym myślom wyszukiwane zaokrąglenia.

Chciałem, by okągłość z okągłością się łączyła, by znikły tarcia i zgrzyty, albo by ustała konieczność ich omi-

janina. Nie chciałem, by uwaga nasza i wysiłek wewnętrzny odprowadzone były w kierunku konieczności wymijań i uzgodnień... o tyle bowiem myśl nasza była stępiona, o tyle pochod nasz powolniejszy, o tyle miłość nasza obniżona.

Olga, która w swym kobiecem, pełnem uczucia sercu zatraciła wrażliwość na wszystko, co nie łączyło się bezpośrednio z naszą miłością, potrzebowała rozjaśnienia tego, iż miłość jej nie jest wyrwanem z nieba i w żyły zaszczipionem zjawiskiem i bez żadnej z zagadką świata łączności. Staralem się więc tłumaczyć Oldze wszystkich zjawisk wzajemną zależność i wzajemne dopełnienie. Wszelako — wciąż jeszcze będąc zmuszony omijać to, co miłość naszą zadraskać mogło, sam z sobą nie byłem w zgodzie. Stopniowo jednak dochodziłem do tego przeświadczenia, iż ideowe okłamywanie się najbardziej uczuć naszych czystość poniewiera.

Pewnego wieczora zarzuciła mnie Olga takim nawąłem pytań zasadniczych, że zrazu nie odpowiadałem na nic, próbując wszystkie w sobie zsumować. Czułem, że czas, by wewnętrzne porozumienie między nami stało się rzeczą dokonaną. Zadanie nie było łatwe, każde bowiem zagadnienie zbyt pośrednio dotykało wrażliwej dumy Olgi. To też nim zdołała uchwycić wątek moich dowodzeń, wiele starć przekonaniowych zaszło między nami. Wszelako słuchała mnie coraz spokojniej.

— Zadaniem myślącego człowieka — dowodziłem — jest dążenie do ustosunkowania własnych aspiracji duchowych z zagadnieniem myśli filozoficznej, ustalonej według własnego przekonania. Jeżeli zaś nie uchwycimy tak szerokiej myśli, na jaką nasz mózg i nasze czucie wewnętrzne zdobyć się może, sami siebie będziemy okłamywali.

My, którzy poza własnymi sprawami żyjemy ideją, jakąś myślą wewnętrzną, nie możemy rozszczeplić dążeń osobistych od dążeń ideowych, musimy starać się je łączyć w zgodność absolutną.

Jest to zjawiskiem powszechnem, że ludzie ideji zapatrzeni są w jednym kierunku, w szczyt swoich myśli i mieniają go szczytem wszystkich ideji.

Jest to omyłka zasadnicza. Stąd pochodzą ideowe konflikty, stąd wypaczenie najszlachetniejszych haseł i dążeń.

Nie znamy ustosunkowania poszczególnych idei.

I na przykład: może być dana idea zwalczana z założeń niesłusznych przez jednego człowieka, a równocześnie tą sama idea zwalczana być może przez innego z założeń najszlachetniejszych. Jeden z nich będzie miał rację, zwalczając daną ideję, drugi zaś racji mieć nie będzie, czyniąc to samo.

Weźmy jeno pod uwagę np. ideję narodową, która dla tak zwanych patriotów jest alfą i omegą ich życia. Tę ideję zwalczą socjalna międzynarodówka, zwalczą ją socjalizm. Czy słusznie, nie chcę tu przesądzać, ale w każdym razie niesłusznie zwalczą ją przeciętny socjalista, ten, który oto co miesiąca niemal demonstruje na ulicach wszystkich miast fabrycznych; on bowiem ma w sobie ideologję brzucha, jego aspiracje redukują się do dnia codziennego. Taki oto człowiek stoi niżej ideji narodowej, on bowiem nie zdolny jest wyczuć tych wszystkich tajnych związków wewnętrznych ludzkiej gromady, które ją ściśle łączą w jedną całość.

Taki oto człowiek zwalczą ideję niesłusznie, bo do niej nie dorósł jeszcze.

A typ człowieka z przeciwległego biegunu? Przypatrzmy się człowiekowi, który z innych przyczyn nie jest „narodowcem“ albo nawet zwalcza nacjonalizm.

Wszyscy wielcy ludzie, którzy bezpośrednio zaważyli na urabianie się duszy świata, stali zawsze *ponad* ideją narodową.. Wszyscy twórcy systematów religijnych i filozoficznych, wielcy uczeni socjologowie, prawodawcy, poeci, artyści... I jeżeli który z nich zajmował się wogóle kwestją narodowościową, w stosunku do własnego społeczeństwa myślał nacjonalistyczną, to zwalczał ją, jako ideję sprzeczną z ideją wyższą, albo przynajmniej umiał ją tej ostatniej podporządkować.

Taki oto człowiek zwalcza nacjonalizm słusznie. On przezeń już przeszedł, on w swym rodzaju jest już dalej posunięty.

To też nie dziwmy się, że np. Słowacki po „Kordjanie“ mógł napisać: „Są ludzie, którzy i za Jowisza konali — i za Grecję — i za kościół i za papieża i za ojczyznę. — Wszystko to jedno, skonać za bałwana. Jedynie ci, którzy konają, aby w sobie[!] synostwa Bożego przed potęgą ziemi nie ugięli, konają jako ludzie.“

— — Olga zamyśliła się głęboko, wreszcie rzekła:

— W takim razie jak sobie tłumaczyć miniony codo-piero ruch rewolucyjny, który po swem zwycięstwie teraz z takim hałasem wywiesza sztandar narodowy, a zjawisko to w wszystkich widzimy państwach i narodach.

— Rzecz prosta — odparłem. — Masa społeczna, syta zwycięstwa socjalnego, przechodzi do idei wyższej, idei narodowej po to, aby z czasem, nasyciwszy się patryotyzmem, wszcząć rewolucję o zbratanie ludów. — Czy zaś masa ludzka zdolna jest pójść dalej w onej idei? — w to wątpię, bo

w każdym ustroju znów podnosić się będą męty od dołu. Ale dalsza myśl wciąż żyje w wielkich duchach jednostkowych, a ta jest ponad wszystkie ideje ustrojowe, jako że żyje w sferze czystego ducha.

I sami nie zdajemy sobie z tego sprawy, że ostatecznie duch prowadzi nas przez wszystkie wieki, że tam jest źródło ideji i jej cel zarazem. Wszystkie inne są pod-ideje...

Chwila ciszy. Czuję, że Olga wciąż szuka nici łączącej ludzką jednostkę, jej uczucia i dążenia z oną najwyższą ideją, która stoi ponad wszystkimi innymi. Z twarzy Olgi czytałem, że teraz dopiero wyczuła ogrom duchowej przestrzeni między sobą a ideją. Teraz dopiero zaczęła rozumieć słowa Achimana, rzeczony onej zbitej gromadce ludzi wśród błękitów śniegu i ciszy wieczornej.

Oboje słyszeliśmy w duszy głos wołający: „zabij w sobie zwierzę!”

Widziałem poprzez spojrzenie Olgi, jak z wolna układały się w jej umyśle poszczególne stopnie ludzkich ideji, jak zagadnienia wzajem się ustosunkowywały. Wymowne też było lekkie ściągnięcie jej brwi: Myśli, ułożonej w mózgu nie wpuściła do serca.

Po długiej chwili spytała nieco zmienionym głosem:

— A my co?

— My chcemy być razem, jako jedno w obrębie ideji.

— To niemożliwe — rzekła po namyśle. — Jeżeli to jest niemożliwe — w takim razie miłość nas trzyma poza obrębem ideji?

— Tak, miłość jest...

Nie zdążyłem dokończyć. Olga nagłym ruchem dłoni zacisnęła mi usta. Wpierw sądziłem, że czyni to żartobliwie;

ale ona odjąwszy rękę od moich ust, odwróciła się zachmurzona.

Pierwszy kolec idei drasnął węza w ciemniu. Ukłucie odczuliśmy oboje boleśnie.

— — — Po tej rozmowie zaczęły się w nas dziwne zabiegi około uskrzydlenia naszego uczucia w złote pióra wielkiej myśli.

Każde z nas działało na swój sposób. Czulem, że między tem, co do tego czasu rzekłem Oldze, a tem, co wyjawić powinienem, jest ogromna luka. W tej to luce ciemnej gubiło się nasze wzajemne uczucie; aby się odnaleźć, zmuszeni byliśmy lukę wypełniać tem, co Achiman zwał zwierzęciem w człowieku.

To też, gdy sam nad sobą rozmyślałem w niespanej nocy, wyłąził z zarzuconych manuskryptów ów zapomniany pies kudłaty, co to kiedyś na tworze mym ciężką położył łapę i kłami zaświecił mi w oczy. On znów krążył dookoła mnie.

Widmo psa nie dawało mi spokoju. Gdy Oldze rozwijałem tezy moje, szukając uzgodnienia naszego stosunku z własną myślą ideową, już słyszałem ciche psa warczenie, przeczące mem słowom.

Gdy zaś w miłosnym uścisku współzemdlna spoczęła Olga w moich ramionach, a ja mrużyłem senne szczęściem i rozkoszą oczy — nadciągały chyłkiem sznury psów — — jak wtedy, na śniegu.

Gdy widmo na mnie przyszło, wypuszczałem z ramion zdziwioną Olgę, iżby pies we mnie nie zawył z radości, że on i ja to jedno. Nie chciałem kłaść naszej miłości.

— — — Coraz wyraźniej czulem konieczność dopowiedzenia sobie i Oldze tego, co miało wypełnić wielki brak w naszych duszach.

Tego zaś uczynić nie umiałem, bo sam jeszcze urzeczywistnienia słów rzeczonych w życiu wyobrazić sobie nie zdołałem.

Był czas, że nowej myśli, która mi błysnęła, trzymałem się oburącz, jak deski ratunkowej:

Poślubić Olę!

Nawet zdecydowałem się już wyjawić jej to pragnienie; powstrzymała mnie przecież świadomość, że Olga rozporządza tak znacznym majątkiem, podczas gdy ja... jak to poeta w Polsce...

Rozważałem dalej: przecież sprawa majątkowa nie potrzebuje stać nam na przeszkodzie.

Można się wyrzec, można rozdać... Tu zaśmiał się głos jakiś w kącie... Wyrzec mogę się, skoro nic nie posiadam, a ona...

Zresztą takbyśmy może postanowili, ale czy dopełnilibyśmy tego warunku?

Nie! tak mówić do Olgi nie mogę, wcale nie mam ku temu prawa.

Głupi pomysł!

Tu krzyknął we mnie głos inny, pierwszy raz — zda się — słyszę ten głos: Chcesz stworzyć i utrwalić wspólnie z Olgą szczęście w orbicie wielkiej, górnej idei, hi, hi! — Szczęście w idei! a na czyjej to krzywdzie zbudowane szczęście?... hi, hi!

Munch! Munch! — huczało we mnie ponuro.

Istotnie. po raz pierwszy pomyślałem o krzywdzie Muncha, której byłem wyłącznym sprawcą.

I znowu myśl nowa: Olga przecież we mnie, w kole mych przyjaciół szukała tych wartości, których nie dał

jej małżonek, tych wartości szukała, których jej Munch nigdy dać nie mógł — w moich poezjach — jak mawiała — znalazła je i dlatego mnie kocha.

Znowu chichot usłyszałem szydliwy i — czułem jego słuszną...

Postanowiłem wreszcie działać z największą ostrożnością. Wiedziałem, że uczyniwszy ze siebie nawet największą ofiarę — wyrzekłszy się miłości Olgi — nie naprawiłbym złego ani uwolnił sumienia, tyłkobył pogrążył drogą kobietę w ostateczną ciemnię nieszczęścia, złamałbym jej życie i odebrał możność szukania... ha, ha! — tak! szukania... powiedzmy: wyższych wartości.

Biorąc zaś rzecz realnie, roztoczyłbym wokół całe pasmo nieszczęść, nie wynagradzając uczynionej krzywdy. Olga nie wróciłaby do Muncha.

Posłubić Olgi nie mogę, ani wyrzec się jej miłości.

A więc kochać ją, jak kocham teraz i prowadzić wzwyż, aby zło dobrem wyrównało się może.

Starłem się uspokoić, jednak czułem wyraźnie kolec ten, że miłość moja z ludzkiej jest krzywdy. Świadomość ta stała mi w poprzek drogi, którą całą wolą pójść chciałem, za głosem Achimana.

Od pewnego czasu żał czułem do Muncha za to, że z jednej strony nie umiał dać szczęścia Oldze, z drugiej, jest tak niewysłowienie dobry, iż krzywda zadana mu przezemnie, tem ciężej mnie obarcza. Wolejby był łajdakiem, człowiekiem bez honoru, wolejby był znęcał się nad żoną — że byłbym jej wybawicielem. Ale on człowiek prosty w swej naturze, prawy, nieskazitelny...

Gniewało mnie i to, że niezbyt celnie strzelił do mnie w pojedynku. Lekko zranił, miał uczynić kaleką, czułbym pewne krzywdy wyrównanie

I czemu jeszcze on tak bardzo kocha Olgę?

Tak! Munch najbardziej cięży mi na duszy.

Dla podniesienia mojego do Olgi stosunku, znosiłem jej wyszukane starannie książki i głośno czytywałem te, do których największą przywiązywałem wagę. Próbowałem oddalić jej myśl od dnia powszedniego — a nawet od naszej miłości.

Nauki starożytnego Wschodu były główną lekturą naszą, a przedziwne utwory mistyków średniowiecza wiązały myśli nasze w harmonijną całość.

Olga w usposobieniu swem była nawskroś artystką i myśl wszelką z tego oceniała stanowiska.

Ja to nazywam manją estetyzowania. To przerafinowanej kultury nawyknięcie zgubne. W artystowstwie gubi się treść a forma słowa nadmiernym jaśnieje blaskiem.

Piękno niechaj służy treści wewnętrznej. Tego Olga pojąć nie mogła, jakże więc miała pójść moim szlakiem?

Łudzilem się jeszcze.

Olga zawsze żądna wrażeń, zapagnęła podniet „duchowych“.

Zdawało jej się, że pół świata wewnętrznego odkryje, oddając się seansom spirytystycznym. Nalegała, abym z nią na seanse uczęszczał.

Stanowczo odmówiłem.

Próbowałem tłómaczyć zgubność podobnych praktyk dla rozwoju wewnętrznego. Wprawdzie rozumowo nie pogłę-

biłem wiedzy okultnej; to też może niedostatecznie umiałem uzasadnić moje odporne względem spirytyzmu stanowisko.

Jednakże prosta intuicja mówiła mi, że praktyki spirytystyczne nie mogą sprzyjać rozwojowi duszy, że są to raczej namiętności, którym ulega jednostka uciekająca od życia materialistycznego, a nie umiejąca wejść na drogę wiodącą w krainę życia duchowego. Miałem też wrażenie, że jeżeli człowiek żywy zdolny jest komunikować się z światem pozagrobowym, to w każdym razie samemu już obcowaniem musi odrywać duszę zmarłych od ich przeznaczenia, więc musi je krzywdzić. Na tę zaś uwagę rzekła Olga z uśmiechem:

— Bylebyśmy krzywdy nie czynili żywym, to i umarłych poszkodować nie zdołamy.

— Munch! Munch! — zawyło coś we mnie i uczułem taki ból, że nawet nie pomyślałem, czy Olga słowa te wypowiedziała z pełnym namysłem.

Dość, że Olga mimo moje tłumaczenia i zaklinania często brała udział w seansach.

Razu pewnego zastałem ją w niezwykłym podnieceniu. Czulsza była względem mnie, niż zazwyczaj, a jej uśmiech zagadkowy podniecił moją ciekawość.

Jęła opowiadać mi szczegóły z ostatniego seansu spirytystycznego.

— Zjawił się astral niewiadomy — mówiła Olga — i przez nikogo nie wzywany. Postać nieokreślona podeszła bez szelestu do mnie i położyła rękę na mem ramieniu. Dech we mnie zamarł. Wszyscy obecni struchleli; bo od postaci bił mróz przejmujący. Zimną dłoń poczułam przez suknię na ramieniu.

Dłoń ta z ramienia zsuwać się zaczęła ku dołowi wzdłuż mego tułowia, aż zatrzymała się na stopie. Zdrętwiałam.

Wszyscy usłyszeliśmy głos, jakby z oddali idący: „gdy ujrysz dziewczkę czarnooką, której czoło białość hostji ci przypomni...“ i głos zcichł tak, że dalszych słów nie usłyszeliśmy już... Znowu poczułam zimną na mem ramieniu dłoń, która znów ją zsuwać się po mem ciele, a głos powtarzał: „gdy ujrysz dziewczkę czarnooką, której czoło białość hostji ci przypomni“... i znów zcichł i uleciał.

Ogarnęła mnie tak straszna trwoga, że zerwałam się z krzykiem, wybiegłam do przyległego pokoju i tam — mówili mi — płakałam długo, nic o tem nie wiedząc. Ktoś mnie odprowadził do powozu; wróciłam nawpół przytomna.

Olga przytuliła się do mnie, jakby szukając obrony i pożałowania.

— Już nigdy nie pójdę na seans, — powtarzała jak dziecko — nigdy, nigdy.

Wieczór ten spędziliśmy na czytaniu Lao Tse.

Nazajutrz przeczytałem w gazecie wiadomość, zapowiadającą amnestję dla przestępców politycznych.

Przypomniał mi się Darjusz. Tak! przypomniał się... dziwny ze mnie przyjaciel! Ale Darjusz sam sobie winien...

Chciałbym widzieć go, pomówić z nim, może się poradzić. Czy jednak Darjusz zdolny jeszcze myśleć o czem innem, jak o swoim społeczeństwie wszów?

Straszne spustoszenie uczyniła w nim rewolucja; to już człowiek złamany, z relsów własnej duszy wyrzucony.

Czy on jeszcze radzić może?

Tu zacząłem mimowoli porównywać mój stan wewnętrzny z stanem Darjusza.

Przecież i we mnie coś się załamało. Pracę porzuciłem zupełnie, dziś wydaje mi się ona jałową, bezwartościową; bo cóż z tego, że na półkach księgarskich ukaże się nowych kilka wierszydeł, mniej lub więcej zgrabnie ułożonych, plugawych pięknem zewnętrznym, kłamliwym — dla rozrywki zmęczonego nudą życia przeciętnego filistra? Cóż z tego?

Możebym pracował, gdyby mnie praca w duchu pogłębiła, gdybym przedewszystkiem widział możliwość z jej pomocą wydobyć się z mułu moralnego, w którym ugrzązłem.

A cóż mnie właściwie w muł ten wtrąciło? Przecież nie miłość do Olgi! kochałem ją dawniej i dawniej odebrałem ją Munchowi, a bynajmniej nie czułem swego w mule ugrzęźnięcia.

A może oddawna już się topię, jeno teraz dopiero to spostrzegłem? A dlaczego teraz właśnie? Dlaczego dopiero teraz?

Coś się stało we mnie, czego nie rozumiem, czego nawet nie widzę.

A może to jakowaś rewolucja dokonała się we mnie, może tażsama rewolucja, która dokonuje się w życiu zbiorowym, zdolna dokonać się i w jednostce. Może rewolucja zbiorowa złamała Darjusza, a mnie rewolucja mego indywidualium.

Zacząłem myśleć o nowej tej możliwości i zwolna doszedłem do wniosku, że możliwość ta zachodzić może. Niestety, za mało jestem uspołeczniony, abym mógł łatwo pochwycić różne znamiona przygotowawcze dokonującej się w psyche zbiorowej rewolucji i następnie znamiona te porównać z zjawiskami w własnej duszy. Tu mi potrzeba pomocy Darjusza.

A może lepiej dopomógłby mi Achiman? Mówią, że on leczy na duszy i na ciele.

Nie, pierwszej poprobuję pomówić z Darjuszem, w każdym razie wiedzieć mi potrzeba, czy mój przyjaciel trwa w owym dziwnym stanie, w którym zastałem go w więzieniu, czy też odzyskał równowagę.

Postanowiłem uczynić starania, celem uzyskania pozwolenia na odwiedzenie przyjaciela w więzieniu.

Nazajutrz z rana pospieszyłem do odnośnego biura przy sądzie, tym razem mniej się już błąkałem, nauczony doświadczeniem starań poprzednich.

Prędko uzyskałem papier, który wymagał tylko jeszcze pieczęci policyjnej; po nią też pospieszyłem. Garbaty urzędnik przeprowadziwszy pewne indagacje co do mej osoby, z takim namaszczeniem kładł pieczęć na przedłożony mu papier, że myślałem, iż czynności tej nie skończy do wieczora. Wreszcie — nie wręczając mi dokumentu — patrzył na mnie badawczo, zagadnął o to i owo i wyszedł do przyległego biura, nie załatwiwszy się ze mną.

Po chwili jednak wrócił i oznajmił mi, iż pan sekretarz tajnej policji prosi mnie do siebie.

Ależ i owszem, owszem, ale co może chcieć odemnie pan sekretarz tajnej policji?

Wszedłem do przyległego pokoju. Za biurkiem siedział ktoś, kto mi najwyraźniej kogoś przypominał. Podniósł głowę — — aha, głowa ta w kształcie trapezu, no i uszy, oczywiście uszy wielkie, odstające, ledwo do czaszki przylepione, zdały się wachlować powietrze, zbyt ciepłe w biurze pana sekretarza tajnej policji.

— Aa!...

— Aa!...

— Witam pana, pan tu?

— A pan tu?

— Przypominam się, jestem Dyrx... Poznaliśmy się u pani Olgi Munchowej — rzekł uprzejmie, podając mi niezgrabnie krzesło.

— Istotnie! — odparłem — Jednak nie przypuszczałem wtedy, że poznałem tajną policję we własnej jej osobie.

— Byłem w charakterze gościa — tłumaczył się pan sekretarz. — Dla chleba panie... posada marna, dorabiać muszę, ale zawsze posada.

— Rzeczywiście to ciekawe — zauważyłem. Czy poto jednak pan mnie wzywał przez swego urzędnika, iżby mi oznajmić te osobliwe szczegóły?

— Pozwól pan, rzekł zakłopotany. Nie wzywałem pana, ale uprzejmie kazałem poprosić, jako znajomego.

— Ach! tak z przyjaźni! Bardzo pan łaskaw, ale...

— Chwileczkę cierpliwości — przerwał mi Dyrx nieco zdenerwowany. Pragnąłbym chwilkę, małą chwilkę pomówić z droгим panem.

— Urzędowo?

— Powiedzmy: półurzędowo, a właściwie prywatnie.

Z zakłopotania umilkł, patrzył w ziemię, a uszami ruszał jak królik.

Przyszedłem mu z pomocą:

— To pan jesteś urzędnikiem tajnej policji?

— Jak pan widzi, ale to nie wpływa na tok naszej rozmowy. Winicnem panu jeszcze małe wytłomaczenie. Jestem pobocznie także prywatnym wywiadowcą; tak, dla dorobienia grosza, bo pensją wyżyć niepodobna.

— Czy w tym charakterze?...

— Tak, w tym charakterze chciałbym słówko z panem zamienić, jeżeli pan pozwoli... Czy zna pan? — oczywiście... (tu uśmiechnął się grzecznie) oczywiście, zna pan pana Muncha.

— Znam.

— Otóż pracuję także dla niego.

— W jaki to sposób? — a zresztą, cóż to mnie może obchodzić?...

— Owszem, zapewne zainteresuje to szanownego pana. Pracuję dla pana Muncha nietylko dla zarobku, ale przede wszystkim z poczucia obowiązku względem człowieka nieszczęśliwego.

— Przypuśćmy — wtrąciłem uszczypliwie. — Ale powiedz mi pan, w jaki to sposób pracujesz pan na rzecz człowieka nieszczęśliwego?

— Zaraz to wytłomaczę. Poznałem pana Romana już dość dawno; ale już po jego tragedji. Stopniowo zażyłość nasza utrwalała się... tak! utrwalała się, aż przeszliśmy do interesu. Krótko powiedziawszy, pan Roman Munch odchodził od zmysłów po stracie żony, a uspokajała go każda o niej wiadomość; on z żoną żył i żyje nadal, byle tylko stale wiedział mnóstwo szczegółów o niej.

Pani Olga też nie domyśla się wcale, że przeważnie z jego kapitałów żyje tak dostatnio. O! bo na takie życie i trzy jej fortuny nie wystarczyłyby.

Pan Roman ją nadal utrzymuje w lwiej części, a całą radością jego życia jest świadomość, że jej dzieje się dobrze, dzięki niemu. Otóż te wszystkie zawile sprawy ja przeprowadzam, rozumie szanowny pan? — ja!

Do obowiązków mych należy też informowanie pana

Muncha o wszystkich szczegółach jej życia. Sumiennie z tego wywiązuję się, najsumienniej!

Jeżeli mi braknie wiadomości, wtedy komponuję; bo on nie znosi braku wiadomości.

— Czemu mi pan o tem wszystkiem opowiadasz? — przerwałem szorstko.

— Przepraszam, prowadzę do celu. Zanim uczynię panu propozycję...

— Propozycję?

— Tak. Zanim uczynię propozycję, chcę, abyś pan znał tło.

— Więc krótko, proszę! Nie mam wiele czasu — rzuciłem przed siebie.

— Przepraszam — rzekł, zacierając ręce z pewną unizonością. — Przecież niema tu powodu do gniewu. Wszystko co powiem, wynika z dobrego serca pana Romana, który dziwnym zbiegiem okoliczności, dostał się w sytuację bez wyjścia... Przecież tego pan nie może wziąć za złe panu Munchowi, że chce się jakoś wydobyć z sytuacji bez wyjścia. Zresztą propozycja powinna pana tylko ucieszyć.

Słuchałem cierpliwie. Pan sekretarz tajnej policji i prywatny wywiadowca coraz bardziej się jąkał:

— Bo, bo... ja chciałem właśnie udać się do szanownego pana, już od trzech dni noszę się z tym zamiarem; ale jakoś... jakoś mi coś... Więc teraz skorzystałem z pańskiej bytności w moim biurze; bo zresztą, tu jakoś składniej...

— Przypuszczam... i bezpieczniej...

Pan z głową w kształcie trapezu był wyraźnie zaniepokojony, najwyraźniej czuł, że jeżeli zaraz nie stawi owej

propozycji, to nie wywiąże się z powierzonego zadania, za co z pewnością obiecał ma znaczne honorarium.

Zamknął więc oczy i rzekł prędko, jednym niemal tchem, głosem prawie rozpaczliwym:

— Pan Munch proponuje panu odczepne w wysokości, którą pan sam ustanowisz.

Struchlałem. Tysiąc myśli przeleciało mi przez mózg w jednym mgnieniu oka. Nie zdołałem wykrztusić ni słowa. To widocznie ośmieliło pana sekretarza tajnej policji. Mówił jeszcze dość dużo, przekładał, namawiał. Zdołałem utrwalić w mej świadomości tylko tyle, że winienem być człowiekiem realnie myślącym, że kobiet tak dużo na świecie, że od mej decyzji zależy dalsze życie moje w dostatku, lub w dotychczasowem, skromnem bytowaniu. Nie wiem, jak długo tak do mnie przemawiał i nie wiem jak długo stałem milczący, gdy on już umilkł. Czułem tylko śmiertelną bładość na twarzy. Bez słowa odpowiedzi wyszedłem.

Zajście to wzburzyło mnie do ostateczności, chodziłem po ulicach bez wyraźnego celu i odczytywałem wszystkie napotkane szyldy nad sklepami. Zapomniałem też zrazu o zamierzonych odwiedzinach Darjusza w więzieniu. Dopiero po dłuższym czasie, myśl moja wracać zaczęła do poprzednich zamierzeń i odruchowo skierowałem swe kroki w stronę więzienia. Nie bliską miałem drogę, to też ustawicznie wracała do mej pamięci owa propozycja Muncha. Teraz dopiero zrozumiałem tłumaczenie tego indywiduum z głową w kształcie trapezu na temat stosunku finansowego eksmałżonków. Munch (a może tylko pan pośrednik) zamierzał mnie najwidoczniej przyskrzynić, a równocześnie ułatwić przyjęcie propozycji. Skoro bowiem dotąd korzystałem pośrednio z dobrodziejstw fortuny Muncha (istotnie: czasem

pijałem czarną kawę i jadałem ciasteczka u Olgi — no i jeździłem saniami) — to czemużbym nie miał skorzystać bezpośrednio? Czemu nie miałbym przytem wyświadczyć dobrodziejstwa Munchowi, a sam też skorzystać? Wyrafinowana rachuba!

Dochodziłem do więzienia, starałem otrząsnąć z siebie przykre wrażenie zajścia na policji. Chciałem skupić się wyłącznie przy myśli o Darjusz, szukałem tematów, którymi zdołał go zająć, skoro zastanę go w podobnym ustroju psychicznym. Daremny wysiłek: Olga wciąż ukazywała się, jako obiekt handlu między mną i Munchem.

Od dnia tego zapalałem tak straszną nienawiścią do Muncha i takim obrzydzeniem, że sam nad sobą dziwiłem się, iż jest możliwe tak potworne uczucie człowieka do człowieka.

Z goryczą i obrzydzeniem wchodziłem w podwoje więzienne.

W kancelarji oznajmiono mi, że Darjusz onegdaj opuścił więzienie, odzyskawszy wolność na skutek ogólnej amnestji.

Zrazu odczułem zawód. Ponieważ jednak wciąż jeszcze nie mogłem dojść do równowagi, myśląc o Munchu, więc rad byłem, iż zyskałem jeszcze na czasie.

Ruszyłem w stronę mieszkania Darjusza. W miarę zbliżania się chwili spotkania z przyjacielem rósł we mnie niepokój. Wydało mi się, że za chwilę otworzą się przedemną wrota, przez które przejść będę musiał i że niebawem znajdę się w działaniu nowych, nieznanych przeżyć, które losem mym pokierują zgoła niespodzianie.

Czyżby Darjusz?... Nie! wyraźnie doznawałem wrażenia, iż zbliża się ku mnie inna jakaś siła, której ulegnę.

W niespokojności tej przyspieszyłem kroku, w niedługim czasie stanąłem u wrót kamienicy, w której mieszkał mój przyjaciel.

Na wschodach zatrzymał mnie jakiś nieokreślony przymus; zwolniłem kroku i czekałem, niewiadomo czego. Nagle usłyszałem głos, przytłumiony, odległy: „gdy ujrzysz dziewczeczkę czarnooką, której czoło białosc hostji ci przypomni...” i w tejże chwili ujrzałem postać dziewczęcia, zsuwającą się powoli, bez szelestu ku mnie, z najwyższych stopni wschodów.

Dziewczę, skromnie, raczej ubogo odziane trzymało w rękę wielką, starą księgę, oprawną w skórę.

Oczy czarne, szeroko rozwarte patrzyły tak jasno, tak pogodnie, że z zachwytu przystanąłem. Istotnie: czoło dziewczyny przypomniało mi białosc hostji.

Minęła mnie, zstąpiła na dół i zniknęła.

Białosc hostji wyparła na chwilę całą udrękę z mej duszy...

Chwilę stałem oszołomiony.

— — — Wszedłem do mieszkania Darjusza. Rzucił mi się na szyję z szczerą radością, wyraźnie hamował się, mówił ciągle przyciszonym głosem.

Kilka razy uścisnąłem przyjaciela, nigdy jeszcze nie odczuwałem tak żywo potrzeby jego obecności, jak teraz właśnie.

Na wstępie żywa wymiana najważniejszych wiadomości.

O swym pobycie w więzieniu, o przeżytych w celi wrażeniach i myślach nie chciał wiele mówić. Domyśliłem się, że tam dokonała się w duszy Darjusza ogromna praca, istotnie rewolucja wewnętrzna. Zdobycz — zda się — była zbyt świeża, zbyt sakramentalna, iżby udzielona być mogła komu-

kolwiek zaraz na wstępie, przygodnie. Uszanowałem ten stan duszy przyjaciela, skierowując rozmowę na tematy bardziej ludzkiej natury.

Musiał mi więc opowiedzieć przeżyte wypadki, a zwłaszcza proces i zasądzenie.

Dowiedziałem się, że jeden z sędziów był dawniej podkomendnym Darjusza i raz nawet, za jego przyczyną otrzymał groźbę wydalenia z partji za tchórzostwo, z winy którego nie udał się jakiś zamach.

Teraz Darjusz nie bronił się wcale, poprzestawszy na krótkim stwierdzeniu, iż w momencie walki dojrzało w nim to przeświadczenie, że człowiek człowieka nie ma prawa zabijać pod żadnym pozorem, że jakkolwiek poglądu na sprawy społeczne nie zmienił, to jednak potępia dotychczas przez siebie stosowane metody urzeczywistnienia własnych ideałów społecznych.

Oskarżenie było ciężkie, mimo to wyrok zapadł łagodny w stosunku do winy; osiem miesięcy kaźni, z czego niemal dwie trzecie umorzono na podstawie amnestji.

— Cóż teraz zamierzasz — spytałem, gdy Darjusz umilkł.

— O tem pomówimy. Tyle ci powiem, że przez kilka miesięcy zarobkować nie będę, bo czeka mnie praca (i to wyłączna) nad samym sobą.

Nagle zastanowił się, pomyślał chwilę i zagadnął mnie:

— A co Achiman? jak sądzisz?

— Achimana raz spotkałem.

— Wiem.

— Skąd wiesz?

— Sam mi mówił, oczekuje cię u siebie.

— Widujesz się z nim? od kiedy?

— Zaraz po opuszczeniu więzienia... wstąpiłem tylko do domu, aby się przebrać i posilić i tegoż dnia spędziłem u niego szereg godzin; wczoraj do późnego wieczora... i dzisiaj pójdę... Pójdź ze mną, on na cię czeka.

— Czeka na mnie, mówisz? — Pójdę, ale nie dziś jeszcze....

— Czemu, Tymonie?

— Nie mogę... jeszcze nie... potrzebuję wprzódy skupienia... Ja muszę wpierw wiele z tobą pomówić, zanim będę miał odwagę przestąpić próg Achimana.

Tym razem Darjusz uszanował wewnętrzną moją rozterkę. Milczał. Wreszcie mnie uściskał i rzekł:

— Sądź się sam; wiedz jednak, że Achiman na cię czeka; on jeden uleczyć cię zdolen.

Czy pozwolisz, że powiem mu, iż doń się wybierasz?

— Jeszcze nie mów... Albo... albo powiedz. Powiedz mu, że się wybieram, że przyjdę, skoro tylko sam w sobie się porachuję.

Ach! gdybyś wiedział, Darjusz, ile ja przeżywam teraz walki wewnętrznej, nie dziwiłbyś się, że jeszcze nie spieszę do Achimana...

Zaczęło mnie drażnić, że Darjusz ani słówkiem nie zagadnął mnie jeszcze o Olgę. Czyżby na skutek swej przemiany wewnętrznej wysunął był ją zgoła poza nawias? czyżbym osobiście nie obchodził go do tyłu, by dowiedział się o tem, co mną wstrząsa do głębi? O nie! rozmowy nasze nie mogą pomijać Olgi, nie mogą przemilczeć mojej miłości, bo pomijałyby mnie najzupełniej, i to nie mnie, marnego człowieka, ale ogromny splot duchowych zawilosci, z którymi walczę — a to nie może być obojętne przyjacielowi. O czemżebym rozmawiał z Darjuszem?! Potrzebuję jego

pomocy właśnie w tej rozbieżności mych zadań, a te wszystkie wsparte są o miłość mą do Olgi.

Słuchałem dalszych wywodów Darjusza, mając uwagę zwróconą w własną głąb i własne troski duchowe. Nie wiem też, co do mnie mówił. Próbowałem skierować rozmowę tak, iżby z niej może padło zapytanie o Olgę. Wreszcie rzekłem bez ogródki:

— Achimana spotkałem kazającego gromadzie wieśniaków. Olga też go widziała wtedy.

— Wiem — rzekł krótko Darjusz.

Umilkłem, on milczał również.

Wreszcie podszedł do szafy bibliotecznej, wyciągnął starą księgę ogromnych rozmiarów i podał mi ją:

— Oto jedna z najstarszych ksiąg w Europie a i nie ostatnia w Azji. Zbiór papyrusów arabskich.

Oglądałem księgę z nabożeństwem. Zapach wieków wiał z żółtych, sztywnych kart. Za ledwie kilka liczb odczytać zdołałem, treść zaś sama, utajona była w znakach, które znałem tylko z historii sztuki i z rycin nagrobków staro-arabskich.

— Achiman całą księgę tę czyta — oznajmił Darjusz. Dziś właśnie przysłał po tom pierwszy (ten, to tom drugi). Właśnie Jolana wzięła księgę pierwszą i zaniósła Achimanowi.

— Jolana? A! może przedziwna ta dziewczyna, którą spotkałem na wschodach w tym domu?

— Zapewne.

— Któż ona? — spytałem z ciekawionym.

— Wychowanica Achimana.

— Więc to ona!....

IX.

Dżdżysty mrok snuł się po ulicach, gdy wracałem do domu. Darjusz wybierał się do Achimana, więc choć nie spieszo było mi pożegnać się z nim, opuściłem go, odkładając na później główną rozmowę, na której mi tak zależało.

Gdy znalazłem się na mojej ulicy, z daleka zauważyłem powóz stojący przed domem, w którym mieszkałem.

Poznałem, był to powóz Olgi. Przysłała po mnie, — pomyślałem sobie i przyśpieszyłem kroku. Omyliłem się; stangret zagadnięty przezemnie oznajmił, iż „jaśnie pani“ jest u mnie i czeka. I rzeczywiście, w mieszkaniu zastałem Olgę w kapeluszu i w rozpiętym futerku, rozmawiającą wesoło z starą posługaczką.

Zaraz na wstępie począłem się sumitować, iż przyjść do niej nie mogłem z racji zwolnienia Darjusza z więzienia. O wszystkie szczegóły wypytywała mnie ciekawie, litując się nad Darjuszem. Długo i obszernie opowiedziałem jej co tylko pamiętałem.

— A! wyobraź sobie, Olgo — mówiłem na zakończenie — gdy wstępowałem po wschodach, zmierzając do mieszkania Darjusza, nagle (czy przypomniałem sobie twój seans?) usłyszałem głos dziwny, mówiący wyraźnie: „gdy ujrzysz dziewczeczkę czarnooką, której czoło białosc hostji ci przypomni“...

— Cooo? . . . — szepnęła Olga z przejściem i szerokimi oczami na mnie patrzała, jakby pytając: co dalej?

W tejże chwili stukanie. Drzwi się otworzyły.

— Aa!! — krzyknęliśmy oboje.

W drzwiach stanęła cicha, blada, nieletnia dziewczyna. Czarne, szeroko rozwarte oczy patrzyły tak jasno, tak pogodnie, jak wtedy, gdy zstępowała po schodach z ogromną księgą w ręku.

Jolana! — szepnąłem bezwiednie.

Olga z zdumieniem spojrzała na mnie.

Dziewczyne śnać zaniepokoiło nasze zaleknienie; stała zakłopotana w drzwiach i tylko oczy jej błyszczały wielkie, ciche, pytające. Wreszcie odezwała się głosem dźwięcznym, trochę nieśmiałym:

— Czy pan Tymon?

Podszedłem.

— Służę.

— Przysłał mnie ojciec Achiman z prośbą, abyś pan zechciał zaraz go odwiedzić; polecił mi, abym pana przyprowadziła. Państwo zechciejcie wybaczyć moje najście — jestem Jolana, Achimanowa przybrana córka.

— Jolana — szepnąłem znów bezwolnie, a Olga skinęła lekko głową.

Po chwili Olga pospiesznie opuściła moje mieszkanie, sprowadziłem ją do powozu; nie rzekła ni słowa, oprócz ostatniego: dobranoc.

Smęt mglisty, słotny pełzał po zaułkach miasta. Gdzieś niedługo światło latarni przedzierało się przez gęstą mgłę powłokę; wieczór ciemny, ponury, przygniatający — czułem go w sobie.

Szedłem z Jolaną krokiem dość pospiesznym, jakoby mi ciążył smęt uliczny, a zjawić się miał za chwilę nowy, jasny promień. Myśl moja zwracała się do Olgi; teraz dopiero zacząłem odczuwać, że Olgę pożegnałem nazbyt pospiesznie. Nic to! wytłómaczę.

W milczeniu szedłem z Jolaną, szedłem z dziewczką, która czarem swym działa na ludzi zgoła obcych, z dziewczką, o której mówią ciała astralne, o której szepcą jakieś głosy niewiadome.

Chociaż dziewczyna szła obok mnie, miałem wrażenie, że towarzyszy mi jedynie wspomnienie jej zjawy. Wierzyłem, że powiodłszy ręką ruchem szerokim tam, gdzie ona właśnie była, nie poczułbym wcale, iż dotykam istotę żywą, że raczej ręka moja przeszłaby w pół jej postaci, jak przez mgłę, lub przez światło.

Jakież szczęście — pomyślałem sobie — że nie pokochałem takiej kobiety. I w tejże chwili myśl ta wydała mi się niedorzeczna i — zdrotna. Może już myślą drasnąłem Jolanę?...

Przedewszystkiem jednak drażniła mnie dziewczyny onej nieuchwytność, czułem potrzebę stwierdzenia, że ona jest w moim towarzystwie. Skorzystałem z momentu, kiedyśmy właśnie przejść musieli przez dość zagłębiony ściek uliczny, wziąłem ją pod ramię. Nie bronila mi tego, lecz, o dziwo, i teraz nie czułem jej dotyku.

Chyba więc sprawdzę jej obecność rozmową? — więc zapytałem:

— Czy to panią spotkałem dziś na wschodach pod mieszkaniem Darjusza?

— Ja to byłam — odparła z prostotą — nawet chciałam pana zagadnąć.

— Przecież nie wiedziała pani kim jestem.

— Wiedziałaam, ojciec Achiman wspominał o panu.

— Z tego pani nie mogła jeszcze wiedzieć, że to ja właśnie.

— O kim raz posłyszę z ust Achimana, tego też poznaę.

— Nie pojmuję — dziwiłem się szczerze.

— Głos Achimana, mówiący o danym człowieku, nabiera jego aury. Czuję każdą aurę.

Teraz już zgola nic nie rozumiałem. Nawet ogarnął mnie pewien niepokój, przez chwilę czułem się nieswojo.

Nie mogłem jednak poprzestać na tych pytaniach i nie wiem już, w jakim związku, dość, że zagadnąłem po chwili:

— A cóż może pani powiedzieć, o aurze tej pani, która była u mnie.

— Nie trzeba, bym mówiła.

— Dlaczego? — zdziwiłem się.

— Nie trzeba, by moje rzeczenie spadło na innego, krom mnie, a to dziś jeszcze niemożliwe, przeto rzec nie mogę.

Czarodziejka, czy co? — pomyślałem dość zaniepokojony i umilkłem.

Szliśmy w milczeniu, tonąc w coraz głębszych ciemnościach uliczek, ledwie oświetlonych.

Ani nie wiem kiedy dziewczyna wysunęła ramię z pod mojego, dość, że teraz poszła o pół kroku przedemną i prowadziła. A słyhać było tylko moje kroki po wpółroztajałem błocie.

Wreszcie zatrzymaliśmy się przed małym domkiem.

Przed drzwiami zwróciła się nagle do mnie Jolana, niby biały cień, stojąc przedemną i rzekła głosem przyciszonym:

— O bocianie niech pan dzisiaj nie wspomina, teraz śpi. Spuściłem głowę pokornie i wszedłem za dziewczyną do ciemnej sieni.

W tej chwili wydało mi się, że Jolana znikła, nie słyzałem najmniejszego szelestu, w głębi zamajaczał mi nieco przyjaśniony otwór w ścianie, w kształcie drzwi otwartych, tam wszedłem. Stałem w niewiadomej przestrzeni, zacząłem się rozglądać w ciemności. Nie miałem odwagi odezwać się lub przywołać Jolanę. Stałem bez ruchu i patrzyłem w ciemnię.

Nagle sylwetki niewiadome jęły się rysować opodal, przybierając coraz wyraźniejsze kontury. Z nieokreślonych linii i brył wyłoniła się powoli sędziwa postać Achimana.

Zanim zdołałem go rozpoznać, już nowe kształty rysowały się w najbliższym otoczeniu; postać nowa, coraz bardziej mi znajoma... to Darjusz.

Obu okalały długie szeregi ksiąg i zwojów papyrusów.

Na kolanach Achimana, otoczonego wyraźnie jaśniejącą obwódka, wielka, otwarta księga, na której koścista dłoń starca zdała się wyciskać piętno Prawdy. Darjusza oczy zwrócone na księgę, jednak w głąb własną wpatrzone.

Czułem, że posuwam się bezwolnie w kąt izby, że siadam na jakowejś skrzyni i pocynam słuchać ledwie dosłyszalnej rozmowy.

Achimana rozpoznałem głos:

— Do istot, które nie zdobyły jeszcze wyższego stopnia rozwoju nad ten, co im pozwala widzieć i czuć wszystko jeno z tego *punktum*, w którym się znajdują — należy człowiek.

Istota to słaba, inności krom siebie nie pojmuje, przeto słabości swej zadość czyniąc, winna szukać własnego do wszechrzeczy ustosunkowania. Że tego człowiek nie czyni,

przeto gubiąc się w Prawdy zawilnościach, widome sobie znaki czyni i ustala, iżby — jak mniema — nie zblądził.

A ustalone znaki pod ostre pryzmatu światło wziąć się wzbrania, jako że nieświadom, iż czyni to jeno z lęku zobaczenia znaków swych chwiejność. Tedy nie ostateczność Prawdy celem jest szukania, a uczynionych znaków zapamiętanie.

Nie dziwno więc, że nie zna człowiek własnego do wszechrzeczy stosunku, przeto nie wie, czem jest sam. Człowiek nie widzi siebie w szkle Prawdy.

Głos Darjusza:

-- Zali dokonać tego może?

Głos Achimana:

-- Może i dokona; jeno zależy od niego, w którym wcieleniu.

Głos Darjusza:

— Czy możesz mi wyjawić, mistrzu, ujrzanego w szkle Prawdy człowieka?

Głos Achimana:

— Mniemam, iż słowa moje w duszę twą wejdą i w świadomość; przeto wyjawię. Wszelako ostrzeżenie jedno: Prawdy odbicie w duszy mojej, gdy w twojej, przyjacielu, dokonane, może nie być tem, czem jest w mojej. Jeśli przezrocze twojej duszy w błękitie utrwalone, a mojej w zieleni, wtedy prawda w tobie zjawiona błękitem znaczyć się będzie, we mnie zielenią. Stać się zaś nie może, iżby różne przezrocza duszy w tej samej barwie ukazały zjawę prawdy.

O tem pamiętaj, przyjacielu, iżby nie było zmylenia między nami. Co rzeknę więc, to pod szkło duszy własnej poddaj, iżbyś w pełnej ujrzał prawdziwości.

Głos Darjusza:

— Słucham więc, mistrzu, o stosunku człowieka do
wszystkiej rzeczy.

Głos Achimana:

Linji podstawowych wpierw ustalenie: co to jest czło-
wiek? co glob ziemski? co świat ciał niebieskich? — że
dalej na dziś nie pytajmy.

Rzeknijmy tedy: człowiek to duch jednostkowy, przyszedł
na glob ziemski dla spełnienia tam swego zadania. Glob
ziemski, to stworzona forma dla spełnienia zadania wszyst-
kich duchów jednostkowych, w pewnych odmianach ich
doskonałości.

Człowiek, to duch jednostkowy, przyszedł na ziemię...
Skąd przyszedł? kędy bieżący?

Tu próbujmy sięgnąć wyobraźnią w istotę ducha jednost-
kowego i w jego pochodzenie, zatrzymawszy się (na dziś)
przed progiem majestatu Praprzyczyny.

Że duch jednostkowy z Wszechducha się rodzi — nie
trza dowodzić tymczasem. Trza jedno uprzytomnić sobie,
że duchy jednostkowe są rozcząstkowaniem Ducha i to bez
uszczuplenia i bez wzmożenia jego. Rozcząstkowanie zaś
stało się po to, iżby możliwe było działanie w formie. Dla
swej pracy więc stworzył *Duch Formę*, a pracy tej zadaniem:
udoskonalenie Formy do stopnia absolutnej doskonałości
Ducha. Z chwilą stworzenia absolutnej harmonji Ducha
i Formy, dokona się stworzenie świata, bo dotąd świat nie
jest stworzony, ale tworzy się. Bóg zatem nie stworzył
świata, ale go stwarza.

Nic nie jest dokonane, ale wszystko się dokonuje, a do-
konuje się przez działanie duchów jednostkowych w formie,
którą sobie stwarzają.

Bóg zstąpił na ziemię, to znaczy Duch w postaci ducha

jednostkowego wstąpił w formę. Działanie jego — to praca nad stworzeniem harmonji między nim a formą — — — na obraz i podobieństwo harmonji absolutnej między Duchem i Materją.

„Słowo Ciałem się stało“ iżby ciało stało się Słowem.

Praca ducha jednostkowego dokonuje się stopniowo i stopniowa jest jej doskonałość. W najniższe formy wciela się duch, iżby w wyższych wciąż się odwcielać, ku szczytom doskonałości zmierzając ostatecznie.

Najniższe formy w najniższych mieszcza¹ się globach, aż duch jednostkowy przewycięży formy niższe do stopnia doskonałości niższych form globu ziemskiego.

Tu zjawia się duch jednostkowy w postaci form najniższych, aż — powiedzmy — dochodzi do formy kamienia, poczem poprzez szereg istot roślinnych i zwierzęcych wypracowuje się do stopnia najniższego rozwoju człowieczeństwa. Wszystkie inne człowieczeństwa to łańcuch pracy nad wyzbyciem się właściwości form niższych, wreszcie zwierzęcych, a przygotowaniem tych form, które dla globu ziemskiego są boskimi.

Duch jednostkowy, osiągnąwszy wreszcie stopień doskonałości Boga-Człowieka, dojrzały, zdolny się staje do opuszczenia formy globu ziemskiego, iżby w dalszym swym pochodzie przeszedł na następne, wyższe od globu ziemskiego ciało niebieskie.

Tu zatrzymajmy się, iżby w dalszych nie gubić się globach.

Achiman umilkł na chwilę. Oczy Darjusza czytały w skupieniu stwarzane znaki słyszanej nauki.

Księga na kolanach starca mnożyła swe karty i rosła w miarę brzmienia słów Achimanowych.

Starzec mówił dalej:

— Oto jest praca ducha jednostkowego... oto masz, przyjacielu, tegoż ducha, który wszedł w stadjum pracy człowieczeństwa.

Ujrzysz tam różność rozwoju poszczególnych duchów jednostkowych i wielką ich rozmaitość. A jednak wszystkim nadano jeden kierunek i wszystkie wzajem się uzupełniają, przeto też jest z nich społeczność. W społeczności zaś tej jest hierarchja, a nie jest duch każdy sobie, jeno duch niższy jest sobie sam, jako że staje mu mocy jeno dla siebie. Wszelako duch jednostkowy wyższej miary, ten, który wszedł w sferę własnej świadomości, ten duchom niższym i sobie pracuje, aby duchów społeczność była i *Ofiara*.

Więcej na dziś nie rzeknę, iżby co ucho twe słyszy, wszystko nietknięte twej świadomości podało.

Ujrzyj wpierv słowa moje w barwie własnej duszy, a zasię wszystką rzecz z osobna według własnej miary w sobie wypracuj. Niechaj moja nauka będzie podnietą, iżbyś sam sobie stworzył naukę, w sobie bowiem stworzona jedna jest żywa. Iżbyś pamięci nie powierzał słów przyuczonych, przeto ci więcej nie rzeknę, własnej twej pracy resztę konieczną zostawując...

Zwolna przycichał głos Achimana i równocześnie bladły kontury obu postaci, aż znikły, iż jeno jeszcze w ciemni widniała księga, na której koścista dłoń starca zdała się wyciskać piętno Prawdy.

Zwolna wszystka zjawą znikła — — — patrzyłem w ciemnię i próżnię.

X.

Nazajutrz spędziłem cały dzień w łóżku, gorączka trawiła mnie, a źródło jej czułem wyraźnie w mózgu.

Doznawałem dziwnego uczucia: jaźń moja wymykała mi się z palców, ginęła gdzieś we mgle Achimanowej nauki. Poczulem się istotą niezmiernie małoważną.

Udręki, z którymi śpieszyłem dnia poprzedniego do przyjaciela, a które potem chciałem złożyć u sędziwych stóp Achimana, stały się dla mnie tylko objektem rozmyślań.

Poczulem się lekarzem, który ma stawić djagnozę. Z ogromem wchłoniętej w duszę nauki przyszedłszy, stałem bezradny wobec pacjenta. Chory zresztą był poza mną — nie we mnie (jak też dzieje się u lekarzy) — stąd moja bezradność.

Próbowałem porzucić siebie; zacząłem myśleć o usłyszanym ostatniego wieczoru nauce Achimana. Poznałem, że metoda tej nauki polega na tem, iżby podać słuchaczowi punkty węzłowe po to, by je sam umiał powiązać i zwolna utkać złotą sieć Poznania.

Zacząłem tedy dotykać myślą poszczególnych węzłów nauki starca i już po chwili rozważań, ogarnęło mnie przerażenie na samą myśl o rozległości zagadnień, związanych z jednym tylko takim węzłem — a przecież Achiman podał nam ich mnogą liczbę.

Wiedza starego żyda i opanowanie wielkiego problemu przytłoczyły mnie jak ciężki głaz.

Dzisiaj dopiero zrozumiałem nicość moich dążeń i porywów, poczułem, iż muszę pracę zacząć od początku.

Ogarnęło mnie zwątpienie i już jakaś ręka niewidzialna pociągała mnie ku nierozwiązanym przecież sprawom, które były wyłącznie moje — i co najwyżej Olgi. Już też z całą ochotą miałem się rzucić w ich rozchylające się ramiona, gdy powstrzymało mnie ramię inne, a głos jakiś szeptał ukojne słowa Dobrej Nowiny.

Z szufladki stolika dobyteм przyniszczony egzemplarz starego wydania Ewangelji, po łacinie pisanej.

Książeczkę tę miałem stale przy sobie w długie, bezsenne noce.

Jakkolwiek każdą niemal strofę umiałem na pamięć, odczytuję teraz oto liczne rozdziały łakomie, bo — jak zawsze — wciąż nowe a zarazem odwieczne prawdy z słów czytanych odgaduję

Co więcej: na każdej stronicy czytam wyraźnie potwierdzenie słyszanych wczoraj słów Achimanowych; i dopiero czytanie Ewangelji zaczęło układać mi w mózgu wielkie tezy starego żyda.

Wreszcie książeczkę odłożyłem i próbowałem zasnąć. W uszach dźwięczał mi archaiczny rytm mowy biblijnej i wydało mi się, że wielką z mędrkami prowadzę dysputację. Męczył mnie półsen; mózg nazbyt gorączkowo pracował.

— — — Po południu odwiedził mnie Darjusz, jakże mu za to jestem wdzięczny. Nigdy jeszcze tak bardzo nie pragnąłem jego obecności, jak w tej właśnie chwili.

Darjusz siadł na krawędzi łóżka i uściśnął gorąco moją dłoń.

— Wydaje mi się, — rzekł — iż znów spotykamy się, Tymonie.

Ruszyłem wargami, ale odpowiedzieć nie zdołałem, nie chcąc wybuchnąć serdecznym płaczem, odparłem tylko uściskiem dłoni przyjaciela.

Rozumieliśmy się.

Rzekł Darjusz po chwili:

— Musisz się w sobie uporządkować, tak jak ja to uczyniłem, zużywszy ku temu czas spędzony w celi więziennej... A potem pójdziesz ze mną...

— Nie jestem sam, to i trudniej — szepnąłem.

— Gdy uporządkujesz się w sobie, nie będzie trudno. Jednemu gdy poddasz się przekazowi, nie ulegniesz załamaniom, ani wahaniom codziennym. Tak trzeba, a wtedy wszystko jest łatwe. Chciej żyć jednością, a wszystką wielość jej poddać. Stwórz w sobie jedną duszę a odnajdziesz Ducha. — — — Duch jest jeden.

— W społeczności także? zapytałem po namyśle.

— W społeczności nie dzieje się nic, co by się nie działo w indywidualium. Tu i tam stopniowe przeobrażenia, tu i tam przełomy wyraźne, które zwiemy rewolucją.

— A gdy w zawisłości pewnej jest związek dusz, które ni społecznością są, ni indywidualium. Bo przecież dwoje ludzi... albo troje...

— Nie zmienia to rzeczy. Tam kres indywidualium i próg społeczności, tam rewolucji działanie najczęstsze i czasem najgwałtowniejsze. Tem bardziej więc potrzebne uporządkowanie się w sobie.

— Czuję to w sobie aż nadto dobitnie — westchnąłem. Darjusz spojrział na mnie z uwagą:

— Rzekłeś, Tymonie: „dwoje ludzi, albo troje...“
Kto trzeci?

— Munch.

— Masz słuszość — rzekł Darjusz, wstał i w zadumie chodzić począł po pokoju. Po chwili przystanął i patrzył przez okno. Przed moją kamienicą zapalono latarnię, półmrok i światło latarni złożyły się na łzawość oświetlenia surowej, bladej twarzy mego przyjaciela. Teraz czekałem jego porady.

Zapytał wreszcie:

— Czy co postanowiłeś?

— Nie.

— A zamierzasz?

— Nic jeszcze.

— Na co czekasz?

— Na twoją radę.

Darjusz znów począł chodzić w zamyśleniu. Przerwałem mu.:

— Nie odezwij się zbyt pośpiesznie, przyjacielu, niech mylna rada nie rani mego uczucia ani krępuje obowiązku, tu głębokiego trzeba rozważenia.

— Już rozważałem... sam i wspólnie z Achimanem.

Zerwałem się na łóżku:

— Z Achimanem!? czyś oszalał?

— Bynajmniej. Przedłożyłem mu całe zawile zagadnienie z założeń wyższej etyki — i dobrze uczyniłem, albowiem pod wrażeniem opinii starca tego dziś zgoda innym okiem na cię patrzę i inaczej sprawę twego serca sędzę, niż do niedawna.

— Cóż Achiman wiedzieć może o mnie!? — zawołałem zniecierpliwiony.

— Wie bardzo wiele.

— Tyle co od ciebie.

— Wie więcej, niż ja i więcej, niż ty sam.

— To nie możliwe! Nie czyn z niego nadludzkiej istoty. Od kogożby wiedział? Zresztą skąd właśnie mnie obrał sobie za obiekt rozmyślań i analizy? Nie! nie wierzę! Wiem, iż mędrzec to niepowszedni, że może mi dopomóc, przeczuwając mój stan, że wreszcie wskazać może drogę wyjścia, ale nic ponadto.

— Od kogóżby wiedział? mówisz? — rzekł w zamyśleniu Darjusz — otóż od Jolany.

— Od Jolany?...

Tu zawahałem się, wspomniałem w pamięci wczorajszą rozmowę z dziewczyną w drodze do Achimana. „Czuję każdą aurę“ mówiła... Tak, gdybym nie widział Jolany, nie wierzyłbym, a teraz w moc jej oczu wierzę.

— Więc Jolana! szeptałem...

Darjusz śledził moje myśli i najwyraźniej spostrzegł, że mnie przekonał.

W tej oto chwili, poraz pierwszy poczułem zarodek świadomości, iż są w ludziach utajone moce, które na ich stan wewnętrzny oddziałują bezpośrednio. Zrozumiałem możność wpływów na postęпки ludzkie bez uciekania się do zwykłych, widomych działań, jak też bez szukania ich w sferze cudów i wpływów nadprzyrodzonych.

Odtąd wyczuwam tę linję pośrednią w człowieku, gdzie kończy się działanie materji i jej aparatów, a zaczyna się działanie ducha.

Poraz to pierwszy wyczułem w sobie ośrodek ten, w którym kojarzą się pierwiatki materji z pierwiastkami ducha i powodują działanie widome, które w sobie nosi

zarodki wieczności. Ludzie nieświadomie zwań ten ośrodek duszą. Teraz więc poczułem dopiero w sobie duszę. Od tej też chwili spostrzegłem, że od oddziaływania silniejszej od mojej istoty duchowej samochcąc uwolnić się nie mogę. Poczulem się wewnętrznie uzależniony.

Jolana! Jolana!

Cień wstydu względem Olgi przeleciał cichaczem przez moje wnętrze i równocześnie gwałtowny bunt przeciw narzucającej mi się duszy wbrew mej woli, wbrew uczuciu.

— Kocham Olgę! — wyrwał mi się z piersi rozpaczny krzyk, zdławiony łzami, które spłynęły mi po policzkach.

Darjusz chwycił mnie za rękę.

— Męski zachowaj spokój, Tymonie — rzekł cicho, nieco wzruszony. — Niechaj świadomość wyższa ujmie twe uczucie i niem pokieruje. Niczego jeszcze od ciebie nie żądam. W spokoju szukaj drogi wyjścia.

— Darjusz — zawołałem — Nie przeciw tobie rodzi się we mnie protest, ale przeciw tej wewnętrznej powinności, która...

Ach nie! nie wiem nic o niej, wiedzieć nie chcę...

... A zresztą, mój Darjusz, wyobraźmy sobie, że uczynię z siebie ofiarę, ofiarę z mej miłości, że... ach, nie każ mi tego wymówić. — — — Powiedz, czy moja świadomość miłości i zupełnego oddania się Olgi nie obowiązuje mnie?

— Obowiązuje.

— Więc co? więc co? — wyrwało mi się z gardła bezładne pytanie.

— Jak umiałeś zawiązać sprzeczność, tak musisz umieć ją rozwiązać.

Tymonie, są twarde konieczności, którym ulegamy, a twardość ich jest tem większa, gdy źródło ich w nas samych jest; tę twardość sami sobie stwarzamy.

Umilkliśmy obaj, mnie się zdawało, iż w ciemnej przestrzeni, szczelnie zamkniętej, szukam czegoś z zawiązanymi oczami w tej świadomości, iż uwolniony będę, skoro znajdę to, co kiedyś byłem zgubił. W ciemności widniała dłoń Darjusza, jakoby wskazująca mi kierunek zguby.

Spojrzałem w oczy przyjaciela.

Po długiej chwili rzekł:

— Nie trzeba niczego, krom uzgodnienia własnych poglądów z własnem życiem. Nic więcej.

Jeśli zaś zastosowanie tej konieczności zrazu wydaje ci się niemożliwością, jako że nie znajdujesz w sobie jeszcze drogi uzgodnienia, winienes przeciw uczynić krok (choćby jeden), a dalsze pozostawić swemu sumieniu. Zjawiona w tobie dobra wola i utwierdzona czynem, którego cofnąć już nie zdołasz — ta zrodzi w tobie nowe rozjaśnienia. Szukaj więc wpierw onego kroku pierwszego.

— Jakiż to? powiedz Darjusz!

— Zaczynj mówić z Olgą tak, jak ze mną o tem mówisz, nie raniąc jej, ani zmierzając do zerwania. Zaczynj z nią mówić o waszej miłości z stanowiska naszego. Szukaj z nią wspólnie uzgodnienia waszej miłości z wyższym celem człowieka. O resztę dziś jeszcze nie troszcz się, znajdziesz ją, gdy będziesz szczerzy względem siebie i względem Olgi.

— — — A teraz posłuchaj: Jeśli w miłości waszej oboje znajdziecie ostatecznych celów związek, jeżeli koniecznościom ducha miłość wasza podporządkuje sferę namiętności, natenczas trzymaj się tej miłości oburącz i wszystko inne jej przeciwne odtrąć precz od siebie.

Słuchałem słów tych z uczuciem trwogi, ale i nadziei zarazem. Dwojakie to uczucie dodało mi otuchy, że oto otwarłem nagle furkę, którą przed sobą i przed przyjacielem trzymałem dotąd szczelnie zawartą.

— A Roman Munch? — spytałem.

— Dawno czekam tego imienia z ust twoich — rzekł spokojnie Darjusz — i tu ci rzeknę: Zanim rozstrzygniesz w sobie i wobec twej umiłowanej podstawowe pytanie waszej miłości, wyciągniesz rękę...

— Milcz! — zawołałem i chwyciłem przyjaciela oburącz za bary. Patrzyłem mu w oczy i trząłem nim bezwiednie.

— To się nie stanie! — wołałem wzburzony. To się stać nie może! Tego mi nie mów!

Rzuciłem się na łóżku.

— Mój Darjusz, dotąd mówiłeś mi subtelnie o rzeczach, bodaj od siatki pajęczej delikatniejszych. Nie zerwałeś ni jednej nici. To co chcesz powiedzieć teraz, może na strzępy poszarpać całą piękną tkaninę naszej rozmowy.

Czy ty tego nie czujesz? To co mi narzucić chcesz, to jest grubo ciosana robota, to nie twoja w tem ręka, ale jakiegoś duchowego prostaka. Darjusz! ja nie mogę pójść do Muncha, ja tego uczynić nie mogę!

— Grubo ciosana robota, mówisz? — rzekł w spokojnej zadumie Darjusz — a ja to nazwę inaczej: są pale ostro i twardo wbite w nasze wewnętrzne poczucie, a na tych palach rozwieszona jest złota sieć bożych rybaków. Ty musisz podnieść obalony taki pal i wbić go ostro i twardo w własne samopoczucie i rozpiąć na nim sieć, aby — ni w jednym miejscu — nie szargała się, obwieszona wciąż w wilgotnym mule... Nie trzeba, by matnia w wilgoci gniła, gdy skrzydła na palach rozpięte z słońca czerpią swe zdrowie.

Tobie niewolno łamać tak nawet grubo ciosanego — jak mówisz — pała, gdy jestto pał, około którego snuje się współżycie ludzi z ludźmi. Tobie niewolno nienawidzieć.

I czy ty wiesz, że twój stosunek do Muncha nie jest czemś gorszem od nienawiści, czy ty nie widzisz, iż źródło jej nie w jego, ale w twoim czynie jest? Nienawidzisz go za to, iżes go skrzywdził, Tymonie...

A to ci rzeknę nakoniec: jeśli kochać będziesz Olgę siłą przełamania się i uciśnienia ręki Muncha, wtedy będziesz miał prawo mierzyć waszą miłość miarą wiecznych celów. Tak...

— — — Oto jest pierwszy krok, który masz uczynić, iżby wydobyć się z ciemni w jasność. Bądź dobrej myśli, będę ci duchem towarzyszył i Achiman i Jolana...

Długa cisza zaległa wokół nas; słyszałem tylko echa słów ostatnich, ginące gdzieś — może w odległym turkocie w dalekich ulicach miasta, może w ostatnich pomrukach w znękaney mojej duszy.

Rzekł wreszcie Darjusz, zbierając się do odejścia.

— Nie żądam żadnej od ciebie odpowiedzi. Przyjdź do mnie wtedy, gdy pierwszy wyłom w sobie dokonasz; nie pierwej.

Uściskał mą dłoń i wyszedł.

XI.

Choroba moja nie ustępowała.

Złożony niemocą, leżałem już z górą tydzień, nikt przyczyny niedomagania określić nie umiał, a już najmniej lekarz, sprowadzony przez zatroskaną Olgę.

Prócz wzmożonej gorączki i przyspieszonego tętna, oraz ogólnego podniecenia, żadnych nie było znamion niedomagania; stan mój więc tembardziej niepokoił Olgę, która nie odstępowała prawie od mego łóża.

Raz rzekłem jej:

— Mam wrażenie, iż tylko twój widok podtrzymuje moje siły...

Ona uśmiechnęła się z przymusem i taila w sobie wyraźną o mnie troskę. Uwierzyła snać jednak moim słowom, czuła urok, którego mi udziela, to też nie szczędziła zachodów, by zawsze jaknajpiękniejszą mi się wydać w roli pielęgniarki.

Bywało, iż zastanawiałem się, czy niezwykle powab jej ciała i urok spojrzenia może tak silnie na stan mój psychiczny działać, iżbym w zapatrzeniu tem zapodział wszystkie moje wartości wewnętrzne, jeśli jakie posiadałem. A wierzyłem w niektóre, bo i łączność z tak wybitną jednostką duchową, jak Darjusz i wrażliwość na naukę Achimana zaświadczały wobec mego poczucia samokrytycyzmu, iż pewnych wartości wewnętrznych nie byłem pozbawiony.

Czyżbym więc ciałem Olgi przysłonił te moje wartości tak, że ich nie dostrzegam, że nie umiem z nich korzystać?

To chyba niemożliwe! Olga ma w sobie tchnienie, które budzi we mnie pożądlivość duszy. Zawsze tak ją oceniałem; zbliżyliśmy się kiedyś do siebie wzajemnem zainteresowaniem wewnętrznem, a cała miłość nasza po przez upojenia cielesne kołysała się w przestworzach duchowych uniesień.

Bywało — pomnę — że gdy traciłem zmysły z miłosnego szału, Olga wzdragała się na myśl przesyty i nieraz sama powodowała nawrót ku wysokim celom i tam zwracała moją uwagę.

Nie! nie! Mnie nie wolno obciążać duszy Olgi winą mego odwrócenia oczu od wyższych zadań, które noszę w sobie. Sam winien jestem i sam zło naprawić muszę.

Układałem sobie plany, w rozmyślaniach tych dochodziłem po wiele razy do pewnych postanowień, które znów rozsypywały mi się w palcach. Poczem skrzętnie zbierałem wszystkie drobiny, lepiąc z nich całość, po to, iżby znów mi się rozsypała...

Ostatecznie powziąłem postanowienie: Olgę kochać chcę dalej i żadnej nie będę jej jeszcze zdradzał walki, którą w sobie staczam. Natomiast całą siłą rozbudowywać będę wspólne nasze życie duchowe; w tej to pracy niech się rozstrzygnie wreszcie los nasz sam przez się.

W tej chwili stanęła mi przed oczami straszliwa konieczność ukorzenia się przed Munchem.

Szarpnąłem się gwałtownie. Olga, która właśnie przygotowywała dla mnie jakowyś napój uspokajający, zaniepokojona, podeszła do mnie, szepcząc:

— Co tobie, Tymie? Co tobie?

Siadła na krawędzi łóżka i położyła miękką swą dłoń na rozpalonem mem czole.

To mnie uspokajało; czułem w palcach drogiej kobiety łagodny fluid, płynący z jej duszy w moją; czułem prąd zdrowia wlaniający się w me zdrętwiałe ciało.

Jakże wdzięczny byłem jej za to!

Jedno dotknięcie tej błogosławionej ręki dawało mi w tej chwili więcej szczęścia, niż może całe, długie pasmo rozkoszy, którą czerpałem z Olgi tak obficie. W uczuciu tem stopniały wszystkie udręki, spadał na nie cichy woal ukojenia.

Ciepłemi wargami swemi spoczęła Olga na wargach moich, piłem z nich słodycz życiodajną i rozdawałem ją wszystkim mojej duszy drgnieniom, rozdawałem szczodrze, rozrzutnie, aż do wyczerpania wszystkiej we mnie siły. Zasnąłem.

W ciszy niewysłowienie pięknej bogactwem swego wewnętrznego wyrazu, słuchała dusza moja tajemnego głosu, dobywającego się gdzieś z głębi nieznaney.

Jałem nasłuchiwać. Zemdlone z rozkoszy przebytej serce, znów żywym rytmem bić zaczęło, a wargi, pełne jeszcze słodyczy, ssanej z ust Olgi, drżeć poczęły w przeczuciu objawienia jakiejś nowej tajemnicy.

Bo już rozzwoniły się wokół te przedziwne tony, które posłyszała dusza ma po raz pierwszy. Uczułem w sobie drgnienia, raz już zaznane, przecież jeszcze nie skosztowane.

Tony jęły przemieniać się w słowa, te zaś w pieśń mówioną już się układały, aż wyraźnie usłyszałem pieśń, którą mi głos jakiś czysty, dźwięczny cicho szeptał do ucha:

Zbłąkana szłaś — duszo — przez życia urwiska.
 Niech piętno tęsknot Duch w twej drodze znaczy,
 Niech twojej myśli krąg dziś przeinaczy
 I wskaże żywej wody źródło, co wytryska
 Z skalnej szczeliny przeżywanym mąk.
 Podawajcie tę wodę sobie z rąk do rąk.
 A która ręka ci nie sprzyja,
 Tej wciśnij wody kubki dwa,
 Tej więcej daj, i sto — gdy trza.
 Niech się nie zżyma ręka nieczyja...
 Hej! żywa woda niechaj płynie w krąg,
 Wciąż podawana z rąk do rąk...

Słuchałem poszeptu pieśni i wypatrzeć chciałem oczy
 w toń ciemni utkwione.

Nie nadaremno patrzyłem.

Ciemnia błękitna w nieznaczne barwy przemieniała
 łagodne swe fale, które zwolna ześrodkowywały się w płynącą z góry linię tak piękną, że do żadnego widocznego zjawiska zgoła niepodobną. Linji takich nie ma w naturze, są przecież w sferze wyższego widzenia.

Obraz począł odsłaniać oczom moim swą tajemnicę: linja, płynąca pośrodkiem fal błękitnych, zarysowała się złotą ścieżyną, po której płynęła przezrocza postać dziewczyny; ciało jej mgłą się zdawało, że wszelka, i najlżejsza nawet osłona ciężczyby na niem musiała, tłumiąc obrazu harmonję.

Z piosenką cichą snuła się dziewczyna, a z piersi jej świetlna spływała smuga, ścieląc się miljonem pereł u jej stóp różowych, a rozplywając się w potok żywej wody. Wyciągnąłem rękę, schyliłem głowę i jąłem pić z czystego źródłu. Chłonałem w duszę rozrzutnie mi rozlaną toń, w niej miljon pereł, w nich świetlną mgłę, w niej cichą pieśń, w pieśni snującą się zjawę dziewczyny.

— — — Szeroko rozwarłem oczy...

Nie widziałem nic, ani słyszałem, jeno czułem, że we mnie wstąpiła — Jolana.

XII.

Gmach policji witał mnie dzisiaj zyczliwiej, aniżeli że-
gnał był ostatnim razem. Zdawało mi się, że jego okna
mrużają mi dość przyjaźnie, a gdy wszedłem do biura pana
Dyrxa, przekonałem się, że okna nie kłamały.

Sekretarz tajnej policji uradowany był widocznie mojem
przyjściem, ukloniwszy mi się po wiele razy tak zamasyście,
iż miałem pewne obawy o całość jego nosa w stosunku do
podłogi — podał mi skwapliwie krzesło, sam zaś siadł za
biurkiem.

Usłużności jego i zarazem ciekawości od razu uczyniłem
zadość.

— Postanowiłem rozmówić się z panem Romanem
Munchem — oznajmiłem Dyrxowi.

Wiadomość ta uderzyła weń, jak deska w nadstawione
czoło.

Oczy jego zaiskrzyły się radośnie, lecz jednocześnie bły-
snęła w nich iskierka niepokoju.

Prędko usunąłem wszystkie wątpliwości i obawy pana
sekretarza policji:

— Po ostatniej z panem rozmowie, doszedłem do przeko-
nania, że winienem postąpić w myśl pańskiej propozycji, panie
sekretarzu. Raz muszę sprawę tę załatwić i zrzucić z siebie
brzemień smutku i wyrzutu, które mi ciąży. Rozumie to pan?

— He, he! roumiem, rozumiem — jął mówić bezładnie i kłaniać mi się po pas. — Jakże szczęśliw jestem, że nie próżne były moje perswazje... jakże się cieszę! Kiedy mogę zapowiedzieć wizytę szanownego pana u pana Muncha?

— Proszę na jutro.

— Na którą godzinę?

— Pewnie... hm... najchętniej około pierwszej w południe.

Godzinę tę wybrałem po namyśle, ze względu na Olgę.

— Nie wiem tylko...

— Tak, tak! — przerwał mi Dyrx — pan Munch przyjmie pana o każdej porze...

— Zgoda. Czy potrzebna jego odpowiedź?

— Nie, bynajmniej. Pan Munch o każdej porze pana przyjmie.

— A więc o pierwszej — rzekłem, zabierając się do odejścia.

Sekretarz tajnej policji przystąpił do mnie, aby się pożegnać. Przekreślił głowę w kształcie trapezu, uśmiechnął się chytrze i rzekł półgłosem:

— Tylko powinszować mogę panu takiego interesu...

A i ja szczerze jestem panu zobowiązany, bo nie wątpię, że zabiegi moje uwieńczone będą dobrym skutkiem... Bo przecież pan...

— Bądź pan spokojny — rzuciłem ode drzwi i wyszedłem.

— — — O ile dojrzałym się czułem człowiekiem, wychodząc tym razem z gmachu policji w porównaniu z tamtą moją bytnością. Po raz pierwszy może w życiu przystosowałem się do warunków dnia codziennego. Jaki z tego będzie

wynik? — Conajmniej oszukany będzie sekretarz tajnej policji, sądząc, iż nadzieja jego na wielkie wynagrodzenie nie spełni się, chyba Munch na tyle zorientuje się w sytuacji...

Były mąż Olgi, uprzedzony przez swego powiernika, zapewne przyjmie mnie z tem założeniem, że przychodzę załatwić z nim dobry interes.

Ciekawy jestem, czy tym razem jego zacna prostolinijność ulegnie bardziej subtelnym wahaniom.

Czy on oceni moje intencje?

Tak oto rozmyślałem bezpośrednio po wyjściu z policji. Odruchowo też próbowałem utrzymać się w sposobie rozmowania „trzeźwego.“ Czulem jednak, jak natura moja wyłazi wszystkimi szczelinami pękającego wokół, na prędce skleconego pancerza.

Nie umiałem poskromić niesfornej natury.

Już wieczorem tegoż dnia, zdawałem sobie sprawę z tego, że stanę przed Munchem nie takim, jakimbym chciał się widzieć w tej decydującej dla mnie chwili, ale, że będę nieodmiennym, przewrażliwionym i pełnym własnej miłości Tymonem.

A może jednak nie? Może uda mi się wnieść na pańskie komnaty i salony Muncha choć odrobinę z iskier Jolany. Może jej tchnienie towarzyszyć mi będzie i zezwoli na zupełne zadośćuczynienie — jeśli nie w życiu, to choć w duszach nas obu.

Wzrastał znów niepokój we mnie. Chwila za chwilą mija, czas spotkania dwóch śmiertelnych wrogów zbliża się tak gwałtownie, a tu jeszcze tyle trzeba wewnętrznego przygotowania, aby czyn, na który zdecydowałem się, nie był nic nieznaczącym.

Wśród ciągłych zmian wewnętrznego stanu, przysłała na mnie chwila takiego ucisku, że otrząsnąłem się, jakoby chciałem z siebie zrzucić ciężar własnego postanowienia.

Jednak opamiętałem się.

Tu dopiero ujrzałem całe skrzywienie naszego życia, naszego ustroju, systemu wychowawczego i sposobu współżycia z ludźmi. Tu w całej swej nagości wystąpiła mi przed oczy rzekoma chrześcijańskość naszej etyki.

Ja, który mimo wszystko zdobywam się na postanowienie, na które nie każdy z mego otoczenia zdobyłby się, tyle muszę toczyć walki wewnętrznej, iżby dokonać bodaj najprostszego, etycznego czynu. Oto znów grubo-ciosany, ostro i twardo wbity we mnie pał, o którym mówił mi Darjusz, zwałił się i teraz mam go znowu postawić.

Pał wytyczny chrześcijańskiego przykazu miłości bliźniego.

Czemu to o wypełnienie tak zwykłego nakazu, o którym dzieciom powtarza się co dzień — zabiegać muszę z takim trudem? I czy ja jeden? A ci, którym myśli te wcale nie przychodzą do głowy, to co? Już sama walka moja, którą w sobie staczam o rzecz tak prostą, jak wyciągnięcie ręki do Muncha, krzyczącym jest świadectwem naszego niechrześcijańskiego usposobienia.

Ha! umiemy z pogardą drwić z największych myśli, na jakie się świat zdobył, jeżeli one w naszym karlim mózgu, otynkowanym tylko sztuczną miksturą chrześcijaństwa, nie mieszczą się w ramach oficjalnego chrześcijaństwa.

Umiemy kpić z wielkich Hindusów, Egipcjan, Arabów i Greków zwąc ich poganami i ani nam nie przemknie myśl taka, że oni przecież bliżsi są Wielkiemu Nazarejczykowi aniżeli my — Jego wyznawcy.

O! gdybym był z ducha chrześcijaninem, nie trzaby mi w sobie walki staczać o uściśnienie ręki Muncha.

Rzekł mi przecież Darjusz:

„Na nic wszystka mądrość i wzniosłość przekonań, póki niemasz urzeczywistnienia ich w życiu. Uściśnij dłoń Muncha.“

A ja zawolałem: „Czy on zechce?“

Rzekł mi Darjusz: „Nie troszcz się o jego chcenie, dbaj o swoje.“

I miał słuszność.

Tak tedy narażam się na spotwarzenie, na odmowę, na ostateczne upokorzenie.

Wiem przecież, że gdy własnego chcenia strzec będę, a jego jemu pozostawię, to właśnie możliwość ściągnięcia na siebie wielkiego upokorzenia tylko zwiększa moją dobrą wolę...

Tem bardziej zbliżę się do chrześcijańskiej etyki, tem silniej wbiję znów obalony pal i może wtedy zjawi mi się rozjaśnienie, co czynić w miłości mej ku Oldze.

— — — Śmiech dziwny, szydrczy dolciał mnie i umilkł.

Odezwał się głos męski i chciał wyszydzić moje rozumowanie iście dziecięce... Oo! nie darmo napisano w Piśmie Świętem o dzieciach, tulących się do łona Zbawiciela.

O! czemu nas pozbawiono prostoty dziecka! możeby życie nasze mniej tarć wywoływało, mniej udrek, mniej wzajem sobie zadawanych nieszczęść...

Myśl moja znów wracała do Muncha. Wyobrażałem sobie każdy szczegół i każdy moment mojej u niego bytności...

Uciałem silnem, ostatecznem postanowieniem: nie cofnę się z raz obranej drogi.

Aż oto nowa fala wątpliwości we mnie uderza: Czy dobrze czynię, udając się do Muncha bez wiedzy Olgi?

Cały plan zataiłem przed nią, obawiając się utracić tę prostolinijność, która potrzebna mi była w stosunku do Muncha i tego dziecięcego akcentu prostoty, który jeden mógł mi być pomocny w ważnej tej chwili nawrotu do istotnego człowieczeństwa.

Obawiałem się poplątania mego szczerego zamiaru w nierozwiązalne sploty odruchów i zwątpień, jako też niemniej wstrzymujących mnie zaklinań i rozpaczy.

Napomnienie przyjaciela wryło się głęboko w moje sumienie, ono to nie zezwoliło mi okłamywać siebie samego.

„Niech miłość twoja do kobiety z ostatecznym celem będzie w zgodzie.“

Silne to słowo stało mi się drogowskazem, że zmyleniom łatwo nie uległem.

Wszelako miłość nasza krzyczała we mnie, dopominając się swych praw. Nie mogłem nie odwiedzić Olgi w przededniu tak ważnego postąpienia, udałem się do willi w stanie znacznego podniecenia i rozstroju.

Nie uszło to uwagi Olgi. Tkliwą czułością zdała się stukać do mojego wnętrza, a mnie widniał przed oczami wciąż drogowskaz przyjaciela.

Poczułem, że coś w sobie zamknąłem przed Olgą, że coś, co jest we mnie, ma być nagle dla niej nieprzystępne i wydało mi się, że ujrzałem pierwszą skazę w naszej miłości.

W Oldze snąc instynkt kobiecy odrazu drgnął z nieprzepartą siłą, wyraźnie hamowała wybuch. Czułem jej zmylenie i to było dla mnie nad wyraz bolesne. Olga po raz pierwszy wspomniała Jolanę:

— Któż to — zagadnęła nagle — owa dziewczyna, co ciebie nachodzi?

Uśmiechnąłem się z pewną goryczą:

— Nachodzi — mówisz? — Tak! masz słusność. Raz naszła mnie na jawie, a we śnie także przychodziła.

Olga nie była pewna, czy żartuję. Żywo zainteresowane oczy wlepiła we mnie:

— Powiedz mi co o niej.

— To dziwna istota. Wychowanica starego żyda, w chrześcijaństwie chowana — ma to szczęście, że nie urodziła się o kilkaset lat wcześniej, bo z pewnością plawionoby ją jako czarownicę.

— Dlaczego? Taki rzuciła na ciebie urok?

— Więcej niż urok. To niezwykła istota. To ta sama, o której mówił ci głos na seansie: „gdy ujrzysz dziewczkę czarnooką, której czoło białosc hostji ci przypomni...” To ta sama...

Olga drgnęła. Nie pozwoliłem sobie przerwać, ciągnąłem dalej:

— Tenże głos usłyszałem na wschodach, wiodących do mieszkania Darjusza i w tejże chwili szła ona zstępująca z góry z ogromną księgą w ręce, czarnooka... a białosc jej czoła hostję przywiodła mi na pamięć.

Cisza zaległa w okół nas.

Mówiłem dalej:

— Tegoż dnia wieczorem, kiedy przypominałem ci ów słyszany głos wieszczący dziewczkę czarnooką, — czy pomnisz? — zjawiała się nam... to ona!

Chwila ciszy.

— Tymonie! — odezwała się Olga przyciszonym, niespo-

kojnym głosem — czemu tak dziwnie mówisz o tej dziewczynie?

Co tobie, Tymonie? — chwyciła mnie za rękę.

— Przemieniłem się, Olgo! Dokonała się we mnie rewolucja, jak powiada Darjusz. Nieznanej dziewczęce zawdzięczam przemianę tę i pragnę, iżbyś poszła za mną.

— O czym mówisz? — zawołała Olga, a w pytaniu tem dźwięczała utajona nuta radosna, a pełna niepokoju zarazem.

— Nową przed sobą widzę drogę, ale chcę wstąpić na nią niepierwej, aż z tobą...

Olga wyciągnęła do mnie rękę i przysunęła się patrząc mi w oczy takim dziwnym wzrokiem, że niepokój poczułem cichy, czy zbyt nagle nie odsłoniłem w sobie to, o czym sam jeszcze dobrze nie wiedziałem.

Olga pocałowała mnie, a wargi jej drgały...

Rzekła po długiej chwili:

— Czemu i ja tajemniczej dziewczyny ujrzeć nie mogę, krom wtedy, kiedy patrzałam raz jeden na nią, jak na każdą inną?... Czemu pierwsza posłyszałam o niej na seansie, a teraz czemu ona mi się nie zjawia?...

Nie odpowiedziałem nic.

— Czy nie spostrzegasz?... Chcę poznać tę dziewczynę, Tymonie, chcę z nią mówić... może i do ciebie przez nią znajdę klucz... — Ostatnie słowa rzeczzone były pospiesznie, w rozdrażnieniu. Olga wstała i wyszła z pokoju. Gdy wróciła, miała oczy zczerwionione.

Tego wieczora nie mówiliśmy już o Jolanie, jedynie przy pożegnaniu, gdy Olga wsparła się o mnie, przechyliwszy na wznak cudną swą głowę do pocałunku, spytała cicho:

— Czy przyprowadzisz mi Jolanę?

W odpowiedzi wpilem się wargami w jej rozchylone usta i całunkiem złożyłem obietnicę spełnienia jej życzenia. Zrozumiała mnie.

Wille opuściłem pełen wrażeń krzyżujących się we mnie, niby ostre błyskawice na pozór rozbieżne, a jednak związane z sobą jedną siłą magnetyczną i wzajem uzależnione. A w ruchliwości tej tłukło się gdzieś rzucone kółeczko ukontentowania, że zdołałem dziś uniknąć rozmowy o jutrzejszym postanowieniu.

Kłamać nie umiałem Oldze, umiałem tylko milczeć.

XIII.

W domu zastałem kartkę od Dyrxa. „Pan Munch oczekuje przybycia pańskiego jutro o godzinie czwartej. Usposobiłem go jaknajlepiej. Porozumienie pewne.“

Kartkę odrzuciłem w kąt.

Czułem się zupełnie spokojny. Spojrzałem na zegarek: północ minęła. Udałem się na spoczynek; byłem pewny, że spać będę dobrze.

Wszelako po dwugodzinnym, zdrowym śnie, zbudziłem się w mniemaniu, że już czas, że czeka mnie Munch.

Jeszcze dwanaście godzin czasu! Próbowiałem zasnąć, ale od tej chwili zaczął wzrastać we mnie znów niepokój.

Śniłem rzeczy niezwykle i tak chaotyczne, że ich na pamięć przywieść sobie nie mogę. Wiem tylko, że znajdowałem się w jakowejś pijanej kompanji: że Darjusz zgoła nieprzytomny ścisnął się i całował z również pijanym Munchem, a ja wpół trzymałem postać Jolany, której ciała jednak wy czuć nie mogłem, co mnie niewymownie męczyło. W pośrodku sali tańczyła naga Olga, wywijając wężowymi ruchy barwnym woalem, w takt chrypliwej muzyki. Przybliżył się ku niej w dziwacznym podskokach Achiman, wpół obnażony, że jeno biodra jego osłonięte były wieńcem winogradu, a głowa takimi umajona liśćmi. W tanecznych ruchach zbliżał się Achiman do wirującej, już rozszalałej Olgi

i przygrywał kijkiem na kijku, niby na skrzypcach. Djabelskim rytmem szalała pijacka buda, a wszyscy obecni w takt przyklaskiwali.

Ogromne oczy Jolany patrzyły na mnie zdziwione, pytające.

Munch pijany mrugał do mnie, z czegoś bardzo zadowolony; Darjusz spluwał pod stół, a tamci na środku sali w szalonym tańcu dobywali ostatniego tchu. Poczulem, że obrzydliwa woń pijackiej budy przepelnia moją krtań, jąłem się dusić i krzyknąłem.

W tej chwili uczyniło się zamieszanie; wszyscy obecni zerwali się i zataczając się zbiegli z sali; Achiman w podskokach ruszył za uchodzącą, zdyszana Olgą. Jolana uwolniła się z mego uścisku i znikła niespostrzeżenie. Szum niesamowity zdał się przedłużać taneczną muzykę, która teraz gdzieś przycisła się za ścianami.

Otworzyłem szeroko oczy i zerwałem się. Przedemną stara stała posługaczka; ujrzałem się na łóżku siedzącym — wokół moje mieszkanie. W drzwiach spostrzegłem głowę w kształcie trapezu i poruszające się wielkie uszy, ledwie przyczepione do czaszki.

Dyrx! — Tak, to on!

Przybysz począł się klaniać i coś bełkotał, czego nie dośłyszałem.

Posługaczka ciągnęła mnie za rękaw pyjamy, a ja przecierałem oczy. Zwolna oprzytomniałem nieco i na wznak rzuciłem się na poduszki, jakby mnie nic nie obchodziło, co mnie otacza.

Ozwał się zakłopotany głos Dyrza: Przepraszam — nie przypuszczałem ... Chciałem tylko upewnić się ... chciałem przypomnieć, że czas pójść do pana Muncha ...

A może mam zapowiedzieć godzinne opóźnienie? Jak pan rozkaże?...

Teraz dopiero zacząłem sobie coś niecoś przypominać.

Spojrzałem na zegarek: godzina trzecia...

— Trzecia? — mamrotałem przed siebie... Czemu trzecia, jaka trzecia?

Marcelino! — zwróciłem się do posługaczki — czy to dzień, czy noc? Czy oni tu tańczyli? Pijani? Wszyscy pijani?...

Stara jęła mi wykladać, że nikogo tu nie było, że prze-
spiałem prawie dzień cały, że czas wstawać, bo mnie czekają.

Zrazu wszystko to było mi obojętne. Obecność sekretarza tajnej policji drażniła mnie, to też, gdy uprzytomniłem sobie zwolna, co mnie czeka za godzinę, grzecznie wyprosiłem go za drzwi i pospiesznie jąłem się ubierać. Wyszedszy zaś z domu, już znowu natknąłem się na Dyrxa; na ulicy miałem małą przeprawę z natrętnym pośrednikiem, który uparł się, by mi towarzyszyć.

Gdy zaś oświadczył mi, że chce być obecny przy rozmowie mojej z Munchem, zagroziłem mu, że wcale tam nie pójde i odprawiłem go dość stanowczo.

Nie wiele miałem czasu, trzeba mi było skupić się w sobie w tej decydującej chwili, tymczasem czułem rozbieżność myśli i usposobienie zgoła roztrzęsione. Tyle jednak miałem świadomości, że byłem wierny pierwotnemu swemu postanowieniu, iż niczego z góry układać sobie nie będę, ani ulegać żadnym przewidywaniom; niechaj szczerosc mej rozmowy z Munchem nie zazna uszczerbku.

Munch, właściciel całego szeregu fabryk, mieszkał w okazałej kamienicy śródmieścia; pierwsze piętro domu tego służyło za apartament bogaczowi. Wstąpiłem na schody

marmurowe; elektryczne światło oślepiło mnie i drażniły maski fagasów poustawianych jak mumje, a czekających mojego skinienia.

Wprowadzono mnie do obszernej poczekalni. Po chwili lokaj zaprosił do przyległego, mniejszego gabinetu, a równocześnie przeciwnymi drzwiami wszedł Munch.

Ukloniliśmy się sobie z daleka. Munch z wolna podszedł do biurka i ruchem mechanicznym wskazał mi fotel; sam siadając naprzeciw.

Chwila przykryj ciszy. Przerwał ją Munch:

— Jakikolwiek jest stosunek między nami, wdzięczny jestem panu za jego przyście do mnie.

W głosie Muncha brzmiała tłumiona nuta odrazy; wyczułem ją wyraźnie. Rzekłem po chwili:

— Obowiązek mię tu przyprowadził, skoro dowiedziałem się, żeś pan gotów ze mną rozmawiać.

Muncha wargi skrzywiły się przykro.

— Mniejsza o to — rzekł po namyśle — nie chcę wchodzić w obręb ten, do którego pan sam jeden powinien mieć dostęp. Załatwmy sprawę możliwie krótko; oszczędzimy sobie rozdrażnień.

Z jaką propozycją pan do mnie przyszedł?

— Propozycją? zdziwiłem się — to za mało.

— Jestem przygotowany na bardzo wiele...

— O! widzę, że jesteś pan w błędzie, panie Munch... zawałałem niecierpliwie. — Prawda, udałeś się pan do mnie za pośrednictwem takiego indywiduum, jak Dyrx, sekretarz tajnej policji. Prawda i to, że skorzystałem z tej sposobności — ale nie mniej, Dyrx pana w błąd wprowadził, źle informując go o pobudkach mojej gotowości.

— Nie rozumiem pana — zaniepokoił się Munch.

— To bardzo proste, odparłem spokojnie... Jestem też przygotowany na to, że pan mnie i do końca nie zrozumiesz, ale to bynajmniej nie zmienia skuteczności mojego tu przybycia.

O propozycję moją pytasz pan? Z ołówkiem w ręku liczyć się mamy i targować o taki towar, jak...

— Milcz pan! — syknął Munch i jął się trząść na całym ciele. Oczy ręką zasłonił.

— Przepraszam! rzekłem pojednawczo — Słowa moje zadrasnęły pańskie uczucia. Nie miałem tego zamiaru, a jednak tak rzec musiałem, aby panu otworzyć oczy na cel mojej tu obecności.

— Cel? jaki cel, gdy pan nie dopuszczasz żadnej możliwości propozycji z swej lub mojej strony — rzekł Munch i westchnąwszy głęboko, począł bębnić palcami po biurku.

Miałem wciąż na uwadze przyjęte na siebie zadanie, które nie pozwoliło mi ranić nieszczęśliwego męża Olgi. Z całą więc łagodnością w głosie tłumaczyłem dalej:

— Rzekłem na wstępie: propozycja — to za mało; tak też jest w istocie. Ja ze swej strony nie uczynię żadnej propozycji i nie mogę też dopuścić, iżbyś pan z nią wystąpił.

Rozumiem: oceniasz mnie pan jaknajgorzej... ale propozycja, jakakolwiekby była, już nie mnie poniżyć może: ale... właśnie kobietę, o którą chodzi. Pańskie i moje założenia rozumowe, uczuciowe i życiowe z pewnością nie spotkają się dzisiaj ani kiedykolwiek. Pan oceniasz mnie z stanowiska własnej krzywdy — a ja o mojem stanowisku wolę jeszcze nie mówić; to zresztą zbyteczne. Możemy więc rozmawiać z sobą i możemy dojść do jakichkolwiek wyników tylko na tej postawie, że wyłączymy wszelkie próby czynienia propozycji wzajemnych.

— W takim razie nie rozumiem: przerwał Munch rozdrażniony... czy uważasz pan za potrzebne przeprowadzenie ze mną akademickiej dysputy na temat zagadnień seksualnych?

— Bynajmniej — odparłem.

W każdym razie nie szukajmy docinków. Pozwól mi pan dokończyć. Cel mojego przyjscia jest większy i dalej idący, aniżeli się pan domyślasz. Zawilość, wytworzona między panem, panią Olgą i mną jest wzięta od strony wewnętrznej, jest tak delikatna, że nie da rozwiązać się jednym zdaniem.

Nie przyszedłem tu po to, iżby zwrócić panu — mówmy bez ogródki — zabraną kobietę. Toby nie wystarczyło...

(Tu Munch szeroko oczy otworzył). Przyszedłem po to, iżbym — nawet z największą ofiarą własną — przywrócił między trojgiem ludzi harmonję wewnętrzną, którą zburzyłem.

Ku temu trzeba jednak wzajemnego zrozumienia.

Munch wciąż patrzył na mnie szerokimi oczami i gonil mózgiem każde moje słowo; wysiłek znaczył się wystąpieniem silnych żył na skroni. Ja zaś przymrużyłem oczy i mówiłem, jakoby do siebie:

— Jeśli mię pan osądzasz tak nisko, jak to w naszym życiu czynić masz prawo, jako pokrzywdzony, to możesz przypuszczać, że uprzykrzyła mi się miłość do... do pani Olgi i teraz oto czyniąc giest szlachetny, pragnę panu zwrócić zabraną kobietę.

Nie chciej pan sądzić zbyt pospiesznie; ani uprzykrzyła mi się miłość do pani Olgi, ani przychodzę, by zabraną kobietę zwrócić. O ważniejszą rzecz mi chodzi.

Jęknął glucho Munch i rzucił przed siebie:

— Albo jesteś pan wyrafinowanym łotrem, albo człowiekiem dziwnie skomplikowanym...

— Sądź pan według swej woli, — odrzekłem bez urazy — Tymczasem jednak pozwól...

Zerwał się niecierpliwie:

— Kazesz mi pan wysłuchiwać zawitych rozumowań, szukasz pan dla siebie wytłómaczenia, ale o naprawie złego, o możliwości przywrócenia mi zrabowanego w nikczemny sposób szczęścia domowego nie mówisz. Szukałem sposobów różnych, według oceny pańskiej osoby, zdaje mi się, że wyczerpałem wszystkie możliwości, gdy pan wyłączasz możliwość realnego sprawy załatwienia. Wiem, wiem dobrze, że straszne jest pieniężne rozwiązanie kwestji, ale cóż mi pozostało, krom kupienia sobie zginionego szczęścia?...

Rozpacz dławiała krtań Muncha; niepokój ten i mnie się udzielił.

— Czy sądzisz pan — zawołałem w podnieceniu — że pieniądzem kupisz sobie serce Olgi?! Czy cała sprawa ta odemnie zależy i od pana, czy też od nas troje?

Wiedz pan, że gdybym pewny był, że zdołasz uszczęśliwić Olę, że zdołasz jej uczucie i dążenia wznieść choćby tylko tam, gdzie są przy mnie, jeśli zdołasz pozyskać sobie miłość Olgi, natenczas w imię szczęścia was dwojga, ja poświęcę swoje.

Zrozumie pan, że może być na świecie człowiek taki, który po strasznych zmaganiach wewnętrznych doszedł do pewnych wniosków i ujrzał nawet straszną dla siebie konieczność i jej się chwycił, iżby nie runąć ostatecznie na dno.

Ale, by dokonać tego, co postanowiłem pod wpływem bardzo wysoko stojących, a mnie bliskich duchem ludzi, muszę doprowadzić Olę do tego, by mogła postanowienia

moje urzeczywistnić. Ona jest kluczem sprawy całej, w jej duszy jest rozwiązanie.

Czy wróci do pana, straciwszy mnie? — nie wiem. Czy powinna stracić mnie? — nie wiem... Nic z tego nie wiem. Wiem tylko, że mojem zadaniem jest postawić duszę Olgi tak, iżby — jak ja nareszcie — nie chciała opierać własnego szczęścia na cudzej krzywdzie.

To jest moim zadaniem, a tego nie mogę spełnić bez tej świadomości, że w tobie, panie Munch, zachwiało się uczucie krzywdy. Nie żądam jeszcze przebaczenia, wiem iż na nie zapracować muszę, ale żądam słowa, któreby dało mi nadzieję, że praca moja, jak dotąd moje uczucie, nie będzie oparte o twoją krzywdę.

— Czego więc chcesz pan odemnie? — wybełkotał Munch, mało rozumiejąc to, co rzekłem do niego z taką szczerością.

Odparłem:

— Chcę, iżbyś nie pożądał Olgi dopóty, dopóki jej dusza sama nie skłoni się ku tobie. Chcę nad tem pracować, więc żądam, abyś z pracy mej zdjął przekleństwo, by była owocna.

Nic nie wiem co będzie, i nawet nie wiem, czy praca moja nad Olgą zmierzać będzie w kierunku waszego współżycia. Jednakże Olga doszedłszy do pewnej duchowej wyżyny, sama rozstrzygnie, już nie *sub specie amoris* ale *sub specie aeternitatis* — a wtedy już nie między tobą, panie Munch, a mną wybierać będzie... już nie między tobą, a mną...

Ta oto ma być praca moja i tylko chcę, by twoja znekana i zemstą przepojona dusza nie ścigała tej pracy mojej.

Munch patrzył mi w oczy nieprzytomnie. Umilkłem — i on milczał. Śnać nie rozumiał mych intencji, ale czuł ich wagę.

Po długiej chwili zapytał:

— Czy Olga wie o pańskiej u mnie bytności?

— Nie wie.

— Czy zna zamiary pańskie?

— Nie.

— Oboje więc mamy być oszukiwani?

— Jak pan sądzisz — westchnąłem z desperacją. —

Przedwczesne wyjawienie najszczęśliwszych nawet zamiarów zniweczyłoby wszelką ich skuteczność. Olga nie może przeczuwać nawet możliwości rozłąki ze mną, dopóki nie uwierzy w trwałość więzów duchowych, nawet mimo rozłąki cielesnej.

Z gardła Muncha wyrwał się jęk, który przejął mnie dreszczem.

— Och! — syknął Munch — jakie spustoszenie uczyniłeś w duszy mej Olgi! Tej zbrodni Bóg ci nie przebaczy!

Głuchy szloch wstrząsał piersią Muncha. Oczy jego zwróciły się ku mnie, z błyskiem takiej nienawiści, że mimo woli o krok się cofnąłem.

Munch zatoczył się i powoli wyszedł z pokoju. I mnie coś chwyciło za gardło; stałem w bezruchu i czekałem na jakąś odpowiedź, która miała ostatecznie rozwiązać rozmowę moją z Munchem.

Po niejakim czasie odpowiedź się zjawiała: wszedł lokaj, otworzył szeroko drzwi, któremi mnie wprowadzono, i stanął wyprostowany, patrząc na mnie dość wymownie.

Miałem opuścić dom Muncha! To też uczyniłem.

XIV.

Co teraz?

Pytanie to nieustannie cisnęło się do mej świadomości.

Przygnębienie ogarnęło mnie ciężkie, wszelako pełne spokoju i wewnętrznej ciszy.

Nie spodziewałem się takiego właśnie rzeczy obrotu.

Każde inne rozwiązanie mogło mnie postawić w sytuacji wyraźnej, tymczasem stało się tak, iż stosunek mój do Muncha, mimo najlepszych mych zamiarów teraz dopiero stał się boleśnie nieokreślony. Toż wyraźniejszy był przed moją z nim rozmową.

Dziwne to, że w jednej gromadzie żyją ludzie, noszący w sobie wręcz odmienne światy; czy porozumienie między nimi możliwe?

Chciałem sobie wyobrazić zetknięcie się z jednostką taką, jak Munch, na zgoła innej płaszczyźnie konfliktu. Jaka byłaby możliwość wzajemnego zrozumienia się, gdyby między nami nie było zaszło nic życiowego, coby uczuć naszych nie rozdzielało tak wyraźnie, by między mną a nim nie stało zapory nie do przebycia. Czy wtedy porozumienie byłoby możliwe? czy myśl jednego znaleźć by mogła oddźwięk w mózgu i sercu drugiego?

Przecież są duchowe przewody, łączące wszystkich ludzi z sobą! jakże głęboko muszą być utajone, skoro życie zewnętrzne, często zaś zgoła nieskoordynowane wypadki (czy tak?) zdołała ich działalność unicestwić?!

Przewodów duchowych łączących dwóch takich ludzi, jak Munch i ja, nie masz chyba!... a jednak być muszą; jeno ich znaleźć nie umiemy.

Munch też wcale znaleźć ich nie próbował, bo może ich wogóle nie odgaduje. Jestem pewien, że sama myśl o możliwości takich wspólnych nam łączników, doprowadziłaby Muncha do rozpacz; on czułby się w duchu poniżony.

Och! jak on mnie nienawidzi! Nienawiści tej rzuciłem pod stopy całą moją godność męską, ukorzyłem się, łamiąc w sobie całe moje „ja.“

W ten sposób wyzbyłem się sam uczucia wrogięgo, które czułem był do Muncha. To też jakkolwiek przygnębienie mnie ogarnęło na skutek takiego rzeczy obrotu, spokój noszę w sobie i ciszę.

A więc stało się coś! i to coś dobrego, coś, co mi ten spokój zaszczepiło w żyły!

Im bardziej oddalały się chwile mej bytności u Muncha, tem dokładniej wyczuwałem, że w postąpieniu zgoła nie-udanem, dokonałem jednak czegoś dodatniego. Poczucie to wlewało we mnie ów nigdy nie zaznany spokój i wewnętrzną ciszę; wszelako nie umiałem w sobie ustalić, co w mojem niefortunnem postąpieniu było szczęśliwe.

Długo też nad tem nie zastanawiałem się. Myśl moja bieżyła ku Oldze; bo oto inne znów przedemną otwierało się zadanie: ustosunkować nowe moje założenie życiowe do życia naszego wspólnego, do naszej miłości. Narzuca się więc pierwsze pytanie: czy wszystko przemilczeć?

To wydało mi się więcej niż przemilczeniem, to byłoby grą fałszywą, to byłoby pęknięciem struny w harmonijnym instrumencie. Przemilczenie utrwalone i do całego szeregu znamion naszego wewnętrznego stosunku przykrojone, przeobraziłyby się w kłamstwo.

Czy zatem mam Oldze wyjawić całą prawdę i powiedzieć jej o mojej u Muncha bytności?

Nie wiem! nie wiem!

Niewiedza, to właśnie wewnętrznego rozwoju niedostateczność wyraźna.

Błąkanie się w omamie życia! niemożność ujęcia w swe dłonie sprzeciwów! tłuczenie głową o mur uwidzianych konieczności, gdy rozwiązanie rzeczy zgoła w innym jest kierunku i tuż opodal, a łatwe do wykonania. Ma słuszność Darjusz, gdy dowodzi, iż łatwą jest każda trudność, jeno umienie znaleźć w sobie. Tak! w sobie — a my zawsze szukamy kędyś poza sobą...

Nie wiemy, co w nas jest a co poza nami. Dlatego trudna nam jest wszelka trudność. Dlatego życie jest trudne. Stoimy wciąż w sprzeczności z życiem, albowiem stoimy w sprzeczności z sobą. Szukamy życia wokół, miast w nas samych.

Takie oto rozpoznanie rzeczy rozjaśniło świadomość moją, i wierzę, jest to może pierwszy stopień rozjaśnienia.

Olga postanowiła mieszkać ze mną wspólnie i jęła domagać się stanowczo, abym sprowadził się do willi. Jej poczucie godności nie znosiło nieokreślonego stosunku w oczach ludzi. Niemniej sądziłem, iż wrażliwość kobieca żądała niezaprzeczonego przykucia mnie do siebie. Olga chciała, by życie codzienne było jej widomym znakiem, iż mnie po-

siada wyłącznie. Nie rozumiała pierwotnego mego oporu. Bynajmniej nie dążyła jednak do małżeństwa.

— Niech forma zewnętrzna — mawiała — nie przysłoni wewnętrznego uroku naszej miłości.

Coraz bardziej odczuwałem, że myśli nasze idą mimo siebie. Inaczej też być nie mogło; przecież Olga nie wiedziała o wszystkim mojem zmaganiu się dotyczącem mego do Muncha stosunku; a stosunek ten nakazany mi był z wewnątrz; porzucić go nie mogłem.

Postanowiłem czekać chwili stosowniejszej. Tymczasem uległem żądaniu Olgi i postanowiłem zamieszkać w jej willi.

Dręczyła mnie świadomość bólu, któremu ulegnie Munch na tę wiadomość. Wiedziałem, że jeżeli tli się jaka iskierka możliwości porozumienia między nami, to wiadomością tą będzie zgaszona. Odtąd Munch straci wszelką nadzieję odzyskania żony, mnie zaś straci ostatecznie na dno swych czarnych o mnie myśli.

Z jednej więc strony, uległszy żądaniu Olgi, przekreślę z takim trudem osiągniętą zdobycz wewnętrzną, jak stwierdzenie czynem (trudnym czynem!) własnych wierzeń; przekreślę pierwsze uzgodnienie swego życia zewnętrznego z życiem wewnętrznym, słowem zgaszę pierwszy błysk harmonji — a z drugiej podtrzymam dalszą pracę nad wspólnem życiem wewnętrznem i nie przerwę przedzenia tej złotej nici naszego duchowego życia, która wysnuła się z miłości w pierw zgoła zmysłowej. Jakżeby miał więc nasz stosunek znów obrać z wszelkich wartości uszlachetniających!?

Nie jest to zręczne rozumowanie, pełne wybiegów w celu uspokojenia cisnących się wyrzutów z winy ukrzywdzenia bliźniego.

Tak więc po długim i męczącym rozmyślaniu pojąłem sprzeczność moich zadań, jako jeden z zarodków dramatu, który w sobie noszę; a pewność zupełnej dla mnie pogardy i ostatecznej nienawiści ze strony Muncha, którego krzywda poniekąd ma znaleźć straszliwe potwierdzenie w fakcie zamieszkania mojego wspólnie z Olgą, — ta pewność była mi tylko wzmożeniem trudności, które miałem zwalczyć.

Nic w świecie się nie dzieje bez wywołania skutków. To też teraz zoczyłem ogrom mej winy, która tkwi w uwiedzeniu kobiety.

Że nawskroś cielesna pożądliwość zwolna przemieniła się w związek duchowy, w tem może całe brzemie, które oto dźwigam na sobie. Dzisiaj już wiem, że brzemienia jego nie wolno mi zrzucić z ramion i cisnąć złośliwie o ziemię, ale że ująć je muszę w ręce pieczołowite, aby zeń uczynić klejnot, który będę mógł powierzyć przyszłemu życiu biegowi.

W tych oto rozumowaniach utwierdziło mnie nowe spostrzeżenie: oto stopniowo zanika we mnie wybujałość uczuć zmysłowych w stosunku do Olgi. Ja ją dziś inaczej kocham, aniżeli przed niedawnym czasem. Pierwiastek wewnętrzny w mojej ku Oldze miłości wywalcza sobie prawo pierwszeństwa.

I oto dziwne zarysowują się kompozycje w płaszczyźnie mej miłości. Jedna kobieta w istoty dwie zdaje się przemieniać, a pośrodku nich widnieje nieuchwytna zjawia tajemnego przedmiotu, którego określić nie umiem. Nad przedmiotem tym obie istoty podają sobie ręce pełne przyjaznego uścisku. Pasma wonnego dymu łączą dłonie obu i węzłem otulają ich ciała, w jedno chcąc łączyć.

Już też nie widziałem w duchu Olgi bez Jolany, ani Jolany bez Olgi. Obie kobiety w jedno stapały się w mej duszy.

Kiedy jedna stawiała mi pytanie, druga dawała nań odpowiedz i zdało mi się, iż we troje wzajem wypełniamy wszystkie próżnie, których we dwoje nie zdołaliśmy w duszach naszych wypełnić.

I znowu narzucała mi się konieczność uzgodnienia wewnętrzznego życia z życiem codziennym.

Już świadomie dążyłem do stworzenia trójcy z Jolany, Olgi i siebie. Wpierw wydawało mi się, iż dokonałem wielkiego czynu, zespoliwszy towarzystwo obie te kobiety. Później dopiero spostrzegłem, że nie było to tak trudnem zadaniem, jakoż Olga, zaciekawiona do głębi Jolaną i jej zagadkową a niezwykłą duszą, pełną jakiejś utajonej mocy, nietylko nie zachowywała się opornie, ale przeciwnie, dążyła do bliższego zapoznania się z Jolaną i do przestawiania z nią możliwie na codzien. Nieoczekiwana trudność wyłoniła się natomiast ze strony Jolany.

Powziąwszy raz zamiar przyciągnięcia Jolany do nas obojga, jako że czułem, iż miłość nasza obecnością jej uświęcona będzie niejako sakramentalnie, zaszedłem raz i wtóry do mieszkania Achimanowego, iżby nakłonić Jolanę do bliższego zaznajomienia się z Olgą. Oba razy Achimana nie zastałem. Powędrował gdzieś przez wie i miasteczka z misją swoją, korzystając widocznie z łagodności zimy.

Rzekłem raz Jolanie:

— Niestrudzony jest ojciec Achiman, w swej zbożnej pracy; oczekuję i po was uczynku.

Jolana patrzała wielkimi oczami przed siebie, jakoby już wiedziała, czego od niej żądam.

— Czyn... — szepnęła — zawsze... Podejmuję go wtedy, gdy choć źdźbła dusz obu są pokrewne. Gdy wszystko w duszach inne, czyn zbożny zło przynieść może.

— Czyn zbożny?...

— Każde zamierzenie dobre umieniem trza poprzeć.

— Któż zdoła — zawołałem — jeśli nie wy, Jolano?!

— O czym mówicie, Tymonie? — spytała po chwili.

— O waszem na Olgę działaniu — odparłem z biciem serca.

Niepewnym wzrokiem patrzyłem w oczy dziewczyny; niczego z nich wyczytać nie zdołałem, prócz tego chyba, że żądanie moje bynajmniej jej nie zaskoczyło.

— Kochasz pan Olgę — rzekła po dłuższej chwili; a w głosie jej nie było ni twierdzenia, ni pytania. I nie wiem dlaczego, uczułem, jakoby pchnięcie sztyletem w piersi. Nic też nie odpowiedziałem.

Jolana poczęła mówić w pół do mnie, w pół do siebie, a słowa jej wydały mi się mową pszczół, latających wokół mej głowy; znaczenia ich nie rozumiałem, jako mowy pszczół nie rozumiem.

Wreszcie ozwała się Jolana wprost do mnie:

— Wasze tęsknoty nie zawsze spotykają się.

— Już — się roz-cho-dzą... — wyszepnąłem, w pół-świadomy słów moich znaczenia.

Więcej nie mówiliśmy o tem, choć rozmawiałem z Jolaną sam i w obecności Darjusza. Rozmowy te jednak bez niczyjej woli otwierały księgę mej duszy Jolanie, że po niedługim czasie czytała zeń już wszystko.

Zacząłem rozumieć, że dusza moja znalazła oparcie i schronisko. Darjusz czuwał, iżbym nieopatrznie zdobywszy tej nie postradał. On w księgę nie zaglądał (mawiał, że czytać

nie umie); ale trzymał ją Jolanie, niby mszał, z którego czytała.

Pewnego wieczora, kiedy mrok snuł się pierwszy po izbie, delikatnością swej powłoki tuląc myśli nasze w jedną wspólną więź modlitwy, słyszałem szept Jolany:

— Dusza się o duszę trąca,
jako polny kwiat o bujnej łąki ziola.
Oddech chłonie woń, oko pije złoto słońca;
a westchnienie
... hej! bożego tchnienia woła...
W wszechkęsknocie potrącają się
wzajemnie, uderzają, ranią
dusze, jeden boży świat czyniące.
Jedną łzą — przygasa słońce.
I — cisza...

Darjusz skulony siedział w kącie izby. Spojrzałem nań; oczy nasze się spotkały i wspólne spojrzenie przesłały Jolanie.

We troje już jedno imię mieliśmy na ustach.

Nie trzeba było go wymawiać.

Ktoś zastukał nieśmiało.

Jolana ręką dała znać, iżbyśmy jej zostawili powitanie gościa.

Wyszła; poprowadziła przybysza do przyległej izby, nie wchodząc z nim do tej, w której byliśmy.

Długie milczenie. Z za ściany dochodziły nas głosy przybysza i Jolany. Darjusz podszedł do mnie i szepnął:

— Wiesz kto jest, Tymonie. Bądź gotów. Odchodzę...
Jestem zawsze przy tobie.

Chciałem go zatrzymać; nawet rękę poń wyciągnąłem...

Jak cień znikł.

W ciszy pełnej znaczenia pozostałem sam.

Myśl gotowała się do napięcia, niby naciągany łuk, który za chwilę wypuścić ma z siebie strzałę, iżby wraz

z swem ostrzem bieżyła hen, w przestrzeń zapomnienia i nie wróciła nigdy już...

Prute powietrze skręciło się tysiącem zygzaków. Świst zmylił wszystką przeszłości rachubę. Strzała ugodziła jakieś stworzenie w ciemności. Zaskomlał pies, ów w zaułkach miasta zbłąkany pies; powłókł się, jak ciężki cień, krwawemi ślady znacząc ostatnią swą drogę gdzieś w dal niewiadomą.

Poczułem nagle, że coś niezwykłego dokonało się we mnie. Jakoweś przypomnienie kładło się maską na zimnem mem obliczu. Ujrzałem się w zwierciadle, które jak majak migotało w cieniu izby i uporczywie patrzyło mi w twarz.

Spojrzałem: z trudem siebie poznałem. Maską o tępej białości kredy świeciła nad mym kadłubem; maska wykrzywiona boleśnie i smutnie.

Nagle zdrętwiałem. Chciałem zerwać się i uciec. Nie stało sił. Więc przerażonemi oczami patrzyłem w własną twarz, która świeciła mi kredą urągliwie.

Wokół ust czarna czerwień krwi!

Darjusz! Darjusz!

To ja! to on!

Nagle zrumienił się mrok ciemnej już komnaty; ujrzałem twarz przyjaciela w pełnym blasku krwi; oczyszeroko otworzył; dwie gorejące świece, bólem iskrzące...

Ha! pożoga! Krzyki! jęki! przekleństwa!

Z ciemnej, ogniem rozdartej dali dolata bolesny, nieświadomy gwar.

Przypomniałem! zrozumiałem: Rewolucja!!

A tam rewolucji twarz... moja twarz! świecąca mi białością kredy, krwią zczerniona twarz!

Teraz zerwałem się, skoczyłem w bok, ku drzwiom, kędy znikł był Darjusz.

— Przyjacielu! przyjacielu! — wołała dusza moja — o jakże były prawdziwe słowa twoje!

W tejsze chwili napór mojego wołania rozpruł czarność przestrzeni przedemną i rozjaśnienie wielkie na mnie spłynęło; a od nagłości tej zachwiałem się i wyczerpany osunąłem się na ławę.

W jasności ujrzałem przez łzy dziewczkę czarnooką, której czoło było hostji białością.

Weszła Jolana, oświetlając mroczną izbę. I nie wiedziałem, czy lampą izba rozjaśniła się, czy białością czoła dziewczki.

Spojrzała mi prosto w oczy, a ja jak w tęczę zapatrzyłem się w złote promienie jej postaci.

Przetarłem powieki w oczekiwaniu pierwszego jej słowa. Ujęła mnie za rękę. Po raz pierwszy poczułem dotyk jej ciała. Nie ciała przecież dotyk to był, a duszy, ale już nie ten daleki, ledwie przeczuwany, ale ten, co to czucia jest sprawdzianem. W tem jednym dotknięciu odczułem całą treść widzianego kiedyś obrazu, który artysta ochrzcił mianem „*Sérénité*.” Co genjusz powołał do życia mocą swej wyobraźni, przywołując cały świat wietrznych postaci zasłuchanych w ciche tony słyszanej muzyki i całą krasę żywicznego lasu, kąpiącego się w wiosnie, a przeglądającego się w lazurze cichego strumyka — to stwarza w tej chwili Jolana jednym czarownem dotknięciem ręki.

Sérénité.

Błogosławiona bądź, Jolano! za tę przemianę, która dokonała się w duszy mojej za zetknięciem się z duszą twoją.

Po wszystkie czasy błogosławiona bądź!

Nie wiem, czy słowa te wyrzekłem, czy też szeptał je głos mój wewnętrzny — ale wiem, że Jolana, stojąca nademną, ujawszy mię za rękę usłyszała je i w milczeniu przyjęła.

Rzekła po chwili:

— Chcę, iżby woli waszej Tymonie, zadość się stało... Z Olgą chcę żyć wspólnie dla wzajemnego znalezienia się, albo...

Urwała nagle i odwróciła twarz, lekko ścisnąwszy mi dłoń. A po chwili dodała:

— Tak! nie żyję sobie, niech duszę położę za tych, co mnie wołają.

Nie rozumiałem znaczenia tych słów, ale wiedziałem, że Jolana nie użyje żadnego powiedzenia, któreby nie było w treść brzemienne. Pytać chciałem, lecz ona mówiła dalej:

— Chcecie, Tymonie! iżbym mówiła z Olgą. Uczynię to. Chcę, iżbyście podobnie uczynili z człowiekiem, którego wam wskażę.

— Uczynię, co każesz, Jolano!... On tu był przed chwilą, prawda?

— Tak! był Munch.

Wiedziałem, przeczuwałem; a jednak brzmienie tego nazwiska wtłoczyło mi pierś, że jałem oddychać ciężko. Więc niedość jeszcze! nie dość ukorzenia! Niedość zaświadczonej dobrej woli!

— Nie dość jeszcze! — wtórował głos Jolany moim myślom.

Był to przecież krótki moment cierpienia, jeszcze dawność raz wraz we mnie się odzywała; ale wszystko przypomnienie krążyło w mych żyłach słabem już tylko tętnem.

Gotów byłem wypełnić każde Jolany zlecenie.

— Był Munch. Waszej trosce zaradzić nie umiałam, wiedząc, że między obu waszemi, Tymonie, istotami, które w sobie macie, jest luka. Tę lukę wypełnić trzeba. Wzajemność dwóch ludzi stwarzała próżnię w twojej, Tymonie, duszy. Tę próżnię trzeba wypełnić.

— Zaklinam się, Jolano! na miłość, którą żywię dla Olgi, uczyniłem wszystko, co było w mej mocy...

— Nie zaklinajcie się na znikomość, iżby uczynek nie był znikomy.

— Znikomość? znikomość? — powtarzałem cicho, próbując zebrać myśli...

— Na wiarę w ciebie, Jolano, klnę się, uczyniłem wszystko...

— Nie wszystko, — odparła pogodnie. — Uczynicie resztę, a by był czyn pełen, a nie ugniecie się pod brzemieniem jego.

Wtedy uczynię ja czyn pełen, a ugnę się pod brzemieniem jego.

— O czym mówisz, Jolano? — spytałem głosem niepewnym, zgoła nie pojmując tych pełnych znaczenia słów dziewczyny.

— Nie przyszedł czas, by mówić o tem, i w tem życiu mówić o tem nie będziemy. Ale jest czas, iżbyście uczynili, co trzeba, i ja bym uczyniła — co trzeba.

Niech więc nie rzeknę; wszystką resztę wam do uczynienia powierzam i czekam, iżbym mogła, co moje, zacząć uczyniać.

Achiman wraca. Achiman strudzony. Wieczerać będzie; ostanicie z nami na wieczyry.

Nic nie zdradzało zbliżania się starca; wiedziała przecież o tem Jolana.

Zaczęła krzątać się koło wieczerzy, a ja milczący patrzyłem w zdumieniu i pełen czci na jej postać, która każdym ruchem szczerze rozsiewała dobro w wszem otoczeniu.

Jakoż po pewnym czasie zjawił się Achiman.

Zbyt silne na mnie uczyniło wrażenie przyjście jego; nie zdążyłem zebrać myśli, by uświadomić sobie wszystkie zagadkowe powiedzenia Jolany. Przez cały czas mej bytności w domu Achimana ciążyła na mnie konieczność wrócenia myślą do słów dziewczyny i przypomnienie ich sobie i rozważenie.

Lecz oto nowe, silne wrażenie we mnie uderza, bo obecność Achimana działała na mnie, jak obecność monarchy.

Tymczasem Achiman w przedśionku długo strzepywał śnieg z butów, a płaszcz otrząsał, w czem pomagała mu Jolana. Usłyszałem głos powitalny starca, poczem słowa takie, rzucone do Jolany:

— Naści braciszka.

Jolana zaciekawiona dopytywać ją, a starzec powtarzał: Naści braciszka.

Weszli oboje. Jolana trzymała na rękach zawiniątko w sznurach; położyła na stole i ją rozwijać. Nagle, załamawszy ręce westchnęła. W tejże chwili kwilenie niemowlęcia dobyło się z zwojów szmat. Achiman patrzył dziewczynie w oczy z ukontentowaniem.

— Nie będziesz sama w domu, gdy ja w podróży. A juści; nie będziesz sama.

W tej chwili spostrzegł mnie; rozweseliły się oczy starca; przyjazną do mnie rękę wyciągnął.

— A co! — zawołał raźnie — Niepróżno po świecie dziad chadza. Będzie miała braciszka, a co!

Jolana wydobyła niemowlę z zwoju brudnych szmat i nagie przytuliła do piersi; litośne jej oczy patrzyły w nie-
szczęsną dziecinę, a ręce ciepła dodawały matczynego, któ-
rego dziecku w zaraniu życia nie stało.

— W śniegum znalazł — mówił Achiman. — Zła matka
nieszczęśliwe dziecko śniegowi i nocy dała w opiekę. Otulić
trzeba, rozgrzać, nakarmić.

Jolana przyciskała dziecko do piersi, a ono poczuwszy
jej ciepło, wargami jęło szukać pokarmu. Z lekkim ru-
mieńcem na twarzy, dziewczyna wyniosła niemowlę do
kuchni.

— Miłosierdzie wasze — rzekłem do Achimana — Bóg
wam wynagrodzi.

Spojrzał na mnie, jakoby ździwiony i zrazu nic nie
odrzekł.

— A jakoż niemowlę wykarmicie? — zagadnąłem.

Achiman, rozwiązując białą chustę u szyji, odrzekł:

— Tak jak wykarmiłem Jolanę. Teraz mam ich dwoje;
i ona w śniegu znaleziona i bodaj dnia tegoż, co dzisiaj,
jakoteż dzisiaj jej liczę wiosnę siedemnastą. O malca
troskać się nie będę; siostrę ma, to i tak, jak matkę...
O, takiej matki nikt nie ma, nikt! mówię — i mieć nie
może...

Weszła Jolana z twarzą rozpromienioną.

— Już w ciepłym posłaniu... podam wieczerzę i wy-
kąpię malca. Ojczy... — i jęła ściągać mokre obuwie z nóg
Achimana i nakładać ciepłe, domowe. Przytem wyrażała
radość z powodu uratowania chłopca i opowiadała, jak to
będzie go odchowować, a później cel życia w jego wycho-
waniu skupi. Ucałowała wreszcie starego żyda w czoło i po-
biegła zastawić wieczerzę.

— Dobra to wróżba, że cię zastaję w moich progach — rzekł do mnie Achiman. — Nie mniemam wiele o swym domu, ale wiem, że te białe ściany, te małe okienka i te sprzęty ubogie jeszcze nikomu krzywdy nie uczyniły. One pokój wnoszą w serca ludzi, jeśli na dom mój są łaskawi.

I to wiem, że w udręce życia, kto tu zachodzi, pokój wynosi z sobą na ulicę. I jeśli go nie zagubi po drodze, to i do swego zanieśie domu, albo tam, gdzie trzeba . . . czy bliźniego nienawidzi, czy go miłuje, czy mu jest obojętny.

— Doświadczyłem tego ilekroć dom wasz opuszczałem, ojcze Achimanie — rzekłem z wdzięcznością. — Dzisiaj wszelako wynoszę ztąd więcej niż pokój. Dzisiaj zabiorę duszę Jolany i ją poniosę tam — gdzie trzeba . . . tam gdzie Kocham i tam gdzie dotąd nienawidziłem.

Waszemu domowi zawdzięczam odrodzenie — kończyłem wzruszony.

Achiman wyciągnął rękę ku mnie, pocałował mnie w czoło i rzekł cicho:

— Wiem . . . wiem . . .

Weszła Jolana z garncem ciepłej stawy. Siedliśmy do wieczerzy a ona pospieszyła zaraz do kuchni, z której po chwili dolatywał jeno płacz dziecka, plusk wody i pieszczotliwe dziewczyny słowa.

Achiman jął opowiadać szczegóły swej działalności wśród ludzi, a potem snuł myśli ogólne:

— Im więcej wokół krzywdy, tem więcej nam przeciwstawić ukojeń; im więcej nienawiści, tem więcej miłości. Niechaj wyrównanie dokonuje się wśród ludzi, przez ludzi.

I nie sądźmy bliźnich złymi, albowiem są tylko niewiedzący. Szerzymy w ludziach wewnętrzne wiedzenie.

Wzajemna zaś niewiedza stwarza w nas mylne sądy. Gdy spór się toczy między dwoma, jeden drugiego sądzi złym. Tak tedy spór rośnie i ostatnią gasi iskrę miłości.

A w wszystkim człowieku można stworzyć wiedzę o wiedzeniu, usunąć chęć sądzenia, podtrzymując tem uczucie miłości i przebaczenia. I ty sądziłeś złym przeciwnika swego, a on ciebie złym osądzał. Kto zatem złym był? czyj sąd był dobry? Żaden! ale obaj byliście w niewiedzy. Nie sądzicie się już, a miłujcie.

Czemu to w rzeszy prostaków to nauczanie moje łatwiej znajduje posłuch, aniżeli pośród ludzi przyuczonych? Oto, że w prostaku wiele jest miejsca na nowe światło, a w człoku uczonym wszystka głowa pełna jest demniemanej wiedzy, że już na nowe światło miejsca nie staje. A wszelka wiedza oświetlona być musi raz wraz, iżby w nowem świetle ujrzana była, a słuszność jej po wiele razy sprawdzana. Inaczej wszystka wiedza martwą literą staje się, formułą bezsilną, która niema mocy płynąć z mózgu do duszy.

Wiedzenie wszelakie w duszy dopiero nabiera życia.

Nie dziwno więc, że prostak wrażliwszą ma duszę na ujrzenie światła, aniżeli ten, co to światłem niewybranem, którego promienie wzajem się sprzecząją, karmi mózg swój, i jemu tylko nabytą powierza wiedzę.

Achiman wstał i podszedł do drzwiczek, wiodących do przyległej komory.

— Dzisiaj niech ci pokażę, Tymonie, moją skarbnicę — rzekł i drzwi uchylił.

W cieniu komory zarysowały się długie rzędy ksiąg spleśniałych. Dostojność starości powiała z Achimanowej skarbnicy. Gdy zaś do ciemności oko me przywykło, zacząłem rozpoznawać szczegóły w komorze. Oto wśród długich

rzędów ksiąg, wśród zwojów papierów stał nieruchomy — bocian. Głowę schował w pierzu na grzbiecie i spał. Zrazu sądziłem, że to ptak wypchany; ale już oto zbudził się, głowę wyciągnął przed się, i patrzył na nas, przekreściwszy w zdziwieniu szyję. Po chwili znów pobrał się do snu.

— Wiosny czeka — rzekł Achiman; a w tych dwóch słowach zawarta była cała nauka starca i wszystkie zlecenia, które w domu jego słyszałem.

Achiman sięgnął ręką w ciemność komory i dobył książkę niewielką, poczem starannie ją owinął w papier i rzekł:

— Oto przewodnik dla zbłąkanej myśli, poprzez sfer siedem rozwoju człowieka. Księgi tej nie otworzysz pierwej, aż ci mnie zabraknie. Strzeż jej całości, a nie narusz mego zlecenia.

Teraz — że strudzony jestem, pożegnaj mnie a wróc niebawem.

W ramię starca ucałowawszy z czcią wielką, książkę z rąk jego przyjąłem.

Odprowadził mnie do drzwi wchodowych.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego: gdy już przed domem stanąłem, a Achiman jeszcze nie był się cofnął, z ciemności ciasnej uliczki doleciał nas spieszny, głuchy tupot ludzkich kroków.

Wyłonił się cień przyczajony, zdyszany i wpadł do domu Achimana. We drzwiach zatrzymał go starzec.

Człowiek obcy rzucił mu się do nóg:

— Ratuj, ojcie Achimanie! — dyszał człowiek półżywy.

— W twoje oddaję się ręce!...

— Cóżes uczynił, Kasprze? — spytał spokojnie Achiman.

— Zabiłem!

Chwila zastanowienia. Cisza.

Achimian pociągnął zbiega i znikł z nim w wnętrzu swego domu.

Dreszcz mnie przeszedł.

Spieszyłem ku domowi; skręciłem w przyległą uliczkę, jako że zdala usłyszałem nawołujące się głosy i tentent kopyt końskich.

Wkrótce znalazłem się sam wśród ciemnych ulic miasta.

Wokół cisza.

XV.

Choć późna była już noc, zastałem Darjusza w willi. Olga od czasu mego u niej zamieszkania zmieniła nieco zachowanie się względem mnie przy ludziach; przybrała giest małżonki.

Nie krępowało to mnie, jednak w pewnej mierze obowiązywało, a w obecności Darjusza stawiało w sytuację krzywą.

Tego wieczora przybliżyła się do mnie z szczególną czułością i z takim w oczach oczekiwaniem, jakoby ważnej spodziewała się decyzji. Miękkim, jak boa, ruchem przytuliła się do mnie i ustami jęła wodzić po mym policzku.

Z atmosfery, która unosiła się w salonie, wyczułem, że Darjusz przedsięwziął jakoweś przygotowania i może właśnie tego wieczora rozpoczął je dłuższą rozmową z Olgą.

Musiał zaś rozmawiać bardzo subtelnie, jako że nie zdołałem spostrzedz ni cienia dyssonansu.

— Dobrze, że mnie zastajesz, Tymonie — rzekł na powitanie.

— I ja rad jestem — odparłem — dzisiejsza moja wizyta u Achimana...

— To Achiman wrócił? — przerwał mi Darjusz.

— Wrócił. Rozmawiałem z nim. Zawsze nieodmienny, a zawsze nowe słowo wieści, darował mi książkę, której

wszakże otworzyć nie zezwolił, aż gdy mi go zbraknie — powiedział... Ciekawość pali mnie, jednak trza wolę starca uszanować.

Jąłem opowiadać o niezwykłości dzisiejszej w domu Achimana wizyty. O „braciszku“ Jolany opowiedziałem i o złoczyńcy, który schronił się przed pościgem w domu Achimana. Z zainteresowaniem słuchali mnie oboje; wreszcie rzekła Olga:

— O Jolanie powiedz mi... czy zechce mnie odwiedzić?

— Obiecała.

— Ach! jakże rada jestem. Dziwnie pociąga mnie ta dziewczyna... to zjawisko niecodzienne!

— Nie zgodzicie się w usposobieniach — rzekł Darjusz.

Olga odparła z przekorą:

— Być może! ale też nie o to chodzi. Może właśnie na dwóch odmiennych tłach wyraźniej ujrzymy nasze sylwetki.

— Kiedy przyjdzie do mnie?

— Jutro. Prosiłem, aby na jednej wizycie się nie skończyło.

— Oto już się postaram — zawołała Olga — muszę zgłębić jej tajemnicę; mam daleko idące plany... Nie na próżno usłyszałam zapowiedź zbliżania się Jolany... bo wierzę, że o niej to mowa była. Albo mi będzie zwiastunką nieznanego promienia, albo...

— Albo? — wtrącił Darjusz, patrząc bystro w oczy Olgi.

— Albo — zaporą życia, którą precz usunąć będę musiała...

Półzart, a jednak w nim rozdrażnienia zgrzyt dźwięczał wyraźnie. Nie przywiązywałem wtedy do tego wagi.

Od dnia następnego począwszy była Jolana częstym gościem w willi. Wymawiała się tylko, gdy ojciec Achiman był poza domem, jako że niczyjej pieczy powierzyć nie mogła „braciszka.“

Pierwsza bytność Jolany u Olgi pozostawiła we mnie niezatarte wrażenie. Wydało mi się, że obecność tych dwóch istot w jednym domu stworzyć może z niego raj na ziemi, albo dom ten w góry obrócić.

Czy to wzajemne dopełnianie się? Czy zupełna przeciwność?

Teraz dopiero ujrzałem mylność szkielec, przez które patrzyłem tak długo na każdą z tych kobiet. Wiedziałem, że się myliłem, wszelako nie umiałem patrzeć inaczej. To też chwytająca mnie naprzemian to dzika radość na widok uścisku rąk obu tych istot, to znów gdzieś na dnie duszy przyczajony lęk owładał mną zniecka.

Więzy przyjaźni tymczasem zadzierżgiwały się między Olgą i Jolaną.

Tak tedy spełniła Jolana obietnicę, daną mi wtedy, gdy ją zaklinałem, aby zbliżyła się do Olgi. Na mnie zaś ciążył jeszcze obowiązek spełnienia obietnicy danej Jolanie.

Jakim sposobem dotarł Munch do domu Achimana i jak mógł nawiązać znajomość z Jolaną i stanąć w stosunku do niej tak blisko, iż jej wyjawiał całą tragedję swego życia, on dumny i nieprzystępny bogacz, którego dobre pono serce otoczył twardy pancerz konieczności życiowych, jak ten właśnie człowiek znalazł drogę do Achimanowych progów, tego sobie wytłómaczyć nie umiałem.

Nie to też było moim zadaniem, ale spełnienie obietnicy, danej Jolanie.

Gdy już dni kilka upłynęło od czasu bliższego zapoznania się Jolany z Olgą, ozwała się raz dziewczyna w nieobecności Olgi:

— Czyście nie zapomnieli obietnicy, Tymonie? Nie wie człek, zali jutro życie obietnicę wykonać mu zezwoli; nie trza terazniejszości przyszłości powierzać.

Postanowiłem rozmówić się z Darjuszem; niech on mi rzecz ułatwi, przecież i on w tem działa niepostrzeżenie.

Wiedziałem, że w godzinach popołudniowych znajdę Darjusza w bibliotece; tam też skierowałem swe kroki.

Ucieszył się Darjusz, gdy mnie wprowadził woźny do publicznej czytelnicy; odłożył wielki tom, zawierający życiorys *Tomasza Morusa*, i zaproponował przechadzkę po parku, jako że strudzony był wielogodzinnem studjum.

Wyszliśmy. Darjusz milczał.

Sądziłem, iż w przenikliwości swej nie wątpił, że przyszedłem w sprawie Muncha, iż więc rozważa wszelkie możliwości szczęśliwego załatwienia bolesnego zatargu.

Naiwny! — pomyślałem — sądzi rzecz prostszą, niż jest w istocie.

Tymczasem Darjusz śnać myślał o czem zgoła innem, zagadnął po chwili:

— Czy wiesz co się stało?

— Nie wiem.

— Achiman aresztowany!

Zrazu uszom własnym nie wierzyłem. Stu pytaniami zarzuciłem przyjaciela, na żadne nie oczekując odpowiedzi; chaos był w mej mowie; myśli uporządkować nie mogłem, bo aresztowanie Achimana wydało mi się potworne, tak urągające wszelkiemu poczuciu słuszności, że nagle ujawniła

się przedemną całą przewrotność ustroju społecznego, prawodawstwa i pojęcia sprawiedliwości w mojem otoczeniu.

A więc społeczeństwo to przechodzi różne przeobrażenia, wywalcza sobie prawa coraz lepszego ustroju, zwala ustrój dawny, iżby nowy, doskonalszy zaprowadzić, wymusza tysiące i setki krwawych ofiar, aby drogą rewolucji dojść do swych praw i zbliżyć się do ideału — a wszystko to dzieje się po to, iżby przy pierwszej sposobności stanąć w przeciwności z prawdziwym ideałem człowieka?!

Tak! Achiman jest ideałem człowieka!

Jeśli więc ustrój społeczny staje w sprzeczności z Achimaniem, to wiem, że nie ten człowiek, ale że właśnie ustrój ten zły jest, przewrotny, nielogiczny, głupi.

Jeżeli jest możliwość, że ustrój ten targa się na wolność osobistą Achimana, to jest pewność, iż nie niskość, nie zbrodnia, nie złość człowieka ujęte są w twarde kleszcze prawa, ale przeciwnie: wzniosłość, szlachetność i miłość bliźniego!

Teraz zaczynam pojmować wieczny bunt Darjusza, bunt społeczny, który kazał mu pławić się we krwi, który kazał mu w mrowiu wszów szukać rozwiązania zagadki bytu społecznego.

Achiman uwięziony!

Cóż to?! Niedawno uczyniono to z Darjuszem, dziś z stokroć wyższym człowiekiem... dziś wzór człowieczy poddano sądowi, urągowisku i hańbie...

Teraz zaczynam rozumieć co to jest — społeczność...

Achiman uwięziony!

W tej chwili stało mi przed oczami widmo onego zbira, co to w nocy szukał schroniska w domu Achimanowym.

Darjusz przytwierdził:

— Achiman ocalił zbrodniarza, ukrył go w swym domu przed pościgiem władzy... Zbrodniarz uszedł, Achiman w więzieniu.

Tak społeczeństwo chroni się przed złem, że więzi dobro!

Darjusz bliższych powodów zdarzenia nie umiał mi wyjaśnić. Czy zbrodzień był zbrodniarzem rzeczywistym, na czym jego występki polega, o ile mógł mieć wogóle styczność z Achimanem. Wszystko to jest w tej chwili tajemnicą władzy.

Opowiedziałem Darjuszowi scenę nocną przed domem Achimana. Zaczęliśmy snuć domysły, które wszakże rwały się, że nie doszliśmy do żadnych wniosków. Wiedzieliśmy tylko to, że Achiman padł ofiarą wygórowanego swego altruizmu.

— A cóż Jolana? co biedna Jolana? — pytałem gorączkowo. — Trzeba nam pójść do niej, może potrzebuje pomocy, może pocieszenia! nie można jej zostawić samej sobie!

Odparł Darjusz spokojnie:

— Jolana?... żądała, by i ją uwięziono, chciała starcowi towarzyszyć. Achiman nie zezwolił i władze odmówiły. Jolana spokojna, jak zawsze, kołysze „braciszka“ i karmi bociana.

— Do obłądu doprowadza mnie ta dziewczyna swym spokojem! — zawołałem podrażniony — Wiem, co się dzieje w jej sercu, więc czemu ona zawsze jak biała, nieruchoma ściana, jak gład przydrożny, jak...

— Są cisze, których żadna burza zmącić nie jest zdolna — rzekł Darjusz w zamyśleniu, poczem dodał — Czy wiesz, co mi powiedziała, gdy poszedłem ją pocieszyć? — rzekła mi: Naprawienie krzywdy wyrządzonej przez jednego z przyjaciół, ważniejsze jest, niż oddalenie krzywdy od siebie.

Tu mnie pchnęła Jolana sztyletem prosto w serce.

Wszystko więc w oczach jej ustępuje wobec konieczności naprawienia krzywdy wyrządzonej Munchowi! nawet poniewierka Achimana, nawet jego hańba i poniżenie!!

Czegoż więc czekam? czego zwlekam?

Zrozumiałem!

Nie wolno mi myśleć o pocieszaniu Jolany, nie wolno chcieć uwolnić Achimana, nie wolno troskać się o ich całość, cześć i spokój, dopóty, dopóki nie wyrównam krzywdy zadanej Munchowi.

Nie jestem godzien bronięcia Achimana!

Zrozumiałem!

I Darjusz z oczu mi czytał, że zrozumiałem.

Pożegnałem przyjaciela w milczeniu; on też nie rzekł ni słowa.

Pobiegłem do Muncha.

XVI.

Na ulicy nie widziałem nic przed sobą, jeno majaczyła postać człowieka, którego życie obsypało dostatkami i wszystką ziemską szczęśliwością, a któremu ja szczęśliwości tej treść wysączyłem.

Twardy posąg wyrzutu prostego, jak ciosany kamień — jak kamień upartego wyrzutu. Biegłem wprost na niego, aby ująć rękoma, potrząsnąć, wzruszyć, przebłagać, zdruzgotać.

Uchodził przedemną, a jednak wciąż stał niewzruszony. A ja go przecież dosięgnąć musiałem, iżby zdjąć z siebie brzemię, które spoczęło na mnie z pierwszym spojrzeniem czarnych oczu Jolany. A ja musiałem przecież zmyć klątwę, iżby własnem spojrzeniem nie kalać białości czoła Jolany, która to białosc hostji jest podobna! . . .

Więc spieszę, więc gonię, więc chwytam posąg wyrzutu, który wciąż stoi przedemną.

Och! jakby na urągowisko posąg twarz inną przybiera i inny kształt, pelen szydu, pelen pogardy i śmiechu.

Staje przedemną Dyrx. Tak! to on! poznaje: głowa w kształcie trapezu . . . uszy ledwie przyczepione do czaszki, wielkie poruszające się uszy i podle spojrzenie.

Uklonił się Dyrx i jął mówić pospiesznie:

— Panie szanowny, ostatnia chwila! . . . opamiętaj się pan! wszystko uczynić mogę, wszystko, co pan zechcesz!

Przeprowadzam śledztwo policyjne nad ustaleniem zbrodni ujętego starego żyda, z którym pan w bliskich jesteś stosunkach. I pan możesz być zawikłany w tę brzydką sprawę. Odemnie wszystko zależy, od poprowadzenia śledztwa. Jestem do usług za cenę zwrócenia panu Munchowi żony! Pan rozumie, jestem do usług... No cóż? zgoda?... Jedno słówko!...

Cofnąłem rękę z obrzydzeniem; odwróciłem się i biegłem dalej wółprzymotny.

Za chwilę znów twardy, nieustępliwy posąg wyrzutu unosił się przedemną i prowadził, wyraźnie prowadził w stronę mieszkania Muncha.

Tam też wpadłem. Zażądałem przyjęcia mnie natychmiast.

Jakże innym był Munch! Co go zmieniło, i na czem ta zmiana polegała, tego sam nie wiedziałem; ale wyczułem w Munchu od pierwszego wejrzenia ślad oczu Jolany.

Tak! na nim spoczęło jej spojrzenie; rękę jego jej dłoń uściśnęła. Ślad duszy Jolany zamieszkał w Munchu.

Oto były pierwsze słowa jego do mnie:

— Inaczej dziś pana witam, niż ostatnim razem. Pozwól pan, że na przywitanie nie wyciągnę jeszcze ręki; nie chcę być nieszczerzy. Tego jednak nie poczytaj pan za dawną mą — mówmy otwarcie — pogardę i nienawiść. Dzisiaj stanął między nami duch pośredniczący i w nieszczęściu z jego łaski korzystać chcę. Czy pan również?

— Również.

— Siadźmy i rozmówmy się z całym spokojem.

Siedliśmy. Munch patrząc przez szyby okna, bębnił palcami po poręczy fotelu i szukał słów dalszej, niezwykłej rozmowy. Rzekał wreszcie:

— Pan doszedłeś do przekonania, że ciężka krzywda, która na mnie spadła niespodzianie i zdruzgotała moje życie, winna być wyrównana. Prawda?

— Tak! o ile to możliwe.

— Więc?

Długa chwila ciszy.

— Więc? — powtórzył wreszcie Munch.

— Panie Romanie! — ozwał się po namyśle — Zechciej pan zrozumieć straszliwą kolizję, która najlepsze (zaręczam) moje zamiary na poły rozdziera. I z tem założeniem stawiaj mi pytania, stawiaj żądania. Czego pan żądasz odemnie w tej sytuacji, w jakiej my troje ludzi się znajdujemy?

— Żądam zwrotu żony... — głucho i twardo brzmiał głos Muncha.

— To byłoby łatwe, przy dobrej woli z mej strony i przy gotowości poniesienia nawet najcięższej ofiary. A ręczę słowem honoru, że do każdej ofiary jestem skłonny.

Ale czy myślałeś pan o tem, że odzyskawszy żonę, odzyskasz zdruzgotane szczęście? czy serce jej odzyskasz?

— To już nie pana rzecz! — rzucił Munch przed siebie.

— Oo! przepraszam — zawołałem żywo — zbyt chcesz mi pan sprawę ułatwić. To właśnie moją jest rzeczą, jeśli mam przyczynić się do wyrównania krzywdy, której jestem sprawcą. A całą mą klątwą jest to, że muszę podjąć się strasznego wysiłku, w którego skuteczność dzisiaj jeszcze mało wierzę. Mam płomyk nadzieji, że pobudzając ustawicznie do życia te wszystkie duchowe aspiracje, które Olga w sobie nosi, zdołam wreszcie doprowadzić ją do tego, by mi wogóle umożliwiła przyczynić się do wyrównania krzywdy, którą panu zadałem.

I jej!! — jęknął Munch.

— I jej... — powtórzyłem bez protestu. — I choćbyś pan próbował ranić mnie najcięższymi wyrzutami, wiedz, że istota moja, to jedna wielka, bolesna rana, nieczuła już na dalsze ukłócia. Zresztą, cokolwiekbyś pan przeciw mnie wysunął, nie zdoła zmienić tej mojej świadomości, iż uczyniłem gorzej, niż pan określasz. Nie to też jest celem naszej rozmowy. Przyszedłem — mimo upokorzenie po to, abys się pan dowiedział, że praca moja duchowa i według niej kierowane uczynki dziś na rzecz twoją są skierowane. Chciałem, iżby między nami możliwa była wzajemna wiara. Chcę, abyśmy sobie mimowoli nie przeszkadzali.

Możesz pan nie wierzyć w czystość moich intencji, ale przynajmniej dopuść pan jej możliwość; niech to będzie pierwszym krokiem!

Przerwał mi Munch:

— Czy wiesz pan, że wierzę w możliwość czystości pańskich intencji?

Głos Muncha drgnął wzruszeniem.

We mnie zaś wszelkie, błakające się jeszcze w duszy ostrości przeciw Munchowi ustąpiły zupełnie.

Munch począł znów mówić:

— Zazdroszczę panu, żeś znalazł się w takiej bliskości wewnętrznej z panem Darjuszem... Tak! on to sprawił, że nasza rozmowa jest wogóle możliwa. Co sądzić o owym starym żydzie? co o dziwnej przy nim dziewczynie — nie wiem; ale wiem: że są to ludzie, którzy dobrze czynią. Oni skruszyli we mnie straszliwą nienawiść i pogardę, którą żywiłem do pana...

Dlatego rozmowa między nami jest możliwa.

„Niema złych ludzi, są jeno nieświadomi“ — mawiał mi pański przyjaciel. Nie wierzyłem! Pytałem innych — i oni nie wierzyli. Pytałem starego żyda Achimana — on przytwierdził. Pytałem onej dziewczyny — przytwierdziła... Uwierzyłem...

Dlatego rozmowa między nami jest możliwa.

Uwierzyłem, że pan nieświadomy byłeś tego, coś uczynił.

Dziś, widzę, masz tę świadomość. I ja twój stan chcę własnej świadomości uczynić nie obcym.

Dlatego rozmowa nasza jest konieczna.

Ale... (tu głos Muncha załamał się) — Nieszczęśliwy człowiek w dłoniach chciał ukryć swój ból; zasłonił oczy; rzekł wreszcie z wysiłkiem:

— Ale, im bardziej o tem myślę, mniej widzę sposobu...

— Pozwól pan — rzekłem jaknajłagodniej. Jeżeli będziemy myśleli w stylu ludzi codziennych, nie dojdziemy do żadnego rozwiązania. Przedewszystkiem pozbądź się pan sposobów, które nie licują ani z panem, ani ze mną. Nie używaj pan do pomocy ciemnych indywiduów, w rodzaju Dyrxa. Są bowiem duchy między nami (a takie żyją wszędzie), które dobro szerzą i pokój w swem otoczeniu. Tych trzymajmy się oburącz.

Pozatem nie kategorie pieniężne mogą mieć wpływ na rozwiązanie naszego dramatu i tych nie imaj się pan. Tu rozgrywa się rzecz w świecie żywych dusz; tu trzeba przyłożyć miarę tamtej życia strony.

— Tak jest — szepnął Munch. — Wybacz mi pan; to także była nieświadomość...

Ale — jeśli chodzi o stronę duchową całego tego strasznego konfliktu, to wierzaj mi pan, wątpliwości mną wstrzą-

sają, a mają one swój początek w pamiętnych, może ostatnich słowach, rzuconych mi przez Olgę: „Daleś mi — mówiła w rozdrażnieniu — przesyła cię, nie umiałeś duszy nakarmić. Idę tam, gdzie zaspokoi się głód mej duszy.“ Tak oto wołała mi Olga, na wieczne pożegnanie i ten jej głos, który mi był do tej chwili radością życia, nagle cierpieniem utkwił w mem sercu.

A potem co? potem co?

Ciała swe tobie oddała, panie Tymonie! a ty nie duszę jej karmił, ale brał cudzą własność, a duszę powoli zabijał.

A ja żyłem tylko źdźbłem nadziei, aż wreszcie, nie mogąc żyć bez Olgi, choć drobiną wiadomości o niej krzepiłem się co dnia i nasyłałem jej płatnego człowieka w osobie Dyrxa, który mi znosił prawdziwe czy kłamliwe nowinki, a ja za pieniądze, dawane temu agentowi, radowałem się rozkoszą słuchania opowiadań o Oldze. Czasem mi wystarczyło, gdy mi opisał jej strój, czasem jakiegokolwiek jej słowo do łez mnie rozrzewniało...

Po długim, bardzo dla mnie długim czasie, zdał się błyskać blady promyk w mem sercu, bo oto Dyrx przyniósł mi wieść o waszem rozstaniu. Wszelako radość nie trwała długo. To jeno złudny skraw błękitu, który przedarł się przez czarne chmury po to, by burza rozszalała od nowa, z większą jeszcze gwałtownością. Tak też się stało. Dnia pewnego, gdy opuszczałem willę, załatwiwszy z Olgą pewną konieczną formalność, w chwili, gdy dusza moja poszarpana była na strzępy, spotkałem ciebie panie Tymonie, wchodzącego do willi. Ale wtedy z mej duszy już nic nie pozostało, coby ulecz mogło większemu jeszcze poszarpaniu. Zachowałem spokój.

Tak żyłem, nie żyjąc prawie; jeno w chwilach niejakiego uspokojenia nasłuchiwałem nowych o Oldze wieści.

Aż wreszcie Dyrx przyniósł straszną dla mnie wiadomość, że na żądanie Olgi zamieszkałeś pan u niej. To mnie dobiło!

Przez dłuższy czas chodziłem, jak błędny i już nie słu-chałem opowiadania Dyrxa.

Wtedy coraz częściej nawiedzał mnie pan Darjusz. Jego znów chwyciłem się, jak deski ratunkowej... I nie omyliłem się. On mnie wreszcie poprowadził w świat nowy — rzekłbym w świat znachorów.

Nie wiem, co sądzić mam o Achimanie; wiem tylko, że jeśli on znachorem jest, to zna swój fach...

Począłem lżej oddychać.

Dlatego możliwa jest rozmowa między nami, panie Tymonie!

Zamyślił się; nagle otrząsnął się w sobie i westchnął boleśnie:

— Czemuś pan zamieszkał u Olgi?!

— Chcesz pan wytłomaczenia? — rzekłem żywo. — Oto dlatego, ponieważ nie mogłem dopuścić, aby Olga utrwaliła w sobie przekonanie, iż gotów jestem ją opuścić dla Jolany.

— Jolany? któż to? — zapytał zdziwiony Munch.

— Jolana, wychowanica Achimana.

— Ach! to ona...

— Nie mogłem zaś do tego dopuścić — ciągnąłem dalej — ponieważ do pracy nad Olgą potrzebna mi Jolana. Ona jedna może mi dopomódz rozwiązać więzy zmysłowe, które łączą Olgę i mnie, a rozbudować w nas tę świadomość duchową, która może doprowadzi do... do — włączenia ciebie, panie Munch, do naszego wewnętrznego życia...

Munch szeroko otworzył oczy i patrzył we mnie bez wyrazu.

— Tak, panie Munch! — mówiłem dalej — Chcę, iżbyś w nasze życie był włączony, a wtedy chyba dopiero możliwy jest powrót twojej żony.

— Jak pan to rozumiesz — wybełkotał Munch — Tego nie pojmuję... jak to możliwe? Co jedno ma do drugiego?!

— Tak, panie Munch!

Długie milczenie.

Munch wreszcie zaczął mówić, jakby do siebie:

— Teraz pojmuję: nie próżne były ostatnie, pożegnalne słowa Olgi. I ja pełen winy!... Odeszła niezaspokojona na duszy!... Teraz spostrzegam dopiero całą przepaść między nią, a sobą. Dawałem jej wszystko, co mogłem. Myślałem, że to wszystko!... nie dałem najważniejszego!...

Nie ty sam winien, panie Tymonie, ale ze mną pospołu... Jeno, że za winę swą ja pokutuję, ty zaś z swej winy skorzystałeś!

— Dlatego teraz dość odpokutować nie mogę — dodałem. Chciałem mówić jeszcze, ale przerwało naszą rozmowę niespodziane wejście Dyrxa. Wydało mi się, że nagle szatan wplątał się do tej rozmowy, iżby nie dała dobrych owoców.

Dyrx widocznie miał wstęp każdej chwili do domu Muncha; widać codziennym był gościem. Ukłonił się. Munch nie rad był gościowi. Zanim jednak się zdołał zorientować, Dyrx ukłoniwszy się, zaczął mówić niepytany:

— Sądzę, że w samą porę nadchodzę. Jeśliby jeszcze były jakowe trudności, służę... Wszystko można załatwić przy dobrej woli i trochę zręczności. Czy panowie się już porozumieli?

— Przeciwnie — rzekł oschle Munch. — Jeśli porozumienie było możliwe, toś pan je udaremnił nieproszonem swoim zjawieniem się. Proszę nam nie przeszkadzać.

Dyrx zrazu struchlał, snać nie był przyzwyczajony do takiego odzywiania się Muncha.

Opamiętał się jednak w mgnieniu oka, wyprostował się i rzekł bezczelnie:

— Za pozwoleniem! I mój interes jest w grze... Chyba, że pan Munch zechce mnie skwitować.

Munch, widocznie dotknięty, spojrział na Dyrxa; nic nie odpowiedziawszy, sięgnął do biurka po paczkę banknotów i rzucił je przed agenta.

Ten wziął pieniądze i schował do kieszeni.

Szorstko zawołał Munch:

— A teraz — za drzwi!

— O! za pozwoleniem. Mam jeszcze sprawę do pańskiego gościa. Jestem urzędnikiem tajnej policji...

Dyrx wyciągnął legitymację oraz przedłożył dokument, który zawierał rozkaz aresztowania mnie.

— Aresztuję pana — rzekł, położywszy mi zuchwale rękę na ramieniu.

Zdumiałem. W tejsze jednak chwili zorjentowałem się w sytuacji.

Wszystkie we mnie władze, które nieobjęte jeszcze były wpływem Achimana, buchnęły z całą gwałtownością.

Wielkim wysiłkiem zdołałem je opanować na chwilę.

— Czyś pan przyszedł w charakterze prywatnym, czy urzędowym? — spytałem sucho.

— Teraz występuję jako urzędnik tajnej policji.

— A wpierw?

— Prywatnie.

— Wobec tego należy się panu odemnie odpowiedź odnośnie do pierwszej sprawy.

Przystąpiłem do Dyrxa i wymierzyłem mu policzek.

Odskoczył.

— A teraz załatwiam z panem sprawę odnośnie do pańskiego charakteru urzędowego: Jako aresztant, gdzie mam się z panem udać?

Dyrx nie zważając na moje słowa, wołał oszołomiony:

— Za zniewagę względem urzędnika w czynnej służbie odpowiesz pan przed prawem... To niesłychane! to okropne! to...

Zwróciłem się do Muncha, który jął mówić do mnie:

— Wybacz pan, że to go spotyka w mym domu. Jestem przekonany, że to osobiste nadużycie władzy przez tego pana. Sam udam się do prezesa policji; sprawa się wyjaśni.

Munch wziął urzędowy dokument do ręki, przeczytał pośpiesznie i rzekł:

— Oto ten pan sam sobie wystawił rozkaz aresztowania. Tem lepiej.

— Ja gotów z aresztowania zrezygnować — wybełkotał Dyrx.

— O nie! — zaprotestowałem. — Teraz prowadź mnie pan jako aresztanta; teraz ja tego żądam!

Zwróciłem się znów do Muncha:

— Przepraszam, że osobiste moje sprawy czynią niepokój w domu pańskim. Musimy pożegnać się na krótko. Zdaje mi się, że — — — nasza rozmowa nie była bez znaczenia...

Munch nagle spowaźniał i powoli głową skinął potakująco.

— Czy możesz pan — kończyłem rozmowę — teraz już podać mi prawicę?

Munch stał przez chwilę bez ruchu. W mgnieniu oka snać zsumował w sobie cały nasz tragiczny konflikt.

Nagłym ruchem przystąpił do mnie i bez słowa wyciągnął rękę.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, zamykając w ich drzeniu wszystką naszą przeszłość. Żaden z nas słowa nie mógł wypowiedzieć.

Staliśmy tak chwilę, wreszcie szepnąłem do siebie:

— Oto spełniłem zobowiązanie względem Jolany... —
Ozwałem się głośno: — Panie sekretarzu tajnej policji! Na nas czas!

Wyszliśmy.

Przez drzwi — zdało się — usłyszałem za sobą stłumiony szloch Muncha.

XVII.

Dwie człowiecze siły złączone z sobą wewnętrznymi mocami a jednak w istocie swej sprzeczne! Wewnętrznymi mocami prąca ku sobie, że oto, gdy wczas nie wyładują się, wzajem się zetrą i obrócą w niwecz. Zbyt pono równe są, zbyt pełne chcenia i musu. Żadna z nich uledez nie może, jako że obie wszystką swą energję kładą na szalę; przeto równy jest napór obu i równy wysiłek. Tak natężone tarcie możliwe jest do czasu i jeśli jedna z mocy wreszcie nie przeważy, obie zginąć muszą w równomierności wspólnego wysiłku.

Nie sądziłem nigdy, iżby kobieca istota tyle upartej mocy z siebie wydać mogła; sam zaś mocny się czułem i nie mniej nieustępliwy.

Przecież o wewnętrzne wartości człowiecze ścierały się dusze nasze — Olgi i moja.

Zaiste! dziwna dokonywała się w nas walka: to co nas łączyło i coraz bardziej życiowo spajało, to równocześnie doprowadzało nasze istoty do coraz to gwałtowniejszych zderzeń. Długo nie mogłem pojąć tego zmagania ani jego treści ani celu. Teraz zaczynam je rozumieć.

Dwoje ludzi spojonych wielką miłością, jakkolwiek nie tylko zmysłowym szaleem wspólnie żyjących, ale mających mnogie w sobie zadzierżgnięcia duchowych pierwiastków,

nie może ostać się obok siebie, skoro miłość nie jest zdolna stopić ich dusz w jednego ducha.

Tak jest!

Olga i ja złączeni jesteśmy ciałami i duszami, ale jednego ducha z siebie nie stworzyliśmy.

A wierzę ja w miłość taką, która zaznaje rozluźnień uczuć cielesnych, i w taką, która rozmaitość dusz stwarza; lecz że z istot dwojga ludzi wydała jedno tchnienie ducha, przeto w sobie zrodziła już wieczności zarodek. Oto jest miłość w wieczności.

Tej miłości nie masz w duszach nas obojga — w duszach Olgi i mojej. Straszliwemu temu rozróżnieniu począłem patrzeć prosto w oczy, a tam dalsze ujrzałem prawdy.

Oto otwierała się przed oczami mojej świadomości cała przyszłość, która nas czekała; i jeśli miałbym w tej chwili przyszłość tę określić, nie umiałbym nawet obrotowi rzeczy sprzeciwić się. Odtąd parła mnie nieubłagana konieczność, konieczność niewiadoma; tej się też stopniowo poddawałem.

Od tego to czasu zacząłem widzieć to, co będzie, bo uchwyciłem w świadomości ducha prawo ustosunkowania przyczyny i skutku.

Wiedziałem, że Olga władzy tej nie posiadała; to też nie dziwił mnie jej wzrastający lęk o naszą miłość; lęk, który spotęgowany w bezmiar, czarem napełniał tajemną zieleń jej oczu.

— Wiem! — mówiła mi raz Olga przez łzy — wiem, że mnie kochasz głębiej może, niż kiedykolwiek, ale twoja miłość staje się okrutna, bezwzględna, w ogromie swym tak wyniosła, że mnie przytłacza. Gdy patrzysz mi w oczy, to idzie z nich ku mnie taki spokój, że zda się graniczyć aż z okrucieństwem...

— Tymie! — zaczęła wreszcie ie szeptać pieszczotliwie; a szept ten pełen był łez. — Tymie! ja chcę innej miłości!...

Nie wiem, co jej odpowiedziałem. Może nic, może coś, co ją uspokoiło, jako że było jej nieprzystępne; może nie rzekłszy, chwyciłem ją w ramiona i raz jeszcze w krainę miłosnego szału poniosłem, by w omdleniu znalazła chwilowe ukojenie.

A wtedy smęt mroczny padał mi na duszę, bo palił mą dłoń żar uścisku Muncha.

Czem dawniej był dla mnie głos Achimana, czem ciche Jolany spojrzenie, tem stał się teraz Muncha uścisk dłoni.

Przychodziły na mnie chwile, w których przeklinałem uścisk ten i dzień ów, w którym po uścisk do domu Muncha pospieszyłem.

Lecz równocześnie uścisku tego działanie pokonywało wszelki żal i ducha we mnie mocniło.

Tak zwolna dusza moja zaczęła zdobywać przewagę nad duszą Olgi.

Radbym — pisząc te słowa — pozostał w wyższej sferze rozumowań i duchowych wspomnień, ale oto przed oczami staje człowiek dziwny tem, że może kiedyś niniejsze spisania odczytywać zechce.

Gdy myśl powierzam pismu, zawsze jest możliwość pisma tego czytania. Wdzięczność więc i szacunek pilnemu czytelnikowi okazać chcę tem, iż lekce go sobie nie wążąc, skłonnościom jego niekiedy pragnę być usłużny. To też w tej chwili nawrócić mi należy, aby czytelnik zawsze zdarzeń ciągłości Jąkomy, w lubości swej był zaspokojony. Dlatego ciągłość opowiadania chcę przywrócić, zebrawszy wszystkie bohaterów *personae* i w zdarzeń całość je ułożyć.

Do owej więc chwili powracam, gdy Dyrx złośliwy prowadził mnie aresztantem do cyrkułu.

Pan sekretarz tajnej policji rzecz sobie w głowie tak ułożył: Porozumienie moje z Munchem stało się możliwe; a zanosilo się na nie bez udziału Dyrxa. Przeciwnie stawało się jasne, że wszystkie metody postępowania względem mnie, które były wynikiem podszeptów Dyrxa, nietylko chybiały celu, ale wywoływały wręcz przeciwny skutek: W ten sposób groziło Dyrxowi, iż dzieło porozumienia dojdzie do skutku poza jego plecami, a tem samem całe przyobiecane honorarjum z rąk bogacza, jakim był Munch, może mu przepaść. Aresztowanie Achimana wyzyskał pan sekretarz tajnej policji, iżby na mnie wyrzucił presję, gdy zaś i to zawiodło, pozostało biednemu młodzieńcowi o głowie w kształcie trapezu jedynie ratowanie honorarjum i zemsta na mej osobie. Tego też dokonał. Jednakże po kilku godzinach aresztu i po spisaniu protokołu wypuszczono mnie na wolność. Zapewne interwencja Muncha to zdziałała, nie zdołała wszakże spowodować poważniejszej nieprzyjemności samemu Dyrxowi, jako że widocznie był osobistością w tajnej policji wielce pożyteczną. Ja tymczasem zacząłem odczuwać, że nowa się we mnie karta życia otworzyła. Spełniłem przecież daną Jolanie obietnicę i z jej obietnicy w pełni korzystałem, bo choć trapiąca więzieniem ojca Achimana i zajęta pielęgnowaniem braciszka, to jednak każdego niemal dnia znalazła chwilę wolną, którą poświęcała Oldze i mnie. Żądania Jolany pojednania się z Munchem i dążenia do wyrównania krzywdy nie było żądaniem prostej, życiowej doktryny. Jego też spełnienie wywarło zasadniczy wpływ na mój stan wewnętrzny, a tem samem na bieg dalszego życia. Co z wyższych podszeptów słyszała moja dusza,

ale długo nie umiała uchwycić, to teraz jęło w niej osadzać się i dobywać dla siebie mocne podstawy. Czasami wydawało mi się, że substancja mej duszy będąca dotąd w stanie płynnym, zaczyna ścinać się w substancję trwałą i już w widzialny kształt się przyobleka.

Tak! z duszy zacząłem wykuwać żywą formę ducha.

— — — I oto znowu spostrzegam się, że popadam w podobne, jak inni pisarze usterki. To też chcąc zachować znów pełne uszanowanie dla czytelnika, ponownie go o wybaczenie proszę, jako że znów od linii opowiadania odwiodły mnie sprawy ducha. Ziemską przeto nakładam sobie obrożę i do dalszego rzeczy opowiadania się przymuszam. — — —

— — — Wiemy tedy, że moje życie snuje się w ośrodku wpływów uwięzionego Achimana; działającej zawsze, jako bosy anioł, przedziwnej Jolany i już — tak! już pod wpływem uścisku ręki Muncha.

Darjusz, uparty zawsze w swych wzniosłych dążeniach, przekładacz myśli i ideji na życie codzienne, nakłoniwszy wreszcie Muncha do przełamania w sobie wewnętrznej do mnie odrazy, uważał pod tym względem zadanie swe za spełnione; teraz więc był w swym żywiole, gdy mógł, jako prawnik zgłosić obronę w procesie Achimana, gdzie miał szerokie pole do rozwinięcia swych tez ideo-społecznych.

Nad Olgą pracowałem wedle sił i możliwości; a wszystkie nadzieje pokładałem w Jolanie. Do nadzieji zaś miałem powody, albowiem Olga rada witała w swym domu dziewczynę. Po pewnym czasie spostrzegłem jednak, że Olga, będąca pod urokiem Jolany, swą wrażliwą i nieomal wyłącznie artystyczną duszą widzi może w Jolanie tylko niezwykle model dla literackiej kreacji.

Zdarzyło się bowiem, że Olga nieopatrznie pozostawiła na biurku swój rękopis.

Wiedziałem, że kiedyś zabawiła się w poezję i miała nawet spory zbiór zręcznych sonetów w swej tece — później jednak pracy tej poniechała. Aż nagle przekonałem się, iż znów jęła się pióra; prozą już i z bardziej wewnętrznym oddaniem się. Wszelako kunszt artystyczny zawsze jeszcze w pracy tej zaczętej dominował. W bohaterce nowelki zarysowała się postać Jolany. Jakże jednak zewnętrznie!!

Przeczytawszy ukradkiem kilkanaście stronnic, pierwszy raz odczułem inny, niż pragnąłem stosunek Olgi do Achimanej córki przybranej i pierwszy raz zasmuciłem się tym stanem rzeczy.

W Jolanie też nie spostrzegłem wiary w duszę Olgi, a wszelkie z mej strony uwagi dziewczyna otulała w mgławicę swego tajemnego spojrzenia. W oczach Jolany przebił cień smutku.

Stopniowo dojrzewała też we mnie świadomość, iż zwolna zbliżam się do konieczności rozproszenia raz przytłumionego uroku, który starannie otula miłość moją do Olgi.

W tym duchu przemawiały do mnie wymowne oczy Jolany, w tym duchu wołał gdzieś z za ściany rozpaczny, czekający końca szloch Muncha.

Coraz bardziej uprzytomniałem sobie konieczność ostatecznego działania z mej strony.

— — — Jeśli już raz dzielę się najskrytszymi myślami z tobą, miły czytelniku, który życie moje czytasz z tego spisania, to znów przypominam sobie mój względem ciebie obowiązek. Oto nauczony na recepcie waszej tam krytyki literackiej, zarzucisz mi nie dość wyraźny kontur duszy mej umiłowanej.

Według was może i słuszny to zarzut, według mnie zbyteczny. Nie chcę jednak lekceważyć opinji waszej, jako że z was wyszedłem i do was wrócę kiedyś. Dlatego sumitować się pospieszam.

Jeśli postać mojej Olgi wydać się może otulona w mgłę nieokreśloności, to wiedźcie, iż taką właśnie była Olga.

Pozwólcie mi jeszcze patrzeć na nią poprzez miłośćią roziskrzone lzy, a i wy ujrzyć ją przepromieniowaną słońcem letniego poranka we mgle rosy skąpaną.

Rysując tedy ostrość konturów tej duszy, stworzyłbym mylny obraz w grubości pociągnięcia linii, stworzyłbym raczej niedostateczną kopję ukochanej przezemnie kobiety.

Delikatne więc i mgłą owiane, ledwie majaczące linje i płaszczyzny szukają dopiero swego skupienia dla stworzenia akcentu.

Pracę tę skupiającą w duszy Olgi odczuwałem od pewnego czasu. Dawniej ogarniałby mnie był niepokój, teraz zaś śmiało szedłem, by ujrzeć ostateczne Olgi znamię, wyraźny już akcent jej duszy.

Dlatego jasno sobie zdawałem z tego sprawę, iż zbliża się chwila, w której muszę Oldze wyjawić całą prawdę o obu moich bytnościach u Muncha.

Skorzystałem raz z obecności Jolany, którą już Olga była wtajemniczała w skryte swego serca udręki i radości.

Poprzednio jednak zagaadnąłem Jolanę na osobności, czy życzy sobie, abym zamierzoną rozmowę rozpoczął przy niej.

Z wielką dobrocią skinęła głową.

W wyraźne więc uzbrojon zezwolenie, postanowiłem dnia pewnego, choć zacząć rozmowę zmierzającą do wyjawienia Oldze całej prawdy.

Nadarzyła się sposobność.

Olga poprzedniego wieczora pomimo moje prośby i protesty poszła na seans spirytystyczny.

Pod wrażeniem seansu tego nawiązała rozmowę z Jolaną; ja przysłuchiwałem się z ubocza.

Gdy w pewnym momencie rozmowa się urwała na chwilę, podjęła ją na nowo Jolana:

— Nie dobrze jest wiązać duszę swą z duchowemi jednostkami niższej sfery, okrom czynienia tego dla dopomożenia im w wewnętrznym rozwoju. Każdy duch jednostkowy ma pracy swej przeznaczenie, czy w ciele materji uwięziony, czy z niej czasowo wyzwolony. Duch uwięziony pracować ma na rzecz wyzwolenia; wyzwolony na rzecz nowego wcielenia. Ciekawość wcielonych niech nie mąci spokoju życia wyzwolonych. A to dzieje się, gdy są próby podniecania żądzy swej duszy, bo wtedy poruszają się jeno najniższe w duszy pierwiastki.

Te oto pierwiastki najniższe zdolają przywołać do się jeno najniższe z pośród astrali — zazwyczaj zwierzęta, często zmarłych ludzi niskiej sfery rozwojowej.

Kto to czyni, ten zawiązuje łączność z najniższemi ciałami astralnymi; a tem szkodzi rozwojowi własnej jednostki duchowej.

Kto to czyni, ten odwraca dążenia astrali wzwyż, przeszkadza w dokonywaniu pracy, której dokonać mają, jako duchy z ciała wyzwolone, przykuwając ich dążenia do ziemi, podczas gdy po to istoty te umarły, by pracy ich następny etap dokonał się w sferze pozacielesnej; tem więc szkodzi człowiek taki także rozwojowi wyzwolonych jednostek duchowych.

Kto poznał tę prawdę, ten nie może oddawać się uciechom seansowym.

Radabym widziała panią po za temi namiętnościami.

— Więc i pani tak sądzi? — zdziwiła się Olga.

— Czy dziwne, że odrzucam łączność z najniższemi jednostkami duchowymi, skoro najwyższy miasta tego duch mnie prowadzi?

— Więc i Achiman?... — zawołała Olga dość nie-szczerze.

Jolana mówiła dalej:

— Nie znacie niebezpieczeństw przyczajonych w tem obcowaniu z astralami najniższej sfery.

Pomnij pani, że istota taka, jeśli już z zwierzęstwa wyzwolona, zdolna porozumieć się z człowiekiem żywym, wszelako sama żyje po tamtej stronie, temiż kategorjami, któremi żyła w ciele materji. Też same właściwości, też same ułomności i grzechy, albowiem nie zdążyła jeszcze oddalić się duchem od ziemi; a zaś te oddalone, te już nie pozwolą ściągnąć się na zawołanie znów na ziemię. To też tamte niskie kreatury okłamują was, a wy im wierzycie, jako że w nich siłę nadziemską czujecie, ponieważ siły tej nie znacie. Cała więc praca waszej duszy w orbicie kłamstwa dokonuje się.

Wtrąciłem się do rozmowy:

— Święte Jolano słowa... W orbicie kłamstwa! Tak jest! Spirytyści sądzą, że duchem oddalają się od kłamstwa ziemi, tymczasem kłamstwo, w którym się obracają, podwajają jeno swemi praktykami i namiętnemi doświadczeniami. Wszak prawda, Jolano! — Czy możecie przytwierdzić?

— Tak, mogę przytwierdzić — rzekła.

Ja zaś zdecydowany byłem skorzystać z tej rozmowy, aby ją przenieść na zagadnienie mojego do Olgi wewnętrznego stosunku.

Zwróciłem się więc do niej:

— Czy nie odczuwasz tego, moja Olga, że obracamy się ciągle w orbicie kłamstwa? że cała wewnętrzna walka człowieka nie jest właściwie niczem innym, jeno strasznym wysiłkiem wydobycia się z tej topieli?

— Być może — zauważyła Olga — pozwól jednak, Tymonie, przecież, jakkolwiek błędzimy, nie ustawicznie wzajem się okłamujemy?

— Częściej, niż sami sobie zdajemy z tego sprawę — odrzekłem, a Jolana zauważyła:

— Nawet, gdy mówimy prawdę, często kłamiemy, jako że znajdujemy się w orbicie kłamstwa.

— Tak jest — podchwyciłem — okłamujemy się ustawicznie, a kłamstwu temu sprzyja tajność ludzkich myśli. To też słusznie dowodzi Einstein, że współżycie ludzi wogóle nie byłoby możliwe, gdyby myśli ich były wiadome.

— Ależ to jest straszne, co wy mówicie! — zawołała Olga.

— Straszne poznanie rzeczy — potwierdziłem.

Olga jeszcze walczyła z własnymi myślami. Widać było, że to, na czym opierała całe ryzyko swego życia, wiara w szczerść moją i prawdomówność, to zaczyna usuwać się jej z pod nóg. Że zaś wszystkie zagadnienia skierowywała zawsze do siebie i o tyle szukała ich rozwiązania, o ile miało zastosowania do życia jej i pragnień, więc i tu jęła się przeglądać w poruszonym problemie kłamstwa, niby w nowym znalezionem zwierciadle. Po chwili snąć zoczyła swe odbicie w otoczeniu zjawisk dotąd nieznanych; to ją wprowadziło w niepokój!

Rzekła więc, hamując się widocznie:

— Więc my wszyscy w orbicie kłamstwa żyjemy?

Spojrzałem na Jolanę a oczami swemi także powiodłem wzrok Olgi do oczu Jolany.

— Mnie ustrzegł Achiman — rzekła Jolana spokojnie i przekonująco — a was kto ustrzegł?

Walczycie z kłamstwem o tyle, o ile je spostrzeżecie. Kto go nie spostrzegł, ten nie walczy, ten nie uczynił pierwszego kroku wzwyż.

Tu Olga odczuła wyższość Jolany nad sobą. W tej też chwili wydało mi się, iż zatliła się w jej duszy pierwsza isierka urazy do Jolany. Olga spojrzała mi w oczy, poczem spytała:

— I ty, Tymonie?

Jolana uśmiechnęła się słodko i łagodnie:

— Jeśli nie stawiamy wpierw sobie pytania, jakóż pytać nam innych?

— Tymon i ja, to albo jedna prawda, albo jedno kłamstwo — zawołała spieszenie Olga. — Zgoda więc! winnam zapytać raczej: i my, Tymonie? I my żyjemy w kłamstwa orbicie?

Olga utkwiała we mnie wzrok tak przenikliwy, tak natarczywie żądający odpowiedzi, że czułem, iż chwila pierwszego wyznania nadeszła.

— I — — — my — — — szepnąłem.

Olga drgnęła. Nic nie odpowiedziała. Siadła w fotelu i jęła szukać coś myślami, z czego sobie widocznie jasno nie zdawała sprawy. Czułem, że winienem teraz z tem czemś do niej przystąpić; poczułem się lokajem w liberji, który pani swej przynosi na srebrnej tacce ważny list. Ona list otwiera, czyta i — lokajowi ciska w twarz.

Jolana spojrzała na mnie. Zrozumiałem. Podszedłem do Olgi, ująłem ją za rękę i czule ucałowałem; ścisnęła mi dłoń kurczowo.

Jolana przyszła mi z pomocą:

— Jeśli zoczemy w sobie, albo wśród otoczenia, zjawisko, któregośmy spostrzedz nie spodziewali się, niech to nie smuci nas, ani wprowadza w niepokój. Radujmy się raczej, iż spostrzeżliśmy wczas to, czego dotąd nie widzieliśmy i dalsze działanie nasze do nowego spostrzeżenia stosujmy. Niechaj więc pani nie smuci się, ani swoim pytaniem, ani Tymonową odpowiedzią.

Słowa Jolany dodały mi otuchy; jałem więc przekładać:

— Olgo! pozwól mi nigdy wobec ciebie nie kłamać. Jakkolwiek zabołęby miało cię które słowo moje, wiedz, iż radować cię powinno, że nie jest z kłamstwa wzięte.

Olgo! pozwól mi nie kłamać!

Ostatnie moje słowa w brzmieniu swem nabrały znaczenia zapowiadającego coś dla Olgi nieoczekiwanego. Pytające oczy zwróciła ku mnie; wreszcie wysunęła rękę z mej dłoni i cofnęła się jakoby w oczekiwaniu czegoś, co ma wyłonić się ze mnie i w nią śmiertelnie ugodzić.

Nieco drżącym głosem spytała wreszcie:

— A może lepiej, abym nigdy nie dowiedziała się tego, co mi chcesz powiedzieć, Tymonie?!

— Każesz mi kłamać?

— Byliśmy i — sądzę — jesteście szczęśliwi — mówiła w pół do siebie. — Czy szczęście porzucać mam, choćby ono było kłamane?

Ująłem znów Olgę za rękę:

— Nickłamane jest szczęście nasze! Nie ciąży też na sumieniu mojem żadne kłamstwo względem ciebie, ale...

— Ale? — oczekiwała Olga.

— Ale są rzeczy nieujawnione, które w ten sposób może czynią szczęście nasze klamanem.

Uśmiechnęła się swobodnie:

— Coś z dawnej przeszłości? Nic z przeszłości nie może wpłynąć na obecne szczęście nasze.

— Nie o przeszłości ja mówię, a o chwili obecnej.

Olga niespokojnym wzrokiem powiodła po całym salonie i zatrzymała go na oczach Jolany. Dziwne musiało być w tej chwili spojrzenie dziewczyny. Bo oto Olgi wzrok — niby ptak, co usiadł na rozpalonym żelazie, zatrzepoce skrzydły, porwie się i strzałą hen uleci — zmieszany poszybował gdzieś po ścianach, by przez okna ulecić w oddalone dachów płaszczyzny i utonąć w głębi miasta.

Oldze wystąpił rumieniec na twarzy; piękna była nad wyraz i przypomniała mi chwile, kiedy znatem ją tylko z daleka — panną jeszcze.

Snać spostrzegła fatalną swą omyłkę.

Pozwoliłem, by pierwsze domysły Olgi miały czas ułożyć się w sferze prawdopodobieństwa. Niechaj to, co wyjawię, będzie mniej wstrząsające, niż to czego oczekiwała.

Już też spokój odzyskiwała Olga i znów pytająco na mnie patrzała. Milczenie przerwała Jolana, powstając z miejsca:

— „Niech mowa wasza będzie: tak, tak — nie, nie... a co nad to jest, ode złego jest“... Znacnie naukę tę; prawda? Czemu nie mówicie z sobą prosto — tak jak są przykazań dziesięcioro, albo jak rzeczzone wszystkie słowa Zbawiciela. Nie gubmy się w niedomówieniach tam, gdzie trzeba zupełnego wzajem zrozumienia...

Jolana z wyciągniętą ręką przystąpiła do Olgi:

— Pożegnać panią muszę na dzisiaj. Obiecał Darjusz przyjść do mnie z wieściami o ojcu Achimanie. Wkrótce sądzić go mają. Obrońcą zgłosił się zacny Darjusz. Achiman nie przystał na to. Nic bliższego nie wiem, ale dziś ma mi Darjusz przynieść garść nowych wiadomości. Czekać go więc muszę w domu, a i „braciszek“ już opieki potrzebuje, bo sąsiadka pewnie go opuści, by gotować wieszak.

Jak zawsze, tak i tym razem serdecznie pożegnała Jolana Olgę i mnie.

Zostaliśmy sami.

Doznałem wrażenia podobnego, jak gdybym przed podniesieniem kurtyny w operze oczekiwał wielkich wzruszeń rozpoczęciem się potężnej pieśni największego z twórców muzycznych. Jeszcze się czar muzyki nie objawia, jeszcze wstrząs dramatu nie ima się wewnętrznych strun słuchacza, a już w duszę cisną się przecucia, których rzeczywistość za chwilę w grozie, majestacie i w niebiańskim podniesieniu zjawić się ma jako przypomnienie wieczności wśród dni powszednich.

Wtedy to nikt nie wie chwili, która zrodziła pierwsze tony słyszanej muzyki, a w której umilkły ostatnie dźwięki duchowych przecuć. Słuchacz w sobie słyszy muzykę, za nim złowić ją ucho jest zdolne.

Stanu tego nie uprzytomnisz sobie ani nad nim zdołasz się zastanowić, a już akordy uwertury wprowadzają cię w olbrzymie podwoje świątyni. Już też przeżywasz dramatu potęgę i czar i rozkołysanie w sferze rozśpiewanego Okeanosu.

W takim oto uczuciu oczekiwania pozostawałem w tej chwili z Olgą, która również zdawała się być zaśluchana w melodie przyszłości.

Z niewiadomej dali przeniosła na mnie swe spojrzenie. Oczy jej pytały, a w oczekiwaniu pełnem cichej grozy zdały się prosić, błagać, zaklinać. Naprzeciw tej bolesnej prośbie szła nieubłagana konieczność prawdy, która we mnie się rodziła.

Dalsze milczenie mogło tylko potęgować grozę napięcia, a przecież w tej właśnie chwili spokój i opanowanie się zarówno Olgi jak moje było bardzo wskazane.

Nie mogłem milczeć dłużej. Podszedłem do Olgi i chciałem z największą łagodnością w głosie mówić dalej o konieczności zupełnej szczerości między nami; ale Olga uczyniła ruch, który zatrzymał mnie wpół drogi.

— Nie mów! — wyszeptwała ledwie słyszalnym, a pełnym trwogi głosem. — Nie mów, ja już wiem!

— Co wiesz, najdroższa! co ty wiedzieć możesz? — mówiłem z największą tkliwością. — Nie dopuszczaj nawet myśli takich do głowy. Nie chciej wkraczać na kręte ścieżyny domysłów.

Olga uczyniła ręką ruch, którego określić nie umiem; ruch jednak tak wymowny, że przypadłem do nóg kochanej kobiety, za obie ręce ująłem, a gdy siadła w fotelu, zacząłem mówić do niej tak, jakbym pierwsze czynił wyznania miłosne.

Bezwiednemi ruchy rąk broniła się, lecz w obronie słabła i jęła słuchać moich wyznań.

— Olgo! Olgo! — wołałem — W oczekiwaniu czegoś niedobrego tłumisz blask naszego szczęścia, gasisz róż jutrzienki, która ożywia nasze dusze. Nie czyn tego! Nie kłamałem ci nigdy, nie kłamię i teraz kłamać nie chcę...

— Możeby lepiej kłamać... — westchnęła.

— Nie mów tak, Olgo! — jęknąłem z bólem — Czemu koniecznie przywołujesz widmo, które ma nas zdławić?!

Olga nagle powstała. Nerwowemi ruchy wodziła palcami po moich włosach, zapatrzona gdzieś w dal przez okno. Wtem cofnęła rękę jakby ją głowa moja oparzyła. Wyprostowana stała pośrodku pokoju i dziwnym jakimś wzrokiem mnie ogarnęła. Podniosłem się z klęczek.

Olga, patrząc mi w oczy, zagadnęła niespodzianie zmienionym do niepoznania głosem:

— Tymie! nie kłamiesz mi i kłamać nie chcesz?

— Nie kłamię! a jeśli mi mówić zezwolisz, przekonasz się, iż nadal kłamać nie chcę.

Olga oburącz ujęła swe policzki i tak stała oczekująco.

— Mów! — rzekła krótko. — Albo... albo pozwól, niech ja pytam.

— Pytaj.

— Układasz się o mnie z Munchem! Prawda?

W oczach mi pociemniało.

Otoczające przedmioty ujrzałem po dziesięćkroć pomnożone, tańczące wokół dziesięciu postaci, z których każda była wyniosłą, szydzącą, urągliwą Olgą...

Srebrny śmiech tłukł się wśród roztańczonego otoczenia, niby rozrzucony pieniądz.

Jeszcze nieoprzytomniałem, a już dochodziło mnie namiętne, powtarzające się pytanie:

— Czemu nie mówisz? czemu nie mówisz?...

Pytanie to przywróciło mi przytomność.

— Olgo! — zawołałem — Zanim ci odpowiem na straszne twe pytanie, odpowiedz mi na moje, stokroć drobniejsze, nie bolesne; a ono da tobie i mnie odpowiedź.

— Pytaj, proszę! — rzekła spokojnie, a jadowicie.

— Czy rozmawiałaś świeżo z Dyrxem?

Nie było odpowiedzi. Olga najwyraźniej zmieszała się. Giest jej zbladł; odzyskałem przewagę. Przykre milczenie przerwałem pierwszy:

— Nie trzeba, byś mi odpowiedziała, Olgo! Już wiem. Teraz czas na odpowiedź z mej strony.

Odpowiedź będzie dłuższa. W niej znajdziesz też rozwiązanie zagadki kłamstwa, w którego orbicie wciąż się obracamy. Zrozumiesz, że milczenie też kłamstwem być może. Do przerwania milczenia zmierzałem, aby wyrugować ostatni zarodek kłamstwa z naszej miłości i bez względu na to, co się stanie, ujrzeć moją w tobie miłość — niekłamana. Nieopatrznem pytaniem utrudniłaś mi to, Olgo! Jednak cofnąć się już nie chcę.

Ująłem ją za rękę i poprowadziłem do fotelu. Siadłem obok i tak mówiłem dalej:

— Tak! nieopatrznem pytaniem utrudniłaś mi zadanie mego sumienia. O! Czemu pytałaś, czy układam się z Munchem?... Olgo! Olgo!...

Chwila ciszy; znowu mówić jąłem:

— Rzecz wytłomaczę ci szeroko. Jeśli nie uwierzysz w prawdę mych słów, zdruzgoczesz naszą miłość. Zaklinać cię nie będę; niech prawda mówi za siebie. Jeśli miłość twoja jest mojej podobna — uwierzysz. Jeśli nie uwierzysz, wiedzieć będę, że nie mojemu, ale Dyrxa słowu dałaś wiarę; wiedzieć będę, komu uległem.

A teraz posłuchaj:

Nie zatrzymała się miłość moja do ciebie u wrót żądy i nie utonęła w zmysłowej rozkoszy, ale wyolbrzymiała do tych rozmiarów, co to nie mieszczą się już w upojeniu chwili.

Wpierw żądała miłość moja wyłączności; osiągnąwszy ją, zapragnęła jasności tej, która staje się błogosławionym promieniem dusz miłujących. W działaniu tego promienia zoczyłem skazę i zoczyłem rzecz straszną, która niepokój zrodziła w mej duszy, zoczyłem straszliwy fundament naszej miłości, zoczyłem — KRZYWDE!

Tak! Olgo, miłość nasza z krzywdy ludzkiej zrodzona!

Olga patrzyła na mnie takimi oczami, że mimowoli mówić przestałem.

Zapanowała dręcząca cisza; słyszałem ciszy tej krzyk przeraźliwy; a potem bolesny szept Olgi:

— Czemu mi to mówisz, Tymie?!

Otrząsnąłem się. Przystąpiłem do Olgi i za rękę ująłem:

— Mówię ci to, najdroższa! bo wierzę, że możemy zmienić podstawę naszej miłości. Mamy jeno chcieć, a chcieć musimy oboje!

Rzekła po namyśle:

— Dlatego sam, poza moją wiedzą działasz z Munchem?

— Nie oskarzaj! — zawołałem — zanim nie poznasz moich postąpień. Źle, widzę, informował cię Dyrx. Nie dziwię się, skoro otrzymał odemnie policzek.

— Co?! — zdziwiła się.

— Tak! Za nikczemne swe postępowanie, za pieniężny zarobek na tle naszej miłości i nieszczęścia Muncha, za chęć zemsty, którą ujawnił, aresztując mnie. . .

Takiego masz informatora, Olgo! na tak nikczemnej opinii zdeprawowanego człowieka opierasz sąd swój o mnie.

Olgo! nie godzi się, iżbyś z kreaturą taką, jak Dyrx rozmawiała o naszej miłości, nie godzi się, Olgo!

— Przepraszam cię! — zawołała dość wyniośle. — Nie odwracaj ostrza od siebie w moją stronę. Stawiłam ci

pytanie, na skutek którego, ty winienieś się tłumaczyć, nie ja. W jaki sposób wpadłam na trop twoich układów z Munchem, to już moja rzecz; to też twojego postępkę bynajmniej nie zmienia.

Tymonie! od ciebie żądam wytłumaczenia!

Ostatnie słowa wypowiedziane były podniesionym głosem i w wielkiem rozdrażnieniu. W tej chwili odczułem cały mój błąd polegający na zatajeniu tak długo moich z Munchem rozmów. Zrozumiałem, iż chwila to ostateczna, aby wszystko szczerze Oldze wyjawić. Rzekłem więc, siłąc się na spokój:

— I bez tego akcentu w twym głosie udzielić ci chcę wszelkich wyjaśnień. Nie przemawiaj jednak jak do winowajcy; bowiem będziesz żałować porywczosci swej skoro przekonasz się, iż żadnej nie masz słuszności.

Unikajmy pospolitej sceny zazdrości; tu o głębsze sprawy rzecz się toczy, zechciej więc uzbroić się w cierpliwość.

Otóż więc winienem ci wytłumaczenie moich rozmów z Munchem.

Cofnijmy się do owych dni, kiedy to Darjusz, kierowany najszlachetniejszymi intencjami, doprowadził nas do chwilowej rozłąki.

Wtedy istotnie zaczęły kielkować we mnie pierwsze źdźbła rozpoznania złej podstawy naszego stosunku. Wszak Darjusz zblądził swym szlachetnym podstępem; jego założenie było mylne, chybiło więc celu.

Tęsknota do ciebie, wówczas utraconej, pożerała mnie i niczego poza nią w piersi nie czułem; ona to przywiodła mnie znów do ciebie.

Wtedy — zda się — osiągnęliśmy szczyty naszego szczęścia; i tak trwamy do dzisiaj...

— Czy tak? — szepnęła Olga.

— Tak trwamy do dzisiaj — powtórzyłem z naciskiem. — Miłość moja ku tobie, Olgo, rosła, olbrzymiała i dopominać się jąła praw wyższych; chwilą już żyć nie chciała, ale mocarną dłonią sięgnęła — w wieczność. Tak pożałowałem wiecznej miłości twojej. Ale gdy pierwszy zarodek miłości ucułem w sercu, zoczyłem nagle w całej jaskrawości wszystko co było w naszej miłości wieczności zaporą; zoczyłem to co było przyjemne, co z wzniosłością ducha sprzeczne.

Szukałem wyjścia. Kołatałem gdzie mogłem o pomoc, o dobre słowo, o oświecenie. Kołatałem i do ciebie, Olgo! Nie zrozumiałaś, bo i zrozumieć nie mogłaś; nazbyt bowiem osobiście czułaś wielkiego zagadnienia zawłość. To też do ciebie żalu o to nigdy nie czułem. Zacząłem jednak szukać światła u przyjaciela. Darjusz, duch czysty, duch niepośledniej wyżyny umiał wskazać mi drogę do światła. Za jego przyczyną w wędrownicy mej przysiadłem strudzony w domu Achimana. — — —

— — — W tej chwili czułem, że Olga chciała mi przerwać, coś rzec, coby było straszliwym obniżeniem mojego wyznania. Nie dopuściłem do tego; przerwać sobie nie pozwoliłem i tak mówiłem dalej:

— Zapoznawszy się z tą niewysłowioną prostotą w myśleniu, z tą czystością ideji wniesionej w życie codzienne, poczułem się poza nawiasem tych doskonałych ludzi. I ogarnęła mnie niepowstrzymana chęć dostania się w obręb myślenia i czucia tych ludzi, do których już teraz należał i Darjusz.

Olgo! z tobą, moją jasną oblubienicą wejść chciałem w ich święty dom. I oto zastałem drzwi domu tego otwarte, a ramiona owych ludzi wyciągnięte. Że jeno otrząsnąć pył z obuwia, a wejść w podwoje.

Otrząsnąć pył z obuwia!...

Tak! jałem otrząsać.

Cień niedobrego uśmiechu przemknął się po ustach Olgi. Nie pozostawiłem go bez odpowiedzi:

— Może tego, Olgo, nie czujesz, może w wyobrażeniu swem umniejszasz wagę ludzkiej krzywdy i dlatego nie wahasz się budować na niej własnego, szczęsnego życia.

Mnie zaciążyła krzywda Muncha; dlatego dążę do zrzucenia z siebie tego brzemienia, i do zrzucenia go z ciebie, Olgo!

— Teraz nagle?

— Nie nagle i nie teraz dopiero.

— Czemu więc w tajemnicy przedemną? — pytała uszczypliwie.

— Całe te moje przeżycia wewnętrzne — odpowiedziałem, siląc się na spokój — nie miały być tajemnicą dla ciebie. Szukałem jedynie stosownej chwili, iżby wszystko ci wyjawić.

A chwila dotąd nie była stosowna i — nie jest.

— Nie jest? zdziwiła się Olga.

— Z sposobu twego przemawiania wnoszę, że nie jest stosowna chwila, jako że jeszcze nie doszłaś do tego, aby móc mnie zrozumieć.

— Więc dopiero potrzebny był Dyrx, aby mi oczy otworzyć — szydziła dalej Olga.

— Niestety — westchnąłem. — Niestety uprzedził mnie i w ten sposób zasiał raz złe ziarno nieufności w twe serce. Wierzę jednak, że zdołasz chwast wyplenić.

— Czy nie sądzisz — przerwała mi Olga — że nadmiar słów nie może doprowadzić mnie do zrozumienia twego postępowania? Czy nie sądzisz dalej, że stworzyłeś sytuację

istotnie nie dającą się wytłumaczyć, przez utrzymywanie ze mną — powiedzmy krótko — stosunku miłosnego przy równoczesnych pertraktacjach z byłym moim mężem? I dziwisz się, że wstrząśnięta jestem do głębi?

Zrazu postanowiłem nie wyjawić ci, że wiem cośkolwiek; chciałam, by rzecz rozwijała się sama przez się. Dzisiaj jednak wyczuwałam z słów twoich mówionych jeszcze w obecności Jolany, że zmierzasz do czegoś, co ma ścisły związek z tem, co mi Dyrx powiedział.

Nie mogłam więc dłużej taić tego, co wiem.

I czy ja tu winna jestem, czy ty? Nie przemawiaj więc do mnie, jakobyś mógł mi cośkolwiek zarzucić. Nie ja wnoszę zaburzenie między nas, nie ja, nie ja!

Rozdrażnienie Olgi rosło z każdą chwilą. Domyślałem się, że źródło podniecenia tkwi w intrydze Dyrxa. Wpierw należało więc wyjaśnić Oldze istotę rozmów mych z Munchem. Ozwałem się uspokajająco:

— Moja Olgo! Jeszcze nie wysłuchałaś mnie do końca. Rozdrażniasz się zgoła zbyt. Zechciej posłuchać, powiedz mi, co wiesz o moich rozmowach z Munchem?!

— Wiem to, że pertraktujesz z Munchem, o zwrócenie mnie jemu, że stawiasz warunki.

— Jakież?

Tu Olga popatrzyła na mnie łzawymi oczami i umilkła. Jakieś krwawe błysków skrzyżowania rozświetlały jej spojrzenie. Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Olga rozkrzyżowawszy ramiona, z głośnym płaczem rzuciła się przedemną na kolana, wołając:

— Tymie! Tymie! raczej mnie zabij, raczej sponiewieraj, ale mnie nie zaprzędawaj!

Co chcesz, uczynię! czego zapragniesz, dam ci... ja ci dam więcej, niż on... więcej! dam wszystko!...

Porwałem ją na ramiona i jak dziecko, nosiłem po pokoju.

— O czym mówisz, Olgo? Zastanów się!...

Plączącą położyłem na sofie.

— Na Boga! — zacząłem tłumaczyć. — Jakże mogłaś dać wiarę nikczemnemu Dyrxa oskarżeniu! Ja ciebie zapredawać?!... Ja miałem podobne warunki stawiać Munchowi?!... O biedne dziecko! jakże mogłaś uwierzyć w podobne baśnie! O jakże mnie znasz mało!

Długo uspakajałem zękaną szarpiącemi podejrzeniami kobietę; a ona, splótnszy na czole ręce, i zmrúżywszy zalzawione oczy, słuchała — zda się — w półśnie słów moich, pełnych troski i miłości najtkliwszej. Zwolna zmierzałem do rozwinięcia mych myśli, któreby mogły wnikać w duszę Olgi i znaleźć tam pełne jej odczucie. I z coraz też większem przemawiałem przejęciem, ożywiony nadzieją, że zdołam nietylko przekonać Olgę o czystości mych zamierzeń w rozmowach z Munchem, ale nadto, że słowom moim starczy siły, iżby wznieść duszę Olgi do takich wyżyn życiowych, któreby pozwoliły jej nietylko nie przeciwdziałać, ale wręcz dopomagać do rozwiązania wielkiego zadania wyrównania krzywdy Muncha.

— Jeżeli miłość nasza — mówiłem z nieco kaznodziejskim patosem — ma być tą miłością, która życie wiedzie wzwyż i dźwiga je z niziny codzienności w dziedzinę idei, tedy nie może dalej wspierać się o zło; a złem jest życiowa krzywda zadana człowiekowi. Naszem zadaniem tedy jest miłość naszą oczyścić, uczynić ją niepokalaną, oprzemienić tem światłem, które po świecie sieje dobro i pokój. Niech żadna

w naszej miłości nie pozostanie skaza. Taka miłość złączy nas silniej i zespoli wyłączej, aniżeli wszystkie zaklęcia, uściski i całunki...

Olgo! Dusza moja chce zamieszkać w Achimana świętym domu.

W tej chwili Olga oczy otworzyła szeroko i znowu je zmrużyła.

— Nie broń mi — prosiłem już niemal pokornie. — Nie broń mi zamieszkać w domu pokoju i dobrej woli, ale pójdz ze mną tam i tam zamieszkać. Tam tylko dobre usłyszysz słowo; tam i mędrzec i prostak, wzniosły duch i zbrodzień mają pomieszczenie, gdy tylko westchną raz z głębokości nieba, które noszą w sobie.

Tam znajdziemy wszyscy ciszę ukojenia, tam przebaczenia usłyszemy słowa, tam już nikt nie sprzeciwi się naszej miłości, tam błogosławić nam będzie nawet ręka Muncha.

Olgo! Olgo! Czy słyszysz?!

Olgo! Olgo! pójdz ze mną w święty dom Achimanowy.

Olga chwyciła mnie oburącz za szyję i patrzyła mi w oczy, jakby z nich wyczytać chciała jakąś tajemnicę słów moich. Wargi zlekka uchylwszy, zdała się mówić coś, co uwadze mej uchodziło, a mimo to osadzało się na krańdzi mej duszy i miało swoją wagę i znaczenie. Wreszcie wyszeptła Olga nieokreślenie:

— Więc i Munch i ja i Jolana i ty?...

— I Jolany „braciszek“ — ciągnąłem dalej — i ów zbrodzień, co znalazł schronienie w domu Achimana...

— I Jolana — szepnęła raz jeszcze Olga.

I powtarzane przyjaciół imiona, niby ostatnie, ciche skrzypków tony, wlały się w pełne znaczenia milczenie,

by znów wypływać, ledwie dostrzegalne, niby ciche pływaki
w błękitnej toni nieodgadnionego morza przyszłości.

Raz w raz dźwięczały ciche przyjaciół imiona: — — —
i ja... i Munch i Darjusz... i ty i ja i Jolana... Jolana...
Jolana...

XVIII.

Nazajutrz po tragicznej rozmowie z Olgą, pospieszyłem do Jolany. Uczucie tryumfu, którem miałem się podzielić, wiodło mnie do dziewczyny, jako że od niedawnego czasu w niej czułem swego stróża-aniola.

Im bliżej jednak byłem domu Achimanowego, tem wyraźniej odczuwałem nikłość uczucia tryumfującego, a oczy Jolany, które już nieustannie na mnie patrzyły — czy dziewczyna była przy mnie, czy nie, — mówiły mi, że dopiero pierwsze stawilem kroki w celu spełnienia przejętego zadania.

Ogarnęło mnie na chwilę uczucie zwątpienia; podniósł się w mej duszy bunt i mimo woli zacząłem żądania stawiać Jolanie.

Przecież przełamalem się już względem Muncha, teraz względem Olgi, to wszystko nie wystarcza? Tak straszną dałem obietnicę Jolanie w zamian za jej obietnicę oddziaływania na Olgę?...

Już też zestawiać począłem zasługę własną z zasługą dziewczyny. I jęły mi się narzucać pytania: czy nie za wiele żąda odemnie Jolana w stosunku do tego, co sama daje? Jakież to stosunek między moją, a jej ofiarą? Tak oto pytałem, pełen uczucia buntu, i zaraz usłyszałem pytanie, które z niewiadomego dochodziło mnie kierunku: A jaki stosunek między twoją, a Jolany winą?

Pytanie to starczyło za odpowiedź. Zmalałem w sobie, Przyspieszyłem kroku jakby w obawie, by jakaś niewiadoma siła, albo pokusa nie odwiodła mnie od pójścia do Jolany.

Jakoż niebawem wszedłem do zacisznego domku Achimana. Jolana kołysała śpiącego „braciszka,“ a pod oknem stał bocian, wyglądając na świat boży, zali wcześniej nastanie wiosna.

Był to w warunkach zwykłych obrazek pocieszny, wykrojony raczej z piśmka humorystycznego. Wszelako ludzie nie czują symbolu, przeto wszelkiemu znaczeniu błędne przypisują wartości.

Mnie owiał w tej chwili duch Achimana, a Jolana była ducha tego orędowniczką.

Na wstępie o los starego żyda spytałem. Jolana z cichem przejściem acz z spokojem, odpowiedziała:

— Zasądziłi.

Ziemia zdała się chwiać pod moimi stopami. Czulem, że coś, co mnie podpierało, nagle uchodzi; uczyniłem też ruchu, jakobym chwycić się chciał poręczy, której przy mnie nie było. Siadłem na ławie i ciężkimi pytaniami zasypałem dziewczynę.

Dwa lata ciężkiego więzienia!...

Cztery te wyrazy uderzały w me skronie, jak cztery tarany, chcące rozłupać czaszkę.

Ani pytałem o przyczynę srogiego wyroku, ani mogłem litować się nad starcem i osieroconą Jolaną. Oni przecież rzecz pojowali zgoła inaczej, niż ich otoczenie i każde podobne zdarzenie, tak! nawet tę tragedję uważali tylko jako jeden stopień spełnionych zadań życia.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, zagadnąłem Jolanę nieśmiało:

— Czy takie ofiary potrzebne są w działaniu Achimana?
Odrzekła z największym spokojem:

— Jeśli odkupić mogą choćby jedną duszę, przywiódłszy ją na drogę prawdy...

— Czyją duszę? — zawołałem...

— Duszę człowieka, który zabił i schronił się w dom Achimana.

— Więc dla owego zbiega, dla owego zbrodniarza?!... Z całą świadomością?!... Boże wielki! a z kąd macie pewność, że wasza ofiara zbawi duszę zbrodniarza?

Jolana popatrzała na mnie smutnie i rzekła w zadumie:

— Żadna ofiara nie jest daremna. I największy zbrodniarz godzien jest serca. A gdy zbraknie mu serca człowieczego na świecie, czy łatwiej błęd swego życia zoczy, czy też wtedy, gdy wreszcie gdzieś serce znajdzie? Może uczynek dobry bardziej potrzebny jest przestępcy, aniżeli sprawiedliwemu?

— Więc sądzicie, — spytałem zdziwiony — że udzieleniem schronienia mordercy i ułatwieniem mu ucieczki sprowadzicie go na drogę prawą? A gdzież pewność, że uszedłszy przed ręką sprawiedliwości, dalej niecznych swych czynów wykonywać nie będzie? A może ten, któregoście ocalili, już zabił nową ofiarę?

— Wszystko nam czynić — odparła Jolana — co w mocy naszej, iżby zbłąkaną istotę prawdzie przywrócić. A sama możliwość ta już warta ofiary.

Jeśli zaś ręka sprawiedliwości żąda ciała człowieczego, ma je w postaci ciała Achimana. Duch jego w szponach sprawiedliwości nie skruszeje, ani zazna uszczerbku, a jeszcze się zbrodzień w kaźni ku prawdzie nie zwrócił; to też ów zabójca, który uszedł za przyczyną Achimana, więziony nie

obróciłby twarzy swej ku światłu, a na skutek czynu Achimanolowego — obróci może.

— Czy warta ofiara dla jakiegoś przypuszczalnego „może?” — spytałem.

— Żadna ofiara nie jest daremna.

Z takim rozumowaniem pogodzić się nie umiałem. Zbyt boleśnie odczułem tragedję Achimana; odczułem ją boleśniej, niż on sam i Jolana.

Skarciła mnie za to niezrozumienie dziewczyna i zauważyła wreszcie:

— Zechciejcie mierzyć ludzi, którymi pogardzacie, miarą własnego cierpienia, a ocenicie wartość ofiary, nawet w imię możliwości tylko.

Słowa te rzuciły we mnie pewne zrozumienie rzeczy. Jolana odnosiła je do ofiary, którą ponosiła dla mnie i dla Olgi. Śnać jednak i tu wierzyła tylko w możliwość skuteczności poniesionej ofiary.

Spojrzałem Jolanie badawczo w oczy i ona ze mnie oka nie spuszczała.

— Więc tylko możliwość? — westchnąłem — Więc wasza, Jolano, ofiara naszym duszom składana co dnia — to też tylko ofiara w imię niepewnej możliwości?!

— To jeszcze nie ofiara, a może ofiary przygotowanie. A ofiara z ducha ta jest, gdy jest całkowita, choćby nie całkowite było celu osiągnięcie. A ofiara z ducha ta jest, gdy jest wiara choćby tylko w spełnienia możliwość.

— Jolano! — wyszeptałem z uniesieniem — Jolano! więc nie masz wiary w nas?

— Wierzę w mą ofiarę, która będzie.

— W ofiarę, która będzie?

— Tymonie! pierwsza usłyszała umiłowana przez cię niewiasta słowa te: „gdy ujrzysz dziewczeczkę czarnooką, której czoło białość hostji ci przypomni...” I słowa te echem w duszy twojej się ozwały, a oczy ujrzały mnie, a serce mnie odczuło... Ale nie usłyszała umiłowana przez cię kobieta słów dalszych, któreby onego rzeczenia były dopełnieniem, ani ty je usłyszałeś i nie pytasz o nie, a one właśnie mają rozwiązać waszej miłości tajemnicę.

W czas tych słów Jolany począłem się trząść na całym ciele. Nie zdołałem ich zrozumieć, ale pojąłem ich wagę i znaczenie.

Przystąpiłem do dziewczyny i ująłem błagalnie za dłoń, a ona przymknęła oczy i mówiła ledwie dosłyszalnym głosem:

— Gdy ujrzysz dziewczeczkę czarnooką, której czoło białość hostji ci przypomni, zapragniesz purpurą hostję zrumienić, by miłość przemienić i włonić w swe życie życia dwa.

Umilkła.

Nie miałem odwagi pytać dalej, albowiem wielka cisza ujęła nas jakoby w uroczyste swe ramiona i słuchać kazała dźwięczących tajemnem echem słów Jolany:

„...purpurą hostję zrumienić, by miłość przemienić i włonić w swe życie życia dwa.”

Słowa te stopniowo układały się w dziwną melodję i wyraźnie słyszałem pieśń niesamowitą, której wtórował przytłumiony mój szept, wołający rozjaśnienia skrytej w słowach tajemnicy. I jeno miarowy wtór wykreślał rytmu uchwytność, a wtórem tym były słowa dobywające się ledwie dosłyszalnym tchnieniem z smutnych ust Jolany:

— Nie czas jeszcze. Nie czas jeszcze...

Już też nie odróżniałem znaczenia dźwięków słów słyszanych niesamowitej pieśni od wtórujących słów Jolany i własnych zapytań. Wszystkie one łączyły się w dziwną całość, która w swych upornych sprzeciwach jedność stwarzała tak nieugiętą, że zniewalała do poddania się, bez szmeru i bez wołania o rozwiązanie, wszystkiej zawilóści.

Mgłą zachodziły mi chcące patrzeć źrenice. Tajemne smugi błękitnego dymu, w których się snuły żyły o żółtym odcieniu, otaczały nas, w jedno spowijając tchnienie; a oddech ten czadził odradzającą się zwolna duszę moją.

Jakieś nieokreślone uczucie wciągnęło mnie na chwilę w odmęt trującego czadu.

Od dawnego czasu uspiony już we mnie i zapomniany skowyt psa jął zawodzić głucho, trwożnie, złowróźnie. Ukazało mi się na mgnienie oka widmo skulonego, zbląkanego psa, co to po zaułkach miasta niewiadomego szuka ukojenia.

Widmo znikło; umilkł skowyt żaloszny, jeno ostał w krtani przykry posmak czadu.

Ogarnęło mnie niewysłowione uczucie lęku. Tak bliska mi dusza, która się stała już promieniem mego życia i jaśniała mi w dzień i w noc hostji białością niepokalaną, zaczęła oddalać się odemnie i znikać gdzieś w nieodgadnionej przestrzeni, która dla mnie nie była przystępną.

Przetarłem oczy; chciałem jawę przywołać, iżby nie zgubić się w mrokach mamideł i snów. Chciałem protestować przeciw uchodzeniu odemnie tej białej duszy w chwili, kiedy jeszcze sam ostać się nie umiałem.

Lękałem się, iż przeczuwane oddalenie Jolany przemieni mi dzień promienny w czarną noc zmylenia.

Chciałem jawy! Potrzebowałem jawy niezaprzeczonej.

Tymczasem zdało mi się, że zarodek mroku i cienia już zamieszkał w mej duszy.

Nie wiem co działo się potem ze mną; pomnę jeno, iż dotknąłem się dłoni Jolany; była zimna, skostniała niemal.

Szukałem jej ciepła, jej życiodajnego, słonecznego ciepła. Spragnionemi wargami jałem szukać ciepła ust Jolany, lecz chłód szedł z nich i tchnienie mroźne. — I już nie wiem co było potem, i już nie pomnę, czy rzeczywistość to była, czy kłam omamy: Jolana złożyła w usta moje pocałunek trupa.

XIX.

Od dłuższego już czasu zapanowała niczem niczmaczona harmonja w willi Olgi.

Doznawałem wrażenia, że działanie Jolany wreszcie decydujący swój wpływ na Olę wywiera. Z kimkolwiek bowiem rozmawiała, do tego zwracała się z taką miękkością uczuć, a jednak z taką swobodą, że czasami miałem wrażenie, iż to zgoła inna kobieta.

Stosunek do Jolany zdawał się zacieśniać bardzo widocznie; a gdy dnia którego dziewczyna z jakiegobądź powodu zjawić się nie mogła, popadała Olga w osobliwie tłumione rozdrażnienie, jednakże zachowując zawsze swą słodycz i łagodność, których to znamion dawniej nie spostrzeżałem w tym stopniu, jak obecnie.

W stosunku do mnie Olga spoważniała. Wydawało mi się, że miłość jej zaznała pogłębienia i zarazem wzniesienia ponad namiętności i upojenia chwili. Doszedłem wreszcie do wniosku, iż myliłem się, sądząc, że znam duszę Olgi na wylot. Z niewy tłumaczonych przyczyn Olga stała się nagle zgoła inną; nawet powiedzieć mogę bez obawy: nabrała jakiegoś wewnętrznego majestatu, który też powstrzymywał mnie od zbyt pospiesznego oddziaływania na rzecz spełnienia obietnicy danej pośrednio Munchowi. Stan ten zmieniony Olgi radował mnie do tyła, że nie uważałem za wskazane

szukać jego źródła i wolalem bez głębszego rzeczy badania przyjąć za pewnik to, że Jolana wespół ze mną tak zbawczy wywarła wpływ na Olgę; i z tego wychodząc założenia, baczylem jeno, iżby do willi nie zakradła się jakakolwiek przyczyzna zmaćenia tej niebodajnej harmonji, która zwolna, ale trwale nam się układała.

I spostrzegalem więcej jeszcze: uległość Olgi, której częsty upór dawniejszy topniał zawsze w rozpalonej żądzy kochania, teraz nie z woli utrzymania słonecznego uśmiechu dla korzystania z chwil młodości i jej zaspokojenia była zrodzona, ale z tego cichego skupienia, które słało ukojną ciszę z duszy do duszy; z serca do serca.

Już też całunki Olgi były inne; krwiożerczość łasicza, chęć pojenia się wszystką krwią kochanka i przyjmowania z łakomą zazdrością wszystkich uderzeń serca przeobrażała się stopniowo w owe aksamitne dotknięcie duszy, które wszystko dać pragnie, niczego nie pożądując.

Zmiany te nie uszły uwagi Jolany; a jednak wielkie jej oczy zawsze patrzyły w Olgę tak samo, zawsze smutne, zawsze wyczekujące tego, co tylko ich spojrzeniu było wiadome.

O obowiązku mym względem Muncha Jolana nigdy mi już nie przypomniwała. Może wiedziała dobrze, że ani na chwilę o nim nie zapominam. A jednak dziwiło mnie, że przedziwnej białości dziewczyna ta bez cienia urazy patrzyła na czułe zbliżenia się nasze i że nigdy nie zdradzała nawet zdziwienia, iż ja, dążąc do wyrównania krzywdy Muncha, nie unikam cielesnych z Olgą zbliżeń. Może uważała je już za podrzędne, nie mogące mnie oderwać od raz powziętego postanowienia? może w nich właśnie widziała owe stopniowanie, które miało nas wreszcie doprowadzić do

celu? może wreszcie odczuła różnicę całunku dawnego z całunkiem dzisiejszym?

Te oto pytania przemykały się raz wraz przez moją świadomość, jednakże nie zdołały się utrwalić, gdyż wyzbyłem się już stosowania pozorów do wrażeń, jakie mogłem wywołać na tych nawet, na których zdaniu i sądzie najbardziej mi zależało. Zresztą myśl o nieszczęśliwym Munchu tkwiła w mej duszy kolcem; narzucała mi się uparcie.

Miałem wrażenie, że Munch nieznacznie, a jednak usilnie szuka zetknięcia się ze mną. Wierzyłem, iż skołatana jego dusza, która odzyskała wreszcie jakiś promyk nadziei, ale nie uzyskała żadnej ścisłej obietnicy, musi przymierać z zniecierpliwienia i śmiertelnego oczekiwania. Ja zaś potrzebowałem czasu; odruchowo więc unikałem spotkania z Munchem.

Tak! potrzebowałem czasu; a choć pierwszy lepszy przechodzień w mojem życiu, któryby w tej chwili był rzucił na mnie badawcze oko, z pewnością mniemałby, iż odwlekam umyślnie, jako że to namiętnościom moim dogadza, to jednak to miałem przeświadczenie, iż gorycz przepelniająca mą duszę mocniejsza była, niż wszystkie chęci cielesnych rozkoszy. Stopniowo też spostrzegalem, że minął — zda się — bezpowrotnie miłosny szal, pchający mnie w gorące objęcia kochanki, że kochałem ją już inaczej, mniej interesownie i już raczej na rzecz nieszczęśliwego Muncha.

Razu pewnego zaśmiałem się szczerze do własnych myśli. Bo oto ujrzałem siebie w karykaturze, jako sprośnego mnicha, który po zgwałceniu dziewczyny udziela jej rozgrzeszenia. Swawola ta rozjaśniła na chwilę ponurość mego usposobienia, które przytłaczało mnie od tak dawna.

Wogóle przyszedł wreszcie czas taki, że usposobienie moje doznało zasadniczego przeobrażenia, lżej jałem oddychać i znów osiadł na mych wargach cień wesołości; z uśmiechem zacząłem patrzeć na życie.

Stan ten mój począł udzielać się także Oldze. Odczuwałem to wyraźnie; jedynie niekiedy przychodziły na mnie chwile, w których pod powierzchnią idylli codziennej spostrzegalem jakieś przymarszczenie losu i zdało mi się, jakoby raz wraz był posłyszał niesamowity pomruk nieuchwytniej zapowiedzi.

Równocześnie przez słodki uśmiech Olgi, który był osiadł już na stałe na jej licu, przemykał się czasem nieznacznie cień, którego pokrywało znów lekkie przymuszenie nieokreślonej pogody.

Te drobne, ledwie spostrzegane chmurki nie zdołały przecież zaciężyć ołowiem na słonecznym lazurze nieba i tylko troska o los Achimana nie zezwala rozbłysnąć we mnie słońcu, któreby zwiastowało przyjście oczekiwanej wiosny.

Mijały długie tygodnie, a stan rzeczy zgoła się nie zmienił i już też zacząłem godzić się z losem tym, iż na długo straciliśmy Achimana. Dostęp do niego był na razie niemożliwy. Wszelkie próby odwiedzenia więźnia spełzły na niczem, ponieważ poszukiwania za zbiegłym zbrodniarzem były w toku i wymagały jeszcze zupełnego odcięcia od świata nieszczęśliwego starca.

Jedynie Darjusz, jako Achimana były obrońca, który wprawdzie do obrony nie został dopuszczony przez samego skazańca, ale jednak czuwał nad formalistyką sądową — on jeden, szczęśliwiec, miał niekiedy dostęp do celi Achimanej. On jeden i niektórzy więźniowie w czas przechadzek po dziedzińcu więziennym. Szczęśliwi!

Opowiadał mi Darjusz o działalności misyjnej Achimana w więzieniu. Starzec nie domagał się od dozorców niczego dla siebie, natomiast upominał ich, aby umieli ocenić nieszczęsny los skazańców i dni karni uczynić im lżejszemi.

„Bóg uczynił was stróżami — mawiał im Achiman — stróżami ludzi nieszczęśliwych. Odebrano im ciepło domu, wyrwano z rodziny i umieszczono w murach obcych, zimnych i pełnych stęchlizny życia. Jeśli źle czynili i cierpią, to nie wy powołani jesteście, iżbyście byli któremu z nich udęką. Bądźcie stróżami ich dusz, a jeśli na to was nie stać, stróżami ich zdrowia. Niechaj was błogosławią kiedyś ich dzieci, a klątwy ich na się nie ściągajcie.

Nie bądźcie im katami — jakimikolwiekby byli — ale bądźcie im stróżami. Serca trzeba ich znękanym duszom. A nie wie żaden, który jest lepszy, jedno wie Bóg, czy lepszy jest, który osądził, czy lepszy, który osądzony.“

Tak oto i podobnie mawiał Achiman do więziennych dozorców i zwolna kruszył twarde oprawców serca; a nie mawiał nic dla się, jeno dla drugich.

Już też szukały go tęskne spojrzenia więźniów na podwórzu i bywało, że gdy nieuwaga dozorczy na jakowe zbliżenie zezwalała, tedy niepostrzeżenie podchodził ten i ów zbrodzień i wypraszał dla się dobre Achimana słowo, albo choć spojrzenie. A nie skąpił nikomu żyd dobrotliwy, a hojniejszy był dla najbardziej upadłych i udreńczonych.

Gdy Darjusz opowiadanie swe skończył, zawołałem z przejęciem.:

— Więc starzec ten nawet w więziennych murach dobro czynić umie!

— Nawet w murach więziennych — powtórzył Darjusz — dla niego niemasz zapory. A co najdziwniejsze, mam

wrażenie, iż Achiman teraz dopiero czuje pełnię swej myśli. Raz mi powiedział, gdy z nim rozmawiałem przez kratę, że żałuje zmarnowanych dni, w których nie mógł służyć tym najbardziej pocieszenia i pomocy potrzebującym.

Na skutek tych i podobnych o Achimanie wieści, myśl moja nieustannie krążyła dookoła krat więziennych. Czulem przecież myśli tej bezpłodność i poprzestawanie tylko na jałowych rozrzewnieniach.

Aż wreszcie nowe wiadomości wstrząsnęły mną do tyła, że wyrwały z dotychczasowej bierności.

Przyszedł do mnie Darjusz i zamknąwszy starannie drzwi, jął mówić dość spiesznie, śnać wytrącony z zwykłego swego spokoju:

— Mam garść wiadomości o onym zbiegłym zabójcy, którego ofiarą padł Achiman.

Aż poskoczyłem ku Darjuszowi. Już też mniemałem, iż cała sprawa wyjaśni się, a że myśl w takich razach pracuje szybciej, niż bieg rzeczywistości codziennej, więc już widziałem starca opuszczającego mury kaźni, uwieńczonego aureolą męczeństwa i tłumy ludzi sypiących kwiaty wdzięczności pod jego stopy.

Jąłem Darjusza przynaglać, a on mówił w te słowa:

— Oto zgłosił się na policji pewien człowiek nazwiskiem Kasper Jaszczuk i wyznał, że on jest mordercą, który ścigany schronił się w dom Achimana. Dowiedziawszy się o skazaniu swego wybawcy, postanowił przyznać się do winy, by w ten sposób Achiman odzyskał wolność. Szkoda, że prawo nie jest takie, jakiem sobie ów zbrodniarz wyobraża. Obaj będą pokutowali, o ile zabójca dalej natarczywie kary dla siebie żądać będzie.

— Uwięzili go? — zapytałem gorączkowo.

— Gdzież tam! Mamy tu do czynienia znów z nieuchwytną Dyrxa działalnością, której celu trudno się domyślić.

Zbrodniarz swoje, on swoje.

„Zabiłem!“ — a on: — „cicho!“

„Achiman nie winien“ — a on: „milcz!“ — „Aresztujcie mnie!“ a on: „za drzwi!“

Trzy razy nachodził ów Kasper Dyrxa, aż ten wreszcie kazał go odprowadzić gdzieś na przedmieście i niewiadomo co z nim uczynił.

Podobno oddał go w ręce gromadzie żydów, którzy go więżą w ciemnicy. Co to za żydzi, i w jakim celu Dyrx tak postąpił — niewiadomo.

Domyślam się jedynie, iż tu zachodzi jakowyś interes Dyrxa, który na tem polega, by Achiman nie mógł odzyskać wolności.

Osobiście uważam to za zabiegi zbyteczne; wyrok prawomocny i ani my Achimana z więzienia nie dobędziemy, ani Dyrx go zatrzyma dłużej niż trzeba.

Sądzę, że Dyrx o tyle się orjentuje; wobec tego, nie pozostaje nic innego, jak tylko ta możliwość, iż Dyrx użył przeciw Achimanowi sposobów, których nikczemność mógłby może Kasper Jaszczuk wyciągnąć na światło dzienne. Zdaje mi się, że Kaspra bardzo się obawia pan sekretarz tajnej policji.

Tyle oto uzyskałem wiadomości od Darjusza. Jakaś nadzieja błąkała się w mojej duszy i postanowiłem odszukać Kaspra Jaszczuka i powoli dojść wątką prawdy. Już też czułem się w prawie cichego pracowania na rzecz Achimana, jako że spełniłem już nicugięcie jego zlecenia życiowe i — jak mniemałem — byłem bliski ich urzeczywistnienia.

Jeszcze trzymałem w tajemnicy przed Jolaną moje plany, bo lękałem się, iż zarówno ona, jak Darjusz a nadewszystko sam Achiman znowu na rzecz całą spojrzą po swojemu i skarżą mą gorliwość. Niechaj dowiedzą się o wszystkim dopiero, gdy rzecz się uda.

Żeby móc zorientować się w sytuacji, a przede wszystkim wypośrodkować miejsce pobytu ukrywanego zbrodniarza, należało mi stwierdzić pobudki działania Dyrxa.

Nie było to łatwe, bo z góry uprzytomniłem sobie, iż sekretarz tajnej policji nie wtajemniczył nikogo w swe zamiary. Opierać się mogłem tylko na domysłach, których słuszność wprawdzie nie ulegała żadnej wątpliwości.

Dłuższe badania pozostały bez żadnego skutku. Wreszcie pewne zapytania Jolany, stawiane mi bez żadnego związku z rozmową w willi Olgi, przysły mi w pomoc.

— Czy znacie, Tymonie, — pytała — człowieka ułomnego? Mam wrażenie, choć nie wiem dlaczego, że znajomość z człowiekiem garbatym, jest wam pożądana. Czy macie sprawę, któraby była zależna od takiego człowieka?

Zrazu nie pojmowałem, o co chodzi Jolanie. Odparłem też przecząco, a ona zauważyła, że gdy się zetknę z człowiekiem garbatym, winienem baczną nań zwrócić uwagę, ponieważ będzie mi potrzebny.

Więcej wyjaśnień Jolana dać mi nie umiała i tym razem czułem, że rzeczywiście niczego więcej nie wie; jednak powieżeń tych dziewczyny nie lekceważyłem, bo dobrze znałem jej jasnowidzące określenia. Przewidywania moje sprawdziły się niebawem. Przypomniał mi się garbaty urzędnik w biurze policyjnym, który to owego czasu kładł pieczęć na dokumencie, zezwalającym mi na odwiedziny

Darjusza w więzieniu i który wprowadził mnie pierwszy raz do biura Dyrxa.

— Tak! — pomyślałem sobie — ten garbus, to niewątpliwie ów człowiek ulomny, o którym mi wspomniała Jolana.

Postanowiłem go odnaleźć!

Po zasięgnięciu dokładnych informacji pospieszyłem na policję rano o tej porze, w której Dyrxa zwykle jeszcze niema w biurze.

Garbatego urzędnika, który przedstawił mi się z nazwiska Nieszawym, uprosiłem, aby zechciał spotkać się ze mną przed wieczorem w pewnej podrzędnej restauracji na przedmieściu.

Nieszawy zrazu nie szczędził mi akcentów podejrzliwości; zaciekawiony był jednak sprawą do tyła, że przyjąć przyobiecał i stawił się rzeczywiście.

Przy kieliszku wódki rozpocząłem indagację. Nieszawy posłyszał był już wprzód co nieco o mojem z Dyrxem zajściu u Muncha; zdradził się też dość wcześnie, iż z swym pryncypałem ma jakieś osobiste porachunki. Wszystko to złożyło się na wzrastającą z każdą chwilą otwartość Nieszawego, a szósty kieliszek dopełnił reszty.

— Szanowny panie! — mówił do mnie garbus głosem kogucim — niejedno mógłbym opowiedzieć, ale... zawsze ja urzędnik, to i urzędowa kłódka ciąży na ustach. Ale przyjdzie czas, że kłódkę wreszcie otworzy klucz urzędowy, wtedy będę mógł mówić; wtedy też porachunki własne załatwić.

— Ale przecież sprawa owego domniemanego zbrodniarza — podchwyciłem skwapliwie — nie stała się wogóle sprawą urzędową. Zbrodniarz przecież sam zgłaszał się na policję i został odprawiony z niczem. Sprawa więc ta nie

została wogóle wciągnięta do urzędowych akt, czyli jest sprawą prywatną; tu więc nie jesteś pan niczem krępowany i zresztą obiecuję panu zupełną dyskrecję.

Te argumenty, a zwłaszcza dobre kieliszki zupełnie już przekonały garbusa; to też po chwili, odchrząknawszy po hauście wódki, przechylił się do mnie tajemniczo i jął mówić półszepsem:

— Dobrze, że szanowny pan do mnie zwrócił się z całym zaufaniem. Wiem, że wobec pana mogę mówić szczerze, że pan mnie nie narazi na nieprzyjemności. Wiem niejedno, i więcej wiem, niż panu potrzeba.

Otóż powiem tyle, że podsłuchałem całą rozmowę Dyrxa z owym Kasprem Jaszczukiem, który przyszedł na policję i wyznał, że zabił człowieka i schronił się w domu starego żyda. Żądał zwolnienia żyda, a sam oddawał się w ręce sprawiedliwości.

Długo coś przekładał mu Dyrx, czego już nie dosłyszałem, bo ściszył głos. Zbrodniarz nazajutrz zgłosił się ponownie; wtedy kazał mu przyjść Dyrx późnym wieczorem do Hotelu Hirscha.

Jest to mały hotelik w żydowskiej dzielnicy, niedaleko stąd. Ciekaw byłem, co się tam stanie; poszedłem cichaczem i — podpatrzyłem. Dyrx powiedział zbrodniarzowi, że go arestuje i oddał go w ręce trzech podejrzanych żydów, z których jednego znam: Berek Pfeif. On wie, gdzie Kasper Jaszczuk przebywa teraz... Oni go więżą, a Dyrx ma w tem jakiś cel, którego jeszcze zbadać nie mogę.

— Czy możesz mi pan wskazać mieszkanie Pfeifa? — zapytałem.

— Mogę — odparł — ale wolę nie pokazywać się na ulicy z panem.

Pfeif mieszka w podwórzu synagogi, ale Jaszczuka wyprowadzili dalej, niech Pfeif wskaże.

— A jakże mam Pfeifa spowodować do wskazania miejsca przechowania Jaszczuka? — zapytałem — skoro to jakaś tajemnicza zмова?

Nieszawy skulił się w sobie i począł myśleć. Wreszcie uśmiechnął się chytrze.

— Jest sposób. Pfeifa używa czasem Dyrx do tajnych posług śledczych.

Hasło: Jas-Pis — to można wykorzystać.

Znowu zamyslił się garbus, aż rzekł, wielce z siebie zadowolony.

— Wiem! Prześlę panu w zapieczętowanej kopercie karteczkę z napisem: Jas — Pis.

Tu uderzył się dłonią po czole.

— Ba! kiedy numeru nie znam!

Numer musi być ten, który następuje po ostatniej takiej kartce...

Et! mniejsza o to! Zanim się połapią, to Jaszczuka pan odnajdziesz.

Prześlę dziś panu taką kartkę stemplowaną. To wystarczy.

Wreszcie garbusowi zaczął plątać się język. Dwa wypił jeszcze kieliszki. Rozstaliśmy się. Jakkolwiek niesmak czułem po tej rozmowie i jakoś cały podstępny zamiar nie bardzo do mnie przylegał, to jednak uszczęśliwiony byłem, że udało mi się znaleźć sposób na odnalezienie więzionego gdzieś zbrodniarza.

W drodze powrotnej układałem sobie cały plan działania; wreszcie doszedłem do wniosku, że tajna policja nie miałaby ze mnie wielkiej pociechy. Umiałem bowiem ukła-

dać w sobie wszystkie wątpliwości, aż spostrzegłem, że konstrukcja planu jest negatywna, czyli, mniej więcej wiem, czego mi czynić nie należy.

Jak zwykle więc, tak i tym razem postanowiłem nie układać planu działania, ale zdać się na los wypadku.

Przeciążony myślami (pierwszy raz w życiu bowiem poczułem się w roli dedektywa) — wszedłem do willi.

Unikałem starannie wzroku Olgi — sam nie wiem dla czego. Oczy jej pytały wciąż i czekały jakiejś odpowiedzi, ja zaś czułem się tropionym zwierzem — sam nie wiem dla czego.

Sądzę też, że Olga zauważyła mój stan osobliwy i nie wiem, czy wskutek swych obserwacji, czy też rzeczywiście z racji życzenia Jolany, oznajmiła mi, że dziewczyna dzisiaj przyjść nie może, ale prosi, bym ją odwiedził. Mimowoli odczułem w tem podstęp Olgi, wszelako odpędziłem od siebie myśli podejrzliwe.

Niech Olga mnie podejrzywa, jeśli chce; nie będę odplacał się jej tem samem. Oświadczyłem Oldze, że dzisiaj pójść do Jolany nie mogę, mam bowiem zajęcie. Prosiłem ją by zechciała może sama dojechać do Achimanowego domu.

Zauważyłem, że moja odmowa ucieszyła Olę. Jednakże i ona odmówiła, wymawiając się czemś błażem. Podejrzliwość moja — pomyślałem — miała więc pewne uzasadnienie.

Ciekawe to: podejrzliwość, a podejrzliwość! Dość, że na skutek obustronnej odmowy oboje byliśmy z siebie zadowoleni.

Gdy zostałem sam, myślałem wciąż o sposobie zręcznego dotarcia do Jaszczuka. Potem stanął mi przed oczami sam Achiman; wdało mi się, że ściągnięte jego brwi wyrażają

niezadowolone z obmyślonej przezemnie wyprawy do dziel-
nicy żydowskiej i niechęć do całych mych zabiegów.

Jednakże postanowiłem raz uczynić według własnej woli.

Jakoż przed wieczorem, zajrzawszy do skrzynki listowej,
znalazłem tam list niezaadresowany.

Otworzyłem; kartka ze stemplem policji; napis: „Jas-
Pis,“ a pod nim małemi literkami: „bądźcie do dyspozycji
oddawcy.“

To chyba wystarczało.

Pierwsze zaświeciły latarnie, gdy wsiadałem do dorożki.
Kazałem podwieźć się w okolicę synagogi, jednakże odpra-
wiłem dorożkę, zanim dostałem się w obręb żydowskiej
dzielnicy. Niebawem owiał mnie ów znany odór, którym
przepelnione są niechlujne uliczki ghetta. Jakaś wewnętrzna
odraza opanowała mnie i choć starałem się wmówić w siebie,
że to też przecież ludzie, do których winniśmy zwracać się
raczej z uczuciem litości, jako do ludzi w świecie upośledzo-
nych, to jednak wyraźnie uczułem ten dziwny rozdźwięk
między obu naszemi rasami.

Jakaś sprzeczność wyraźna postawiła się między se-
mitami, a rasą, do której należy mój naród. Sprzeczność ta,
snać konieczna jest dla działań wieków, z których my nie-
dostatecznie zdajemy sobie sprawę. A nad nią unosi się
wielki przykaz Nazarejczyka i zdaje się z sprzecznością ową
staczać bój, bój niemal już dwa tysiące lat trwający. I wy-
dało mi się w tej chwili, że chrześcijaństwo po to jedynie zo-
stało stworzone, iżby przykazowi Syna cieśli sprzeczność
obu ras wreszcie uległa.

I oto pytam jako to dzieje się w społeczności mojej,
która przecież wyznaje Nazarejczyka, która Imieniem Jego
posługuje się zawsze, gdy Imię to jest potrzebne?

Tak! gdy Imię to jest potrzebne! A gdy przykaz Imienia tego staje w poprzek chceń i potrzeb mojej społeczności?

Ha! wtedy umilknie w rzeszy Imię Syna cieśli.

Tak jest! rozumiałbym dążenia mojej społeczności gdyby mówiła „tak“ lub „nie“; gdyby zwróciła się na prawo lub na lewo; ale tu mówi się i „tak“ i „nie“; albo ani „tak“ ani „nie“; tu zwracają się to w lewo, to w prawo; co dnia inaczej i zawsze ludzie ciż sami.

Zależnie od potrzeby dnia; a potrzeba dnia jest zawsze wedle namiętności i ziemskiej mądrości.

Oto jest sprzeczność, uczyniona po stronie mojej społeczności. A żydzi? Bóg niech ich sądzi. Że wprowadzają oni w społeczności inne, do których czepiają się, niby jemiola topoli, wartości destrukttywne, w to chyba nikt nie wątpi. Wiem przecież, że żydzi zdolni są do wprowadzenia w obce im społeczności, także takich wartości, których społeczności te same z siebie nie stwarzają.

Nie szukajmy daleko: Achiman.

Tak! Achiman! Ale też Achimana wyparli się żydzi. Zdawałoby się więc, iż jednostki żydowskie wprowadzają niekiedy do społeczeństwa wielkie wartości wtedy, gdy przez swych współplemieńców postawieni są poza nawias. Czy zatem i tu działa owa wieczna sprzeczność między obu rasami?

Ależ w takim razie winienby żyd taki, jak Achiman, przyjęty być przez społeczność moją z rozwartemi ramionami. On wszelako przeklęty jest zarówno przez żydów, jak i przez społeczność tę, której wniósł wielkie wartości, jakich sama z siebie wydać nie umiała.

A może sprzeczność między obu rasami ujawniona jest w takiej jaskrawości tylko dlatego, że jedna społeczność

wrzyna się klinem w drugą, może nazbyt bezpośrednio zetknięcie? Kto wie, czy żydzi, tworząc skupioną w sobie gromadę, własną ziemię zamieszkującą i pozostający w działaniu wytwarzanej przez siebie kultury, nie byłiby zgodnym współczynnikiem w rozwoju kultury świata? Możeby wtedy stykanie się tak obcych sobie ras dokonywało się subtelniej; możeby żadna z stron nie narzucała tak krzykliwie swojej racji?

Jakkolwiek próbuję rzecz osądzić bez animozji i uprzedzeń, to jednak zdaje mi się, że niebyłoby tej ostrości w wspólnym życiu ras obu, gdyby żydzi chcieli i umieli czerpać tylko z siebie i tworzyć kategorjami nie aryjskiej, lecz semickiej duszy.

Oni jednak tak przywykli do cudzego łona, że zda się, iż z siebie rodzić się już nie umieją. A — sędzę — człowiek musi się z siebie rodzić, iżby tworzył.

Tak! żydzi też nie są twórczy.

— — — Mnóstwo podobnych myśli cisnęło mi się do głowy. Nie zdołałem odpowiedzieć sobie na jedno pytanie, a już nowe samo mi się nasuwało.

Pierwszy raz pono zacząłem rozważać o tem zagadnieniu, może dlatego, że nigdy nie umiałem myśleć o problemach społecznych. Wiem tylko, że zawsze raziło mnie owo napastliwe i niepohamowane szczucie przeciw żydom w naszej prasie i wogóle w życiu publicznem; jednakże nad tem nigdy głębiej nie zastanawiałem się; a i teraz chwila niesposobna ku temu, bo oto zabudowania synagogi.

Zbliżyłem się; w tej chwili owładnęło mnie jakieś nieznane uczucie skupienia, którego sobie wytłómaczyć nie umiałem. Boczną bramą wszedłem na dziedziniec bóżnicy i ujrzałem opodal skupioną gromadkę żydów, którzy coś

uradzali, żywo gestykułując; głosy ich przyciszone bezładnie mieszały się z sobą, aż... cicho!... sza!... głosy umilkły; gromada poruszyła się i rozluźniła w swej zwartości.

Nikt nie rzekł ni słowa, a jednak doleciał mnie szelest niesamowity: goy! goy!...

Z wnętrza synagogi dobywał się pomruk nabożnej pieśni. Podszedłem do gromadki żydów; spotkałem się z stu pytaniami w oczach, pełnych błysków nieufności.

O Berka Pfeifa zagadnąłem; ale miast odpowiedzi, do czekałem się szeregu zapytań, mniej lub bardziej złączonych z mojem zapytaniem. Wreszcie dowiedziałem się, że Berek należy do służby kościelnej i zajęty jest w tej chwili. Czy można wejść do bóżnicy? — Owszem, wprowadzono mnie.

Tym razem nie nęciła mnie obserwacja samego ceremonjału lub poszczególnych typów modlących się żydów. Szukałem raczej wrażenia, — do którego nastroiły mnie uprzednie, choć pobieżne i chaotyczne rozmyślenia.

Wcisnąłem się w kąć najciemniejszy świątyni i jałem wsłuchiwać się w przedziwne harmonje męskiego chóru. Nim utonąłem w przejmującej tej pieśni, czyniłem w sobie refleksje porównawcze. Przecież bóżnica ta nie należy do przedniejszych, a jednak posiada chóry, których nie powstydzilyby się nasze najpierwsze katedry. Tak jest! śpiew w naszych przeciętnych kościołach przeważnie niezdolen jest wzbic rozmodlonej duszy w bliskość bożego wzniesienia; nie posiadamy kultury modlitwy; nasze nabożeństwa pozostają na ziemi, ugrząznawszy w formie ceremonjału.

Nie mogę porównać w tej chwili całego ceremonjału naszego z żydowskim: ale niemniej narzuca się wielka różnica pierwszego wrażenia pod wpływem słyszanego chóru.

Oto jest zbiorowa rozmowa żydostwa z Jehową, oto jest westchnienie niewolników, słane przepotężnemu panu... lęk w obliczu majestatu niezbadanej mocy.

Pieśń żydów pozbawiona jest onego ciepła miłości synów do ojca, która ma uświęcać nasze modlitwy — ale czy uświęca?

Pierwotność jakaś stosunku człowieka do Boga przewodnią jest nutą pieśni żydów; ale w pierwotności tej jest nuta szczerza...

A pieśni nasze? Gdzieś zapodziano wszystką ich wartość modlitewną, która przecież jest, ale sama sobie, nieudzielająca się rozmodlonemu ogłowi, jako że formy zewnętrzność na duszach ciężką położyła rękę.

I zdało mi się w tej chwili, że w wspólnym złączeniu pieśni my wszyscy zgromadzeni w bóżnicy ludzie, synowie Jehowy winniśmy podać sobie znękane i strudzone dłonie i tak iść, iść wzwyż, przepojeni bożą miłością — czy żyd, czy chrześcijanin, czy może poganin który...

Ale to co jest tak proste, oczywiste w chwili podniesienia ducha, to staje się niemożliwe i zawiłe w dzień powszedni — już z chwilą opuszczenia domu bożego.

Spojrzałem po tłumie...

O jakże innym wydał mi się żyd w bóżnicy i żyd na ulicy!

A u nas? Być może, iż jest u nas podobnie. Jenó zdaje mi się, że o ile żyd nie zdolen jest wynieść swej duszy, rozmodleniem uszlachetnionej, z synagogi na ulicę, o tyle my umiemy wnosić ulicę do naszych kościołów.

Co gorsze?

Nie stało już czasu na dalsze rozumowania, bo oto potęga pieśni nagle uderzyła we mnie z taką siłą, że zgmiotła

na chwilę wszystką moją wewnętrzną władzę i porwała za-
słuchaną duszę w przeogromny wir, który w tej chwili stał
się pośrednikiem Nieba z Ziemią.

Kto taką pieśń usłyszał raz, kto słuchał jej duchem,
ten nie zrozumie nigdy, czemu modlitwa ludzi nie może
być wspólna, czemu ludzkość stworzyła sobie mnogich bo-
gów, i wykrzykuje, niby na licytacji, polecając, a zachwa-
lając swego boga zależnie od zewnętrznego obrządku. Tak
więc ludzie czczą boga Formy, a zapodzili gdzieś Boga-
Ducha.

A przecież, ja, z przekonania chrześcijanin, z formy
katolik: przecież umiem modlić się Bogu także w bóżnicy.
Umiem się modlić niekiedy, a modlitwa moja nie jest za-
leżna od miejsca; a taki chór, jak dzisiejszy, nie może nie
usposobić duszy do modlitwy, chyba, gdy człowiek zgoła
już modlić się nie umie.

Przycichały zwolna myśli moje, wraz z cichnącą pieśnią.

Jakieś ukojenie osobliwe ogarniało w tej chwili mą
duszę i czułem, że wszyscy obecni doznają tegoż uczucia.

I chciałem zgromadzonym w bóżnicy żydom zawołać:

— Bracia! podajcie ręce! miłujmy się!

Tak wołać chciałem, mimo różnicy ras, mimo odrębności
myśli, ideałów, dążeń, mimo...

„Oni nie winni bardziej aniżeli my, jako że wszyscy
co dnia krzyżujemy w sobie Zbawiciela“... — Tak mówił
mi raz Achiman, a prawdę tę odczułem dzisiaj dopiero.

— — — — —
Nabożeństwo miało się ku końcowi. Ciężkiem westchnie-
niem zamknąłem w sobie wszystkie myśli i uczucia prze-
żyte przed chwilą; wyszedłem z synagogi, izby przed wro-
tami oczekiwać Pfeifa. Istotnie też na dziedzińcu zastałem

część z onej gromadki żydów; jeden z nich kazał mi poczekać i obiecał Pfeifa przywołać.

Po chwili przystąpił do mnie żyd inny, popatrzył na mnie zachęcająco i rzekł półszepem:

— I ja mam ten towar... może i lepszy.

Uśmiechnął się chytrze, cmoknął w palce i stanął opodal wyczekujący. Patrzyłem nań pytająco, a on wciąż uśmiechał się do mnie. Uśmiech ten przykre czynił na mnie wrażenie, sam nie wiedziałem dlaczego.

Po jakimś czasie stanął przedemną Pfeif; w tejże chwili przyskoczył i tamten żyd, który codopiero zachwalał był jakiś swój towar i, wścibiwszy śpiczastą swą brodę między Pfeifa i mnie, rzekł znów z udaną zagadkowością:

— Mogę panu polecić... Pfeif obsłuży dobrze... Jakie Pan pozwoli: małe, duże, cienkie, grube; czy blondynkie czy brunetkie...

Pfeif podniósł dłoń, jakoby na znak, iż wszystko stanie się według mej woli.

— Tem lepiej — pomyślałem sobie i odprowadziłem Pfeifa na bok.

— Czy pan dobrodziej życzy sobie zaraz? Czemuby nie zaraz? a czy ja nie mogę obsłużyć zaraz? — mówił Pfeif, nie pozwalając mi dojść do słowa.

Przerwałem mu:

— Tak zaraz. Pójdź na osobność, a powiem ci, co mnie tu sprowadza.

— He! he! — zaśmiał się zcicha Pfeif — nie sekret, nie sekret. Proszę pana dobrodzieja do izdebki, bardzo proszę.

Żyd wprowadził mnie do ciemnego swego mieszkania w dalekim zaułku dziedzińca. Przez brudną szybę widzia-

łem przesuwające się raz wraz, bardzo obce twarze ciekawych i domyślnych żydów.

Pragnąłem przyspieszyć rozmowę z Pfeifem, jako że zaduch obrzydliwy dusił mą krtań; tymczasem zapaliłem papierosa. Postanowiłem z Pfeifem załatwić się krótko; sądziłem, że załęczniony nie odważy się nawet na wykrety.

— Słuchaj żydzie — ozwał się szorstko — chcę być sam z tobą, nie chcę, by tu te żydy zaglądały przez okno.

— Czemu oni mają zaglądać przez okno? Ale to nic nie szkodzi; im to nie nowina, chyba że woleliby sami z jaśnie panem.

Pfeif zasłonił okno płachtą i jął szeptać:

— Zaraz mam... zaraz mogę mieć...

— Słuchaj — przerwałem mu ostro — pilnuj pyska, bo ściągniesz na się nieszczęście.

Przystąpiłem do Pfeifa i uderzyłem go po ramieniu: — Z rozkazu tajnej policji przychodzę, rozumiesz?!

Pfeif skurczył się w sobie i zbladł. Zrazu oniemiał i jak kopnięty pies patrzył mi w oczy; z wolna odwaga mu wracała; nawet uśmiechać się począł:

— A czy ja mam się bać policji? A może to... może to pan sekretarz?...

— Zgadłeś.

Wyciągnąłem z kieszeni ostemplowaną kartkę z hasłem „Jas-Pis.“

To uspokoiło Pfeifa zupełnie; popadł jednak w zadumę i pewne przygnębienie.

Zrozumiałem, że domyślał się, iż o sprawę ukrywanego mordercy chodzi. Nie chciałem mu pozostawić zbyt wiele czasu do namysłu, rzekłem więc energicznie:

— Zaprowadź mnie zaraz do Kaspra Jaszczuka, rozumiesz?!

Żyd nie odpowiedział ni słowa, jeno trząsł się i począł przydeptywać z nogi na nogę.

— Prze... prze... przepraszam jaśnie pana, ale ja pana nie znam, ja...

— „Jas-Pis!“ — rzekłem z naciskiem — czy nie rozumiesz? Czyś oszalał?! Czy ty chcesz panu sekretarzowi policji czynić trudności, albo... może... co gorsze?... Mam wyraźne polecenie, w razie tym, lub innym! — Więc?!...

— Ależ, panie dobrodzieju! — jął sumitować się Pfeif — Ależ czy ja co chcę? czemu ja by miał co chcieć? trudności, albo co gorsze?! Do usług, do usług...

Krótko uciąłem i kazałem bez straty czasu zaprowadzić się do Jaszczuka. Pfeif jął się ubierać i szukać jakowychś kluczków; wreszcie był gotów.

Zatrzymałem go we drzwiach:

— Słuchaj, Pfeif! jeżeli który z was pójdzie za nami, tedy... patrz — i zaświecilem żydowi rewolwerem między oczami. — A jeśli zaprowadziwszy mnie do Jaszczuka, odejdiesz i komukolwiek rzekniesz słówko a nie będziesz pilnował pod drzwiami, aby nikt nie ważył się przestąpić — wtedy, bacz! kulą w łeb! zrozumiano?

Żyd aż piszcział z przestachu; zapewniał, zaklinał się.

Poszliśmy. Minąwszy kilka ciasnych, brudnych uliczek, ujrzałem czerwone światelko latarni nad drzwiami małego domku. Tam też wprowadził mnie Pfeif, tłumacząc, że ważne jest, iżbym wszedł jako gość i poczekał w jednym z pokojów; a jeśli przyjdzie do mnie ta lub owa dziewczyna, bym z nią się zabawił chwilę dla pozorów. On zaś pójdzie

po klucze do Sary, siostry swej i zarządzi, by wszystkich miała na oku.

— Pamiętaj, Pfeif! — rzekłem surowo — jeżeli cośkolwiek nie po mojej myśli stanie się, odpowiesz wedle potrzeby, a jeśli mi uczynisz, co ci rozkażę, wynagrodzę cię sowicie; rozumiesz? — Ruszaj!

Po chwili znalazłem się w dość obszernej izbie, oświetlonej bardzo przytłumionem światłem lampki olejnej, owiniętej w czerwoną bibułę.

Odór lupanaru, przyczajone, mętne światło i z dalekich izb dolatujące pijackie okrzyki i śmiechy.

Z łoskotem otwarto drzwi; rozczochrana, tłusta dziewczyna wpadła do pokoju i stanęła przedemną, na wpół zdziwiona, na wpół oczekująca wezwania.

Oczy jej podmalowane, brwi ostro uczernione, a policzki wstrętnym różem odcinały się od kredowej, sztucznie zaprawionej cery. Czerwona chusta, spięta na głowie, a z pod chusty nieprawdopodobnie złote loki, w których iskrzyły się po obu stronach twarzy ogromne, złote zausznicze. Strój cały pstry i nieokreślony, uchylający się tu i tam, odsłaniający raz wraz to tłuste ramiona, to znów wydaną przed się pierś, lub czarną nad kolanem pończochę.

Dziewczyna nuciła piosenkę sprośną, przechylając się ku mnie wyuzdanemi ruchy, okręciła się wreszcie dookoła siebie i znikła w drzwiach naprzeciw.

Po chwili zjawiła się inna, potem trzecia i czwarta. Aż wreszcie następną, odmienną zgoła od tamtych i skromnie odziana. Błada jej cera, oczy podmalowane snąć o tyle tylko, ile jej podmalować kazano. Przeraziłszy smutek i lęk w oczach, a wokół czoła ledwie znaczące się „*curonae Veneris*“ znamiona. Dziewczyna liczyła zaledwie lat szesnaście.

Stała przedemną z takim wyrazem w oczach, jakby oczekiwała ratunku.

Chciałem coś rzec do niej, chciałem coś zapytać. Ale gdy wstrząs niesamowity poczułem w sobie, wspomniałem o celu mego tu przybycia i tylko zęby zacisnąłem, a odwróciłem się od dziewczęcia. Spojrzała na mnie, a wielka łza spłynęła jej z oczu.

Odeszła.

Przez chwilę byłem sam, jeno spostrzegłem w drzwiach nieznacznym, krągły otwór, a w nim ujrzałem patrzące na mnie ludzkie oko, które też w tejże chwili znikło pospiesznie.

Wreszcie wszedł Pfeif, trzymając w ręku dwa wielkie klucze. Spieszył się widocznie, a ruchami okazywał swą gorliwość. Poprowadził mnie do piwnicy, oświetlając kręte schódki przytłumioną latarnią. Przystawał co chwilę, a nadśluchiwał, zali kto nie spostrzegł naszej w podziemia wyprawy. Przekręcił klucz w drzwiach lochu, otworzył; a gdy weszliśmy, starannie drzwi na klucz od środka zamknął. Dość długim korytarzem prowadził mnie. Szliśmy po omacku. Wydało mi się, że Pfeif umyślnie ręką przysłania latarnię, abym mało orjentował się w przestrzeni, w której się znalazłem.

Nagle z ciemnej głębokości korytarza dobyły się głosy ludzkie. Pfeif coś odpowiedział, czego nie rozumiałem. Dwie wielkie postacie wyłoniły się z ciemności; z przewodnikiem moim zaczęły zamieniać wyrazy, dla mnie zgoła niezrozumiałe; domyśliłem się jeno, że o mnie mówiono z pewnym niepokojem.

— Stój! zawołałem ostro. — Pfeif! ani kroku!!

Staęli.

Cisza.

— Światła! — rozkazałem, dobywszy rewolweru.

Pfeif podał mi latarnię.

Zaświeciłem tamtym w oczy: dwie straszliwe maski, którym z oczu krwawa pozierała zbrodnia.

Nie miałem czasu do stracenia; nagle, energiczne działanie jedynie mogło dać mi przewagę nad niewiadomymi maskarami.

— Ani kroku! — zawołałem groźnie. — Ani słowa, któregobym nie rozumiał! Słyszycie?! Bo kulą w łeb!

Struchleli.

Zwróciłem się do onych dwóch maszkar żydowskich:

— Co wy tu robicie?

Odparł Pfeif:

— Pilnują. Jaszczuka pilnować trzeba w dzień i w nocy; tak przykazał sekretarz policji.

— Dobrze! — rzekłem. — Nie ruszyć mi się z miejsca!...

Pfeif! Poprowadzisz mnie do więzienia, sam staniesz u drzwi wchodowych, kędyśmy przyszli. Jeżeli który z was stąd oddali się, albo jeżeli kto obcy tu wejdzie, ty, Pfeif, za to odpowiadać będziesz, rozumiesz?!

— Ny! — zawołał Pfeif — pan nas obraża, my pilnujemy zabójcy, a pan nas obraża! czy my w zмовie?

— Co jest?! Co jest?! — mrużeli tamci.

— Ani słowa! Pfeif, prowadź!

Za chwilę znalazłem się w ciemnej piwnicy. Pfeifa odprawiłem do drzwi wchodowych, upomniawszy wprzód, aby bacznie spełnił wszystko, co mu poleciłem pod grozą osobistej jego odpowiedzialności.

Na barłogu, między połamanymi skrzyniami i kupą węgla, leżał człowiek. Usłyszawszy śnać nasze rozmowy, jął nieprzytomnie obracać głowę, jakby nie wiedząc, z której

strony ma oczekiwać czegoś niespodziewanego, ręce jego wyciągały się szukające, błagalne, bezradne.

Przystąpiłem do nieszczęśliwego i ozwałem się łagodnie:

— Kasper Jaszczuk, czy tak?

Nie odpowiedział nic, jeno głową obracał, jak nakręcona maszyna, a rękoma czynił wciąż te same ruchy.

Powtórzyłem pytanie głośniejszym głosem i zaświeciłem mu w oczy. Zacisnął powieki; głowa jego zatrzymała się w kołowym ruchu, a ręce opadły. Próbował się zerwać; nie miał sił. Podniosłem go. Zda się oprzytomniał.

— Jaszczuk jesteś? Kasper Jaszczuk, czy tak?

Jakiś jęk niewyraźny, ochryply dobył się z piersi zbrodniarza.

— Ze mną pójdziesz. Tu nie pozostaniesz, czy słyszysz?

Wpółprzytomnie zwiesił głowę. Pochwyciłem go w ramiona, a on zaciążył mi całym swym ciałem i ledwie nogami powłóczyć zdołał. Zacząłem go wyprowadzać, ująwszy prawą ręką, a latarnię trzymając w lewej.

W tejże chwili usłyszałem u wylotu piwnicy gwar podejrzany. Jakieś szepty i półgłosy. Liczne kroki; jacyś ludzie cisną się do wnętrza lochu. W mgnieniu oka zorjentowałem się.

Odsiecz!

Zgasilem latarnię i rzuciłem ją na ziemię; Jaszczuka chwyciłem teraz lewą ręką a w prawej ścisnąłem rewolwer gotowy do strzału. Tak posuwałem się w zupełnej ciemności naprzeciw gromadzie rozjuszonych żydów. Wśród zgiełku i dzikich nawoływań w ledwie zrozumiałym mi żargonie przeciskałem się ku wyjściu.

Ktoś chwycił mnie za ramię i wołać począł. Jednym uderzeniem kolbą rewolweru powaliłem napastnika. Wszczął

się krzyk i hałas nieopisany. Nikt w ścisku nie mógł nikogo rozpoznać. Zaczęto wołać światła. Już też z najwyższym pospiechem i wysiłkiem cisnąłem się ku wyjściu. Żydzi bezładnie szamotali się w ciemnościach korytarza; byłem w pośrodku ciżby; wylot już niedaleko. Dotarłem wreszcie. Tu już jaśniej.

Podniosłem kołnierz palta, iżby mnie zbyt wcześnie nie poznano. U wyjścia ktoś z tyłu chwycił mnie za kołnierz i jął drzeć się ochryple na całe gardło. Wypaliłem z rewolweru. Uwolniłem się.

Moment ciszy, a potem znów krzyk i wołania; zdało mi się, że to sfera psów mnie opadła. Ostatnim wysiłkiem dobytelem się wschodami na powierzchnię. Ktoś mię minął pośpiesznie i znikł w drzwiach pobliskich. W tej chwili był moment dla mnie bardzo korzystny; jeszcze żydzi nie zorientowali się; zamknąłem za sobą drzwi na haczyk, aby tym w lochu utrudnić pościg; tak! całą gromadę rozjuszonego żydostwa zamknąłem w podziemiu i zbiegłem z podwórza strasznej spelunki, unosząc prawie na rękę moją zdobycz, żywego człowieka, zbrodniarza, Kaspra Jaszczuka.

Gdy znalazłem się już na ulicy, doleciał mnie tylko łoskot szarpanych drzwi piwnicznych. Czas było uciekać. Chwilę długą ciągnąłem moją zdobycz za sobą, wreszcie dopadłszy parku, uczułem się już bezpieczniejszy w gąszczu krzewów i drzew.

W ukryciu siedziałem dość długo; wreszcie usłyszałem leniwy tentent kopyt szkapy dorożkarskiej. Zostawiłem Jaszczuka w krzakach i przywołałem dorożkę. W pierwszej chwili zaspany dorożkarz nie chciał ze mną jechać, dowodząc, że jego godziny na dzisiaj już skończone; oświadczyłem mu, iż zawieźć muszę towarzysza, który nagle mi zemdłał,

i zgóry wcisnąłem do ręki znaczniejszą ilość banknotów. To usposobiło dorożkarza życzliwie.

Tak odwiozłem Jaszczuka do domu Achimana.

Wpółprzytomnego zbrodniarza pozostawiłem na opiece Jolany. Zająła się nim z największą troskliwością. Świadomość, iż czyni dobrze sprawcy uwięzienia ojca Achimana, zdała się podwajać czułą opiekę dziewczyny. „Zbrodniarze najwięcej potrzebują serca!“

— — — Nazajutrz udałem się do Jolany, aby odwiedzić Jaszczuka; paliła mnie chęć porozmawiania z nim, bo żywiłem nadzieję, że w zbrodniarzu znajdę klucz do wyswobodzenia Achimana. Wszedłem wpieryw do kuchni. Jolana odkarmiła butelką małego „braciszka.“

— Cóż Jaszczuk? — zagadnąłem szeptem po przywitaniu.

— Ma się lepiej; leży w izbie.

— Czy można pójść do niego? — zapytałem.

Jolana głową odpowiedziała potakująco.

Wszedłem do izby gdzie leżał Jaszczuk. Spojrzał na mnie wzrokiem niepewnym, jakby chciał sobie przypomnieć starego znajomego. Uważnie jałem przypatrywać się zbrodniarzowi. Był to młody parobczak, o twarzy ogorzalej, szlachetnymi zarysowanej linjami. W oczach widniała zgasła pogoda i nadmiar cierpienia, a powieki zczzerwienione i nabrzmiałe wyraźnie kłamały istotnemu stanowi rzeczy wewnątrz duszy Jaszczuka. Sine obwódki dokoła jam ocznych nadawały temu spojrzeniu jakiejś dziwnej grozy.

Przez całe ciało Jaszczuka przebiegał raz wraz dreszcz, a palce obu rąk wplecione w siebie zdały się krzyczeć niewysłowionym bólem. W tym oto człowieku skrzyżowała

się żywiołowa młodość w pełnej swej krasie i namiętności z nieubłaganem fatum, któremu czoła nie umiał był stawić. Żywe współczucie ogarnęło mnie. Oto ujrzałem zmarnowane życie w samem niemal jego zaraniu.

— Kasper Jaszczuk? — zagadnąłem na powitanie.

Ruszył wargami i spojrział na mnie dobrym wzrokiem.

— Jakże się czujesz chłopcze?

— Bóg zapłać — szepnął.

— Czy poznasz mnie?

Nic nie odpowiedział, jeno wzrok we mnie wlepił.

— Wczoraj dobyłem cię z żydowskiego lochu.

Począł kiwać głową bez wyrazu; po dłuższej chwili zagadnął głosem niepewnym:

— Gdzie jestem?

— Jesteś w bezpiecznem schronieniu, w domu Achimana. Drgnął. Imię to przeraziło go widocznie.

— Ja nie mogę być w domu Achimana! — jęknął z wysiłkiem. — Ja tu... On tam, on tam?!...

— W więzieniu — westchnąłem.

— W więzieniu! — powtórzył głucho Jaszczuk — zajął moje miejsce, a ja jego miejsce... a ja jego — miejsce...

Drżącemi dłońmi zasłonił sobie Jaszczuk chore oczy i po chwili cichy szloch dobył się z jego piersi. Zwolna jednak zaczął się uspakajać, powtarzając tylko bez wyrazu: ja tu być nie mogę... nagle otworzył szeroko oczy i z trudem uniósłszy się przysiadł na leżaku:

— Co to się stało? Panie! panie! czy wiecie... co to się stało? Kto mnie uwolnił z więzienia? Przecież ja mam być w więzieniu, a on tu, Achiman tu, w swoim domu, on a nie ja, nie ja!...

— Słuchaj Jaszczuk! — przerwałem — nie czas na rozrzewnianie i skargi. Uwolniłem cię z rąk złoczyńców, abys mógł oddać się w ręce sprawiedliwości, pod sąd... jak to uczynić chciałeś... prawda?

Jaszczuk najwyraźniej zaczął sobie wszystko przypominać kolejno. Drgnął w pewnej chwili i twarz skurczyła mu się boleśnie, jednak nie trwało to długo, a spokój, nawet pewnego rodzaju pogoda, przyoblekły twarz jego.

— Jaszczuk — rzekłem dość stanowczo — musisz mi powiedzieć wszystko. Rozumiesz? — Wszystko! Wiem coś uczynił, ale nie znam pobudek, nie znam twojej winy. Byłem obecny w owej chwili, gdy Achiman dawał ci schronienie.

Wiem, że zgłaszałeś się na policji i czyniłeś starania, aby uwięziono ciebie miast Achimana. A więc znam twoje dobre zamiary; ale na zamiarach skończyć się nie może; Achiman musi odzyskać wolność; rozumiesz ty to, Jaszczuk!? Rozumiesz!?

— Tak! — odparł bardzo powoli — Achiman musi być uwolniony...

— Słuchaj! to twojem jest zadaniem, a ja ci chcę w tem pomóc.

— Jak mi pan może dopomóc? — wyszeptał z wysiłkiem i dodał po chwili: — Kto pan jest?

— Nie znasz, widzę, swojej sytuacji. Dowiedziawszy się, że z winy twojej Achiman skazany na kaźń, zgłosiłeś się dobrowolnie i oddałeś w ręce sprawiedliwości. Czy tak?

— Tak! dobrowolnie — szeptał.

— Urzędnik policji tajnej nie chciał przyjąć twego zgłoszenia... Czy tak?

Jaszczuk począł się namyślać, wreszcie rzekł:

— Nie chciał... nie wierzył, ale potem zaaresztował i wtrącił do więzienia.

— Nie w więzieniu ty byłeś, Jaszczuk!

— Tak, byłem w więzieniu.

Jaszczuk przetarł zbolące oczy. Widziałem wysiłek, którym musiał dopomagać sobie nieszczęśnik, by uprzytomnić sobie kolejno wszystkie zajścia i zrozumieć obecną swą sytuację. Patrzałem w te zbolące oczy, w których widoczna była ciężka walka z pamięcią i — sumieniem prostaka.

Nagle Jaszczukowi opadły powieki i głowa zwiśla na ramieniu. Usnął z wyczerpania.

Dnia tego nie próbowałem już wszczynać rozmowy z zbrodniarzem. Pomówiwszy chwilę w kuchni z Jolaną, oznajmiłem jej, iż nazajutrz przyjdę, celem zadecydowania o dalszem postępowaniu — i udałem się do willi.

XX.

Nadmiar wypadków i chaotyczny wrażeń natłok zrazu nie pozwalał mi zebrać myśli, iżbym jasno widział sytuację i dalszą działania konieczność. Jakoweś zmęczenie, które odczuwałem, nakazywało mi choć krótki wypoczynek, abym był wogóle zdolny do dalszych poczynań. Nie spostrzegłem bowiem zrazu, że już dwa wielkie zadania spiętrzyły się przedemną i wołały swego rozwiązania, a wszystkie wysiłki wydały mi się w tej chwili beczynnem okłamywaniem samego siebie. Tak! bo też dotąd nie dokonałem działania pierwszego, nie wyrównałem ni w części krzywdy zadanej Munchowi; jakóż mi więc imać się dzieła uwolnienia Achimana, skoro nie dokonałem głównego wskazania świętego starca?

Czułem, że gdybym teraz stanął przed obliczem Achimanowem, oczy jego pytałyby: azali wyrównałeś krzywdę Muncha?

I równocześnie też same oczy gorzałyby wyrzutem, a karcilyby mnie, iż o dogodność ciała Achimanowego bardziej dbałem, niż o ukojenie serca Muncha, a sprostowanie własnej, skrzywionej duszy?

W wymaganiach swych był Achiman surowym skoro tylko całość ciała miała wyprzedzić działania wewnętrzne, a surowość sądu starca olbrzymiała w świetle jego niezemskiej dobroci.

A jednak czułem, że wysiłki skierowane w celu uwolnienia Achimana nie powinny ulegz osłabieniu, ale raczej przeciwnie: raz podjęte postanowienie winno coprędzej nabrać kształtów widomych, nie dających się zaprzeczyć; konieczność wyrównania ostatecznego krzywdy Muncha nie mogła pozbawić mnie przecież takich zdobyczy, jakimi są niezbite wiadomości uzyskane od garbusa Nieszawy, a nadewszystko posiadanie w swem ręku zbrodniarza Jaszczuka. Wszelkie więc odkładanie działania na rzecz uwolnienia Achimana mogłoby tylko uwolnienie samo udaremnić, a nic nie pomoże mi w sprawie Muncha.

Ujrzałem więc rzecz jasno: działając pełnym wysiłkiem na rzecz Achimana, równocześnie należy mi przyspieszyć załatwienie sprawy Muncha.

Ta oto równoczesność wydała mi się przeogromną zaporą, przerastającą me siły.

Równoczesność? He! he! A jakóż to było, że kiedyś tryumfowałem, czując się wyzwolonym z poczucia czasu! Nie byłóż to tylko czasu zapomnieniem? Oto życia twarda rzeczywistość stawia teraz czcze moje przechwałki na właściwym miejscu.

Siliłem się, aby skupić wszystkie swe władze umysłowe i całą energję w kierunku urzeczywistnienia obu na się wziętych zobowiązań.

Pierwsze — to twardy przykaz Achimana, to konieczność przelana duszą Jolany w moją świadomość. Drugie — to własna moja wola dla poparcia spełnienia przykazu pierwszego. Tak jest! Konieczność ujrzenia oblicza Achimano-
wego, pytającego o spełnienie jego przykazu.

Tak tedy oba działania wzajemnem są dopełnieniem. Nie mogę bowiem dopuścić do tego, iżby energja moja w kierunku wyrównania krzywdy Muncha osłabła dlatego, że nie będę może zdawał rachunku przed Achimaniem, który jest uwięziony.

Przeciwnie! konieczność uwolnienia Achimana staje się koniecznością zdania przed nim rachunku z wykonania nałożonego mi przykazu.

Coraz więc jaśniej widziałem zadanie moje na dni najbliższe i tylko to mię dręczyło, że znikąd już nie czułem zbliżającej się pomocy ni podniety; ale raczej zapory widziałem, które wyrastały w najbliższem mojem otoczeniu.

Tak! zaporą taką wydała mi się w tej chwili — Olga; sam nie wiem dlaczego. Stosunek jej do mnie stawał się coraz idealniejszy. Olga upodobniała się coraz więcej do Jolany; nawet odnosiłem czasem wrażenie, iż przyzwaja sobie (może nieświadomie) ruchy Jolany i jej sposób mówienia. Spokój i słodycz szły ku mnie od Olgi; a żądała dla siebie coraz mniej, chcąc dawać jaknajwięcej. Unikała wyraźnie wszystkiego, coby mogło stać się choćby najmniejszym rozdźwiękiem między nami.

Zdawałoby się więc, że taki rzeczy obrót winien był mnie raczej radować. A jednak w nim właśnie czułem tę zaporę, która utrudniała mi dojście do celu.

Podświadomie zdawałem sobie z tego sprawę, że im idealniej, im szlachetniej układać się będzie stosunek nasz, tem trudniejsze będzie wyrównanie krzywdy Muncha. I miałem słusność, bo idące z Olgi tchnienie wyższe nie snuło się po strunie wzniosłych zadań człowieka, jeno po strunie osobistego ku mnie stosunku. Jakże więc mogło kiedykolwiek trafić do czystych sfer wyrównawczych życia dwóch ludzi,

(jednego skrzywdzonego, drugiego krzywdzącego), skoro bieżło po linii wyłączności naszej miłości?!

Te oto spostrzeżenia nie odbierały mi siły, ale przeciwnie; jałem uzbrajać się w tem większe zapasy energii i wewnętrznego uporu. Postanowiłem działać i czekać.

Olga rada była, że w tej chwili pochłonęła mnie tak bardzo myśl oswobodzenia Achimana. W cichości serca mniemała zapewne, iż w ten sposób uspi się we mnie wyrzut sumienia na tle krzywdy Munchowej. O jakże się myliła!

Opowiedziałem Oldze wszystkie szczegóły moich zamiarów, oraz całe zajście z żydami w podziemiu i o oswobodzeniu z lochu zbrodniarza, Kaspra Jaszczuka, istotnego sprawcy uwięzienia Achimana.

Olga przerażona była moją walką w ciemnicy, jednakże wyraźnie rada całym mym zabiegom. Uczyniła mi nawet wymówkę, że nie do jej domu sprowadziłem Jaszczuka, bo — jak się wyraziła — „chciałaby raz w życiu obejrzeć mordcę.“

Przez chwilę żalowałem, że wyjawiałem Oldze wszystkie szczegóły mych zamierzeń. Odtąd też starałem się o nich mówić jak najmniej. Teraz przedewszystkiem dążyłem do tego, iżby stworzyć tę równowagę, która konieczna jest do uniknięcia szeregu złych pociągnięć. Pierwszym moim zadaniem było poznanie istoty zbrodni Jaszczuka i jej motywów; posiadłszy ten klucz, mogłem poczynić dalsze kroki, które z tego rozpoznania same wskazywałyby mi drogę.

Wybierałem się nazajutrz około południa do Jolany. Temu też zbiegowi okoliczności zawdzięczam, iż zdarzenie, które nawiedziło mnie niespodzianie, nie dotknęło wcale Olgi.

Otóż wychodząc z willi, spotkałem u wyjścia do ogródka listonosza, który wręczył mi list. Coś mnie tknęło. Uczułem, że nie jest to list obojętny. Idąc ulicą rozerwałem kopertę i spojrzałem na podpis.

Munch!

Tak! Istotnie — Munch pisze.

Ogarnął mnie niepokój; nie miałem odwagi odczytać listu choć pobieżnie. Schowałem go do kieszeni, a na pierwszym skrawku ulicy wpadłem do kawiarni, kazałem podać sobie szklankę herbaty i jąłem czytać:

„Szanowny Panie! Jeszcze jedno upokorzenie niech będzie udziałem mej ofiary, którą składam na ołtarzu mego losu. Nie waham się uczynić tego, wiedząc, że i pan ukorzyć się byłeś zdolny, i do dzisiaj wierzę niezachwianie w Jego dobrą wolę.

Przechodzę do rzeczy: Od czasu naszej ostatniej rozmowy upłynęło wiele tygodni. Byłem cierpliwy; nie narzucałem się; nie przynaglałem nadmiernie, jako że potrzebujesz Pan czasu do wykonania danej mi obietnicy.

Zajście z Dyrxem zlikwidowałem dlatego, aby areszt Pański nie wpłynął ujemnie na Jego postanowienie; postarałem się więc o uwolnienie Pana i o zaniechanie wszelkich przeciw Panu dochodzeń, których chciał Dyrx. Wszelkiej styczności z Dyrxem wyzbyłem się, jako chciałeś Pan. Pozostało mi jeno cierpliwe czekanie. Byłem cierpliwy — sam Pan to przyznasz.

Jeżeli zaś dzisiaj zdecydowałem się przypomnieć Panu Jego obietnicę, to tylko dlatego, aby otrzymać zapewnienie, iż Pan jako gentleman trwasz w swem postanowieniu — i dlatego, że w niepewności, która spędza mi sen z powiek, żyć dłużej nie umiem.

Bacz Pan, by uścisk mej ręki był nadal uściskiem przebaczenia, a nie stał się skurczem ostatecznego przekleństwa.

Niech więc to Pana nie urazi, jeśli teraz zażądam, wyraźnie i ostatecznie *zażądam*, zupełnego i nieodwołalnego zadośćuczynienia Pańskiemu honorowi, a mojemu prawu.

Brak odpowiedzi musiałbym zrozumieć tak, iż omyliłem się, ściskając dłoń Pańską, dłoń — mimo wszystko — człowieka honoru.

Z poważaniem *Roman Munch.*“

Nie wiem już po ile razy odczytałem otrzymany list i w jakim to czyniłem celu. Znalazłszy się wreszcie na ulicy, uprzytomniłem sobie dopiero, że właściwie nie stało się nic, coby było powodem zaniepokojenia lub wzruszenia. Przecież list Muncha — jakkolwiek musiał być być wynikiem rozpaczego wprost wyczekiwania — prostą był rzeczy konsekwencją i w niczem nie naruszał moich założeń, których nie miałem zamiaru się wyrzekać. A jednak czemu list ten wstrząsnął mnie do głębi?

Przypomnienie?!

Przypomnienie honoru!

Tak! Potrzeba przypomnienia zadrasnęła mnie do żywego.

Ale i to jest konsekwencją rzeczy; prostym wynikiem niespełnienia dotąd danej obietnicy. Gdybyśmy zawsze umieli zoczyć zwykły, nieubłagany skutek własnych czynów, nie uskarżalibyśmy się nigdy na los, ale źródeł niepożądanych dotknięć szukalibyśmy w sobie. Oh! Ileż rozczarowań, zawodów, ba! nieszczęść oszczędzilibyśmy sobie i drugim!

Czy przypomnienie Muncha było rzeczywiście potrzebne i uzasadnione?

Gdy nad tem pytaniem zacząłem rozmyślać, doszedłem do przekonania, iż nie miałbym żadnej słuszności urazy z racji listu Muncha; wątpię też, czy w naszych warunkach wielu ludzi w położeniu Muncha tak właśnie postąpiłoby; bo przecież: osądzając rzecz pod kątem widzenia dnia dzisiejszego, jego prawideł i wymogów, nawyknień i zwyczajów, sytuacja taka nie jest pozbawiona pewnego tragicznego komizmu. A komizm ten przejęty jest przez człowieka nieszczęśliwego zgoła dobrowolnie, z pełnem poczuciem upokorzenia.

Z żywym współczuciem zacząłem myśleć o Munchu i teraz dopiero po raz pierwszy spostrzegłem isticie krotocwilną sytuację trojga ludzi, sytuację nie pozbawioną przykrego zacięcia złośliwej farsy.

Oto zdradzony mąż czeka cierpliwie, aż łaskawy kochanek żony zechce mu jego żonę oddać. Czeką całemi tygodniami, a tymczasem patrzeć musi na dalsze amory kochanków, na wspólne ich mieszkanie i tylko listownie zapytuje się delikatnie uwodziciela, czy wreszcie to się skończy.

Tak rzecz wygląda istotnie i każdy „normalnie“, według prawideł powszechnych myślący człowiek musi wziąć się pod boki i śmiać się serdecznie z zdradzonego męża.

To właśnie jest dla mnie tak bolesne. Jakieś inne kategorie myślenia, niż te, któremi kierują się ludzie wokół mnie, doprowadziły mnie do stworzenia tej rzeczywiście dzikiej sytuacji.

Uczułem wielkie obciążenie sumienia właśnie narzuceniem Munchowi na jego twarz bolesnej maski blazna.

Ból człowieczy uczyniłem pośmiewiskiem.

Oto całe przypomnienie!

Wstąpiłem na pocztę i skreśliłem te słowa:

„Szanowny Panie! — niech wymiar czasu nie będzie mi sędzią. Pozwól mi Pan dochować danej Ci obietnicy zgodnie z sumieniem i honorem. Miej Pan w pamięci naszą ostatnią rozmowę. Osądź mnie wtedy, gdy wyrównam całkowicie krzywdę; to stanie się w krótkim czasie.

Uścisku dłoni nie cofniesz. — Z prawdziwym szacunkiem

Tymon S.“

Wrzuciwszy list do skrzynki poczułem nagle ulgę. Była to przecież ulga z pełną świadomością swej tymczasowości. Zyskałem jeno na czasie; w istocie rzeczy zaś poczułem się znów bardziej spętany nowem przytwierdzeniem obietnicy. I choć spętanie to na chwilę mi zaciążyło, to jednak zadowolony zeń byłem, jako że pragnąłem szczerze spalić za sobą mosty wszelkich możliwości cofnięcia się z raz obranej drogi.

Znów śmiało będę mógł posyłać szczerze, jasne, nieklamane spojrzenie w te przepojone ideą Jolany oczy, które zawsze na mnie smutnie patrzyły, gdy z moich oczu czytały postanowień jakową niedostateczność.

Dobrze się stało, że w tej właśnie chwili doszedł mnie list Muncha, że nań dałem zaraz odpowiedź, bo oto uwolniłem się na chwilę tę od przyczajonego gdzieś na dnie sumienia niepokoju — a tak bardzo teraz wewnętrznej spokojności potrzebowałem, by oddać się całkowicie i niepodzielnie młodemu zbrodniarzowi, oddać się, tak, jak to czyniła Jolana, jak czynił Achiman.

Pełen wewnętrznej pogody i skupienia wszedłem do Achimanowej izby, w której leżał Jaszczuk. Jolana we drzwiach dała mi znak, abym zachował się cicho, bo po nieprzespanej nocy Jaszczuk zasnął był codopiero.

Wszelako śpiący usłyszał szepty nasze, otworzył szeroko oczy, a twarz jego na mój widok rozjaśniła się.

— Nie będę spał — rzekł przytłumionym głosem. — Czekałem noc całą i pół dnia waszego przyjścia. Jesteście, panie! Mówić chcę z wami, bo nie zaznaję spokoju, a tak ja żyć nie mogę...

W tej chwili spojrział na Jolanę.

— Dobra panienska wysłuchała moich żalów i objaśniła, co się ze mną stało, czemu ja tu leżę i to, że nie byłem w więzieniu, ale zamknięty w węglowej piwnicy, u niewiadomych żydów. Wiem, że pan dobył mnie z lochu siłą po to, iżbym mógł wyrównać zbrodnię, iżbym mógł wrócić wolność Achimanowi. Teraz wiem, wiem wszystko, pomnę co było...

Jeno trzeba, byście i wy wiedzieli, co ze mną jest, kto ja i czemu tak się stało. Musicie wiedzieć!

— Słuchaj, Kasprze, — rzekłem, gdy przerwał swe urywane wywody. — Wiedzieć muszę całą prawdę; tę prawdę winienies — jeśli nie mnie, i jeśli nie tej dobrej panience, to Achimanowi. Mów naga prawdę! Zabiłeś człowieka?

— Zabiłem człowieka...

— Czemu zabiłeś człowieka?

— Skrzywdził mnie.

— Skrzywdził? Cóż ci uczynił?

— Uwiódł moją Celkę, dziewczynę niebogą, mnie przyrzeczoną. Uwiódł najmilejszą moją i nie mogłem czekać, by żywe oczy jego oglądały niezadługo bękarta.

Jaszczuka twarz skurczyła się boleśnie, a ręce jęły szarpać i miąć kołdrę posłania. Po chwili znów zaczął mówić głosem przyciszonym.

— Źle zrobiłem! śmierć uwodziciela nie wróci mi Celki. Już na zawsze z nią będę rozłączony...

Tak! Zabiłem człowieka; złego człowieka, ale — człowieka. Bo ja przepomniałem w tej chwili, że nie można zabijać człowieka; taki mnie chwycił żal za gardło i boleść taka i taki srogi gniew, że ja nie wiedziałem, kogo pierwszej zabić, a teraz wiem, wiem... Ja miałem siebie zabić, a oni... oni niechby się cieszyli sobą i bękartem. Ale ona nie cieszyłaby się, bo ona mnie kocha, wyznała mi we łzach, ona nic nie wiedziała, bo to było na weselu u sąsiada. Wódka poszła Celce w głowę, to i nic nie wiedziała i dopiero teraz wie, co było, dopiero teraz...

Biedna dziewczka, oj biedna!

Długo jeszcze tak zawodził parobczak, a kajał się przed nami i płał w nieszczęściu.

Myśli moje odleciały na chwilę Jaszczuka, bo oto sam poczułem się w tej chwili tym, który powinienby zginąć z ręki człowieka skrzywdzonego, jak zginął ów parobczak z ręki Jaszczuka. I poczułem nagłą chęć pastwienia się nad samym sobą, szukając plastycznych porównań; więc spytałem nagle:

— A jak zabiłeś uwodziciela twojej Celki?

W tej chwili oczy Jaszczuka zaiskrzyły się straszną zaciętością i odparł ostro:

— Siekierą... Rozłupiłem łeb, a potem kozikiem obrzeziłem grzeszności i zaniósłem je Celce na uciechę...

Zaśmiał się dziko, poczem przycichł, zasłonił ręką oczy i zapłakał.

Mróz przeszedł mi wzdłuż kręgosłupa. Mimowoli spojrzałem na Jolanę, która zdała mi się w tej chwili tak oddaloną, tak niedosiężną, że chciałem ująć zbrodniarza, jako

człeka sobie bliskiego i klęknąć wspólnie z nim przed dziewczyną i żebrać odpuszczenia win, niemal jednakich.

W tejże chwili zakwilił w kuchni „braciszek.“ Jolana powolnym, cichym krokiem opuściła izbę.

Nastała długa cisza; przerwał ją wreszcie Jaszczuk, rzuciwszy się, a siadłszy na posłaniu.

— Nie dziwcie się, paniczku, że jak było gadam, a w szcerości se folguję. Już mi nijak żyć to i o sprawy życia nie stoję; jeno czekam rychłego końca, któryby... och! któryby przyszedł wcześniej.

Co miałem najświętszego, co było w mej duszy dobrego, to oddałem memu ukochaniu do Celki i już zostałem sam, opróżniony z wszystkiego dobrego, jeno zostało we mnie, to co jest z zwierza. A przecie zwierzęta zabija się co dnia, to i cóż? — czy szkoda, że jednego dnia ubijają ludzie jednego więcej?!

Jaszczuk przypomniał mi w tej chwili kazanie Achimana pod brzozowym laskiem wśród błękitów wieczornego śniegu. Nie trza mi długo o tem myśleć, bo i Jaszczuk wspominał tę chwilę.

— Panie! — rzekł z rozrzewnieniem — bo wy nie wiecie, czemu ja schroniłem się w dom Achimana po zabójstwie. Ja nie wołałem schronienia przed pościgiem ukrzywdzonej rodziny albo żandarmów, bo jam o tem nie myślał wcale. We mnie krzyczało to, co było z zwierza: a to było wszystko, co we mnie zostało. A to wołało do Achimana, aby się ulitował i dał schronienie, aby pod jego opieką to co było we mnie, może przerobiło się w to, co oddałem Celce.

A jabym nie był wołał pomocy Achimanowej, jeno że w krew mi weszło jego mówienie o zwierzu w człowieku. Tak! o zwierzu mówił raz Achiman siedzący na kamieniu

pod brzozowym laskiem za wsią, a białość śniegu była dookoła i wielka spokojność; a my chłopci i parobcy wsiowi słuchali i była w nas wielka spokojność i czuliśmy się pokrewni temu śniegowi białemu, co był wokół nas. A kiedy tak w rozmodleniu słuchałem z innymi kazania, wtedy coś mi przerwało nabożne słuchanie; a miałem w tej właśnie chwili myśl taką dobrą, której już potem nijak pochwycić nie mogłem.

Och! Gdybym był pochwycił, gdybym był dokończył!... możeby inaczej potoczyły się dni mojego życia...

Tak! ja nie dokończyłem tej dobrej myśli, która na mnie przyszła, bo coś zbliżyło się do mnie, co mi myśl zmaćciło. Wpierw ja nie wiedziałem co to było, aż ujrzałem, jak jacyś ludzie miastowi zbliżyli się i zaczęli słuchać kazania. A był to pan, który prowadził panią za rękę; a szedł od nich wiew obcy i myślom naszym nie przyłożny. I to mi myśl zmaćciło...

Możeby inaczej potoczyło się moje życie, możebym był zrozumiał Achimianową opowieść o zwierzu w człowieku, jako teraz rozumiem, teraz — gdy już zapóźno...

Zdrętwiały siedziałem, patrząc przed siebie; i choć parobczak mówił bez wytchnienia, zagubiłem gdzieś wątek słów jego.

Każde Jaszczuka słowo, niby ostrożna piła, przerynało mą pierś to w tę, to w tamtą stronę, zawodząc bolesnym jękiem i ostrym zgrzytem przy poruszeniu każdym.

W słowach zbrodniarza, niby w znalezionym odłamku lusterka, ujrzałem siebie — tak! więc i ja i Olga brałiśmy udział bezwiedny w załamaniu się duszy tego parobka, więc i w jego zbrodni.

Ha! jakikolwiek czyn najniklejszy, myśl przelotna, tchnienie, spojrzenie, wszystko to po sobie pozostawia ślad, wszystko swój wpływ wywiera; nic nie dzieje się bez skutku — nic nie ginie.

Zbrodniarza mówienie podziało na mnie tak, że nie byłem zdolny w tej chwili myśleć dłużej o możliwości mojej współwiny, a słuchając dalszych jego słów nie słyszałem ich, ani rozumiałem. W pewnej chwili wydało mi się tylko, że Jaszczuk o coś mnie pyta, a nie otrzymawszy odpowiedzi, sam zamilkł. To mnie oprzytomniło. Spojrzałem na leżącego i patrzącego bez wyrazu w sufit i wydało mi się, że się modli.

Weszła Jolana, a za nią wsunął się do izby bocian i stanął pod oknem, a wyglądał przez szybę na promieniujący pierwszym słońcem wiosny świat boży.

Rzekła Jolana, otwierając szeroko okno:

— W jakiegokolwiek chwili czyn zaciążył na naszym losie, szukajmy w słońcu bożego promienia. Izba ciężkiem przepelniona powietrzem. — Tymonie, bratu Kasprowi postanowieniem ulżyć trzeba; on chce zrzucić z siebie ciężar zbrodni, on już przewidział.

Oprzytomniałem zupełnie; wstałem nagle i rzekłem:

— Jaszczuk ma słuszność.

Zwróciłem się do leżącego:

— Czy masz tyle siły, by pójść ze mną?

— Siły mam dość... tę parę kroków, które mi jeszcze ostały... poprowadźcie mnie przed taką władzę, która ze chce uczynić sąd nademną.

— Wyznasz wszystko?

— Wyznam.

— Choćbyś wiedział, że...

— Choć wiem.

— Będiesz wołał całą duszą uwolnienia Achimana?

— Całą duszą, całą wolą...

— Tymonie! — przerwała cicho Jolana.

— Cóż? — spytałem.

— Nie trzeba! Nie o Achimana rzecz się toczy, on nie przyzwala.

— Tym razem, Jolano! pozwól, niech raz się stanie wola winnych.

— Winnych? — szepnął Jaszczuk.

— Tak, przyjacielu, i ja nie bez winy — westchnąłem.

Nastąpiła długa chwila milczenia. Jaszczuk patrzył na mnie, jakoby chciał coś ze mnie wyczytać, lub sobie coś przypomnieć; wreszcie zmęczoną głowę osunął na poduszkę. W tej chwili fala światła zalała izbę; z za mglistej chmury wyłoniło się czyste, złotem olśniewające słońce; dawno zapomniane ciepło szło ku nam z nieba. Bocian radośnie rozłożył skrzydła i uderzywszy o ramę okna, wskoczył na nie i chwilę się rozglądał. Wreszcie spojrział w stronę Jolany, poczem zeskoczył do ogródka. Tam rozłożywszy szeroko skrzydła, jął klekotać, a witać pierwsze tchnienie wiosny, poczem poskoczywszy raz i wtóry, uleciał w powietrze.

Poglądaliśmy za nim; wzbił się ponad dachy przedmieścia i hen wysoko jął kołować ponad miastem, aż zginął w pogodnego nieba lazurze.

— Nie wróci już — szepnęła Jolana i zamknęła okno.

Nikt nie miał odwagi przerwać milczenia.

Wreszcie rzekł Jaszczuk smutnie:

— Wolny ptak!... Hej!

Dalsza rozmowa toczyła się już około wykonania postanowienia Jaszczuka. Zdecydowaliśmy, iż ja zgłoszę sprawę zabójstwa wprost do prokuratora i zeznanie podpiszę w protokóle, aby nie było już żadnej niespodzianki, jak z Dyrxem.

Tak się też stało. Prokuratorowi oświadczyłem, że przychodzę z polecenia Kaspra Jaszczuka, który zabił był swego rywala, a za przyczyną mordercy Achimana cierpi niewinnie. Oświadczyłem, iż to powtórzy zabójca sam i domagać się będzie wolności Achimana, za życie swoje, które sam dobrowolnie oddaje.

Okazało się, że prokurator ten był niedawno oskarżycielem Achimana i bynajmniej nie skłaniał się do uwzględnienia żądania Jaszczuka. Wiedziałem, że na tej rozmowie nie są wyczerpane wszystkie możliwości moich zabiegów o uwolnienie starca; postanowiłem też działać dalej i to z pomocą Darjusza. Pierwszy krok już uczyniłem. Tak poprowadziłem na śmierć Kaspra Jaszczuka.

Niemniej opowiedziałem prokuratorowi o wszystkim, co wiedziałem; o zgłoszeniu się Jaszczuka na policji, o odmowie Dyrxa, o prywatnem więzieniu Jaszczuka i oddaniu go w ręce podejrzanych żydów, którzy — jak się później okazało — skwapliwie stali do usług Dyrxa, opłacani przez innych dostojników zgromadzenia żydowskiego, którym bardzo niewygodna była działalność Achimana. Czy i ile pieniędzy w tej całej aferze pobrał Dyrx, tego stwierdzić nie zdołałem.

Pomny obietnicy danej garbusowi Nieszawemu, nazwiska jego wogóle nie wymieniłem; to też było zbyteczne wobec prawych zeznań Jaszczuka.

Tak załatwiwszy w parę dni wszystko, co z mej strony było możliwe, sadziłem, że teraz pozostało mi jeno oczeki-

wanie dalszego biegu sprawy. W uwolnienie Achimana nie wątpiłem, mimo odmiennego zdania Darjusza.

Nadszedł znów czas mego skupienia się w sobie i uczynienia rachunku. Mimowoli zacząłem porównywać siebie z Jaszczukiem. Jakkolwiek rola jego, przed spełnieniem zbrodni, była rolą Muncha, to jednak nie jego, ale siebie mogłem z zbrodniarzem porównać. Bo oto dwaj winowajcy znaleźliśmy schronienie w domu Achimana, znaleźliśmy tam ukojenie szarpanych dusz i wskazanie dalszej drogi. On poszedł drogą, wskazaną oczami Jolany i ja tąż drogą poszedłem.

A jednak jakże inaczej każdego z nas w drogę tę ruszył! Czy umiałbym zdobyć się na tę gotowość bez żadnych zastrzeżeń i zawahań, jak to uczynił pospolity ten w oczach naszych zbrodzień, mimo, że niemal świadomie poszedł, by stanąć pod drzewcem szubienicy?

Czy umiałbym tak wszystko, wszystko bez zastrzeżeń oddać w poczuciu konieczności wziętej na się dobrowolnie?

Jaszczuk jednym postanowieniem, jednym woli od-
ruchem rozwiązał tragedję swego życia; ja tego nie umiałem, ja tego i dziś nie umiem. Stąd te szukania dróg, te namysły, te męczące rozważania, pełne szukania usprawiedliwień i wybiegów.

O ile prostsza jest dusza Jaszczuka! o ile bardziej zdobywcza! On mi teraz wskazał jak się rozwiązuje gordyjski węzeł swojego życia, on umie, a ja nie!

W tej chwili ujrzałem Jaszczuka stojącego przed obliczem Achimana. Twarz młodego zbrodniarza pełna spokoju, pełna pogody, bo już wyrównał nawet i tę krzywdę zadaną Achimanowi, że z jego winy starzec pozbawiony jest wolności. Za winę swą wyrządzoną któremubądź stworzeniu,

oddał wszystko, wszystko co miał i już niczego dla siebie nie żądał, jeno chyba tego, iżby czyjej klątwy nie poniósł z sobą w grób.

A ja? a ja?...

Munch! Munch! — oto jedyna odpowiedź, oto jedyne moje zadanie.

Czułem, że nie mógłbym stanąć z tą Jaszczukową pogodą w licu przed Achimaniem, bo nie uczyniłem wyrównania, jako uczynił Jaszczuk.

W oczach tedy Achimana czytałem wciąż ostrzeżenie, iżbym konieczności wyrównania nie poniósł aż w grób, a nie włókł jej aż w przyszłe ziemskie bytowanie.

I wydało mi się, iż czasu mam bardzo niewiele, może nie więcej, niż Jaszczuk, nad którym zawisło straszliwe, hańbiące ramię szubienicy. Ha! Czemu uderzyło we mnie znów jakieś złowrogie poczucie czasu, z którego kiedyś nieopatrznie czułem się wyzwolony? Nie wiem! a jednak poczucie czasu niezmiernie ograniczonego zaciążyło na mnie jak przeogromna bryła ołowiu.

Odczułem konieczność pospiechu. Jaszczuk dodawał mi siły, dodawał energii.

Miałbym nie umieć zdziałać tego, co zdziałał ten prostak w stokroć trudniejszych warunkach?

Postanowiłem dokonać ostatecznego wyrównania.

Trzeba mi było stosownej chwili i takiego usposobienia Olgi, któreby rokowało dobry wynik ostatnich mych zabiegów. Szukałem takiego momentu i odkładałem go z dnia na dzień.

Widmo Achimana, patrzące swym potężnym przykazem w mą duszę, niewolilo mnie i ciskało skruszonego do stóp Kaspra Jaszczuka.

Oczy Jolany wylaniające się z jaśniejącej bieli jej czoła czekały, czekały...

A mną poruszał nieustanny wstrząs na myśl o tem, iż nie wyłamie się z pod przykazu tego ani ujdę konieczności, którą sam stworzyłem.

Wreszcie zdarzyło się raz, że z ust Darjusza dowiedziałem się o bytności Jolany u Achimana w więzieniu, o bytności już trzeciej!...

Więc choć niemal co dnia widywałem się z Jolaną, choć rozmawiałem z nią jak zawsze o wspólnych naszych bólach i radościach, o wielkich zadaniach prostowania ścieżek życia naszego — to jednak nie zasługiwałem na to, iżby dziewczyna nie tylko dzieliła się ze mną i wrażeniami wyniesionymi z celi Achimanowej, ale iżby nawet nie oznajmiła mi, że ma się widzieć danego dnia z ojcem Achimanem?

A więc zarysowuje się między nami coś, co mnie od nich ma odsunąć, coś, co mi wyraźnie mówi w twarz: „niegodny!“

A gdy mi raz Jolana jęła wywodzić o wielkich, wewnętrznych wartościach Jaszczuka, które tenże zdołał w sobie wypracować, przerobiwszy jednym skinieniem woli zbrodnię w święty czyn, wtedy odczułem, że jeśli nie uczynię zadość przykazowi Achimana natychmiast i nieodwołalnie, runę w przepaść tę, na krawędzi której już stałem, odwiedzion odeń ramieniem Achimana i białością hostji, co biła z czoła przedziwnej dziewczyny.

„Nie odtrącaj ręki anioła“ wołał we mnie głos znów przypomniany.

Jaszczuk zaświecił mi niby pochodnia w ciemności. Zbrodzień Jaszczuk!!

Zerwałem się i zadzwoniłem. Wszedł lokaj.

— Dowiedz się, czy pani przyjmuje w tej chwili — rozkazałem.

Lokaj wyszedł, a mnie jeło serce walić w piersi. Czulem, że zbliża się chwila ostatecznego spełnienia przykazu. Wyraźnie drętwiały mi nogi i ręce, a czoło zalewał ogień, w którym spalała się myśl wszelka...

— — — Współprzytomny stanąłem przed Olgą. Nie wiem co jej mówiłem; nie wiem co mi odpowiadała. Patrzałem jeno w zieleń jej oczu i miałem chęć wdrzeć się w ich tajemniczą głębokość i wyrwać im zagadkę tego uczucia, z którym Olga słuchała moich wynurzeń.

Oczu tych pogoda, której zrozumieć nie mogłem, wprawiła mnie wreszcie w niepokój taki, że, całując Olgi ręce, jąłem kąsać je jak pies, który nie mogąc zaspokoić woli pana kornem u jego stóp łaszeniem, pocznie wyć, a boleść swą i żal kąsaniem wciskać w zimną duszę pańską.

Olga aż rękę cofnęła.

Zdziwienie (czyżby udane?) nie zmąciło przecież pogody jej spojrzenia.

— Tymie! — zawołała wreszcie z przejęciem. — Tymie! ani spodziewasz się we mnie przemiany. I ja doszłam tam gdzie ty... Czy słyszysz? I ja tam gdzie ty!!

Głos Olgi wrócił mi przytomność. Porwałem ją w ramiona i z uwielbieniem wyzwolonego ducha (tak mniemałem!) jąłem wypatrywać z oczu Olgi całą prawdę jej słów.

— A więc dokonano się!... Olgo! Olgo! a więc ten dzień dzisiejszy staje się pierwszym dniem wiosny mego życia. Olgo! czegoż lękałem się, czegoż przyczajała się dusza moja trwoźna i pełna niepokoju? Więc to taki dzień ten, przed którym chronilem się tak długo? — tak długo!

— Tak, Tymonie! nie znalazłeś mnie... i — nie znasz...
Uspokój się, pomówimy jak trzeba między — przyjaciółmi.
Siądź! ot tak, posłuchaj; stanie się to, czego chcesz. Wrócę
do męża; niech nasza wspólna ofiara będzie mu wyrówna-
niem... wrócę zaraz... przewlekać nie można, mam tylko
jeszcze jedno życzenie — ostatnie już...

Tymie! już więcej niczego od ciebie nigdy żądać nie
będę. Spełnij jednak to ostatnie życzenie moje?

— Mów, Olgo!

Jęła mówić po namyśle:

— Dzień jutrzejszy to siódma rocznica mojego dzie-
wiczego wieczoru... to ostatni dzień mój... znów wieczór
dziewiczy... a potem — pójdę tam gdzie mnie posyłasz
i gdzie pójść chcę. Jutrzejszy dzień niech poświęcony bę-
dzie mnie, tylko mnie!... Chcę mieć przy sobie tylko tych,
których — kocham. Chcę, by mi złożyli życzenia tylko ci,
których — kocham.

Jolana i — ty!

Czy słyszysz, Tymie? Jolana i — ty!

Was dwoje proszę jutro w gościnę.

XXI.

Po rozmowie z Olgą zamknąłem się w moim gabinecie i jałem chodzić wzdłuż i wszerz, próbując myślą uchwycić wszystko, co się stało i przeniknąć tę niedaleką przyszłość, która niewiadomo, jak mi się ułoży.

Nie spodziewałem się tak nagłej decyzji Olgi i wyrzuciłem sobie, iż musiałem stracić wątek jej przeżyć duchowych, skoro nagła jej zgoda na powrót do męża tak mnie zaskoczyła. W jak dziwnem znalazłem się położeniu! ja kochanek ubóstwianej kobiety nie znajduję w tej chwili ni jednego słowa prośby, by mnie nie opuszczała, nie wyrażam jej nawet tego, co się w mej duszy dzieje, a może tego tylko, co się dzieć powinno, jeśli ją istotnie kocham, — ale po trzykroć ją ubóstwiam za to właśnie, że mnie opuszcza.

Chciałem wziąć w ogniową próbę wszystkie uczucia w tej chwili krzyżujące się we mnie; ale zaraz na wstępie, taki ujrzałem nawał sprzeczności, że cofnąłem się z przerażenia, iżby nie zgubić się sam w sobie. Zrozumiałem, że wszelkie rozmyślenia mogły tylko osłabić dobrą moją wolę. Cofnąć mi się nie wolno. Dzisiaj mam siebie oddać całopaleniem — Munchowi.

Na odgłos tego imienia coś mną wstrząsnęło; więc chcąc się utwierdzić w sobie, jałem uparcie i na głos powtarzać: tak! Munchowi!... właśnie Munchowi!!

Już byłem mocny.

Bracie Jaszczuku, podaj mi rękę!

Jolano! teraz oczekuję po tobie tego spojrzenia, za którym tęskniłem tak długo, a którego jeno się domyślałem. Jolano! oczy twoje niech mi będą wynagrodzeniem za postradane usta umiłowanej do niepamięci Olgi.

Ojczy Achimanie! oto jestem takim, jakim mnie mieć chcesz!

Darjuszku! ty rewolucjonisto! ty szalony zdobywco wznie-
sionych wysoko barykad życia! zali jeszcze każesz mi stać
w przedsiönku domu Achimana? Ha! jużem cię dosięgnął;
jużem ci sprostał, o niedościgły dla mnie Darjuszku!

A ty, Romanie Munchu! gdzieżeś jest, a gdzie ja?!

Bierz ją i tul do piersi i całuj te odzyskane usta, pieść
te w rozkoszy wezbrane piersi i wsłuchuj się w ten przery-
wany rytm jej serca a bacz, by które z tych uderzeń w chwili
oddania się, nie były w duszy mnie przeznaczone! Ciesz
się, Romanie Munchu! A już żadnego do mnie nie miej
żalu, bo ja nie winien, żeś ostał tam, gdzie ja byłem dawno,
żeś się pozwolił przezemnie wyprzedzić tak bardzo!

Tak! panie Munch!!

Ostatnie te słowa wykrzyknąłem głośno i zląkłem się
głosu własnego. Stałem pośrodku gabinetu, jakoby
chciał raz jeszcze usłyszeć własnych słów zuchwałe brzmie-
nie — ale nie słyszałem już nic, jeno uczułem zawrót głowy,
a wszystkie sprzęty gabinetu jęły tańcować dookoła mnie,
przepełniając pokój jakowymś niemym chichotem.

Siadłem ciężko w krzesle przed biurkiem. Prawie bez-
wiednie sięgnąłem po arkusz papieru i chwyciłem za pióro.

Napisałem list następujący do Muncha:

„Jeślim cię skrzywdził, Szanowny Panie, niniejszem
czynię zadość. Żona Twoja z własnej woli powraca do ciebie,

opuszczając mnie na zawsze. Tem spełniam daną Ci obietnicę, poręczoną honorem.

Wiedz, iż uściśnieniem ręki mojej zdobyłeś dla się utraczone szczęście. — — — Zapomnij o mnie i bądź szczęśliwy.

Tymon S.

Wiem, że list był bez sensu; ot zwykły, konieczny. Trochę czułościwej przyzwoitości — i tyle!

Im mniej, tem lepiej..

Teraz przewaga jest po mojej stronie; drogo, bardzo drogo okupiona, ale jest!

Munch tego nie odczuje, to też tem bezinteresowniejszy będzie mój czyn.

A teraz, mój szanowny Munchu, prawowity i szczęśliwy Olgi małżonku! pójdz do stu tysięcy djabłów i nie zaprzataj mi głowy lżawemi swemi afektami. Dość mam ciebie i wiedz... to wiedz, że posiędziesz Olgę nie pierwej, aż po ostatnich moich godach, aż po ostatnich moich rozkoszach, których mi nie poskąpi Olga jutro... których mi nie poskąpi...

Wszystką z niej jutro kipiącą krew wytoczę, a ogień w niej rozniecę taki, że spopieli się w niej żądza wszystka, a ona sama spali się — — — słyszysz? — spali się!

Ha! ha! ha! czy słyszysz, Olgo, jak przemawiam do twojego małżonka, który niedawno chciał ciebie kupić za pieniądze, który wszelako otrzymał cię odemnie darmo!

Idz w jego objęcia i daj mu z siebie to, co w tobie jeszcze zostawię, ale wiedz, że nie zostawię wiele... nic! nie zostawię nic, krom suchego, spalonego twego ciała, które już niezdolne będzie kochać...

Cokolwiek masz w sobie z płomienia, ilekolwiek życia, ile miłości — wiem to! — oddasz mi jutro, oddasz wszystko... A na naszą rozkosz — ach! na rozkosz naszą, która w swej

zupełności zaćmi wszystko niebo możliwe na ziemi, patrzeć będą przedziwne oczy Jolany i — może takiejże rozkoszy zapagną...

Jutro! jutro! — pierwszy to dzień mój i dzień ostatni. A co potem? co dalej? Czy pokutniczą wdzieję włosiennicę i krzyżem położę się na mego życia bujności, a żałobą przygniotę wszystkie jego chcenia i tęsknoty, wszystkie możliwości i nadzieje?

Czy tam, gdzie niema Olgi, pozostaje dla mnie jeno pustka, któraby bez przerwy krzyczała mi w twarz niezapomniane imię straconej kobiety?

Czy tam nic już mnie nie czeka? żadne serce? żadna dusza?

Jolana!... Dzieweczka czarnooka, której czoło jest hostji białości...

Oto mi jedno jeszcze ostało pragnienie. Wszelako przeczuwam już rozdźwięk ten, który jest między pragnieniem a moją przyszłością...

Jest w Jolanie siła zaklęta, co ponad życie duszę niesie, iżby ta w życiu nie ugrzęzła. Dlatego Jolana dotykowi życia nie podlega i chyba w gronie duchów kochana być może. Sam przeto mam iść przez życie, dlatego, że spełniłem przykaz Jolany? Zbędna już, że przywiodła mnie aż w dzień mego wyzwolenia i mej samotności? Ha! bywało, że samotności chciałem, a osiąść jej nie mogłem. Gdy zaś teraz samotność zajrzała mi prosto w oczy, zląkłem się; a zląkłem się, bo nie umiem patrzeć przed się, jeno wstecz; jeno wstecz, kędy uchodzi rozkosz mego życia, i wdzięk i czar i uroda.

W tej chwili chwycił mnie taki żal i taki lęk przed dobrowolną utratą szczęścia, że zerwałem się niemal już

z tem postanowieniem, iżby cofnąć wszystko, podrzeć list do Muncha, leżący jeszcze niezapieczetowany na biurku i zaraz pobiec do apartamentów Olgi, a drżący pocałunek złożyć jej w usta, zbudzić, przebłagać!!

Może ona nie śpi, może zalewa się łzami, może potrzebuje ukojenia, dobrego słowa?

— Olgo! Olgo! czy słyszysz wołanie mej duszy? czy przeczuwasz mój ból i niepokój? . . . Jeśli chcesz pocieszenia, otarcia łez serdecznych — tedy przyjdę do ciebie i uczynię co rozkażesz. Nic jeszcze nie stracone, wszystko od twego zależy skinienia!

Olgo! Olgo! Jeśli słyszysz wołanie moje, jeśli przeczuwasz mój ból i lęk, to i nie śpisz w spokojności, jeno czuwasz i walczysz z myślami, zemną pospołu!

Pójdź Olgo! złóż kojące dłonie na moich oczach i rzeknij ostatnie słowo twego życzenia.

— — — Nie rozróżniałem co mówiłem myślą, co zaś wypowiadałem głośno; rzeczywistość tonęła w uczuciu rozpaczy. A jednak wołanie moje nie było daremne.

Cicho otwarły się drzwi; przedemną stanęła jak widmo — Olga.

— Olgo! To ty!!

Nie odpowiedziała ani słowem; jeno patrzała we mnie z bladym uśmiechem na ustach i tak stała nieruchoma, piękna, cicha. Ciało jej otulone nieledwie postrzegalną suknią, że aż bladość smętna przebijała i ta mówiła do mnie miast słów, miast łez.

Olga spojrzała na list pisany do Muncha; wzięła go w rękę i przeczytała; poczem opuściła arkusz na ziemię.

— Ty nie śpisz? — szepnęła.

Ująłem jej dłonie i całować począłem, osunąwszy się na kolana. A ona palcami jąła gładzić moją głowę i szeptała obietnice, których wśród łez i szlochu zrozumieć nie mogłem.

A może to jeno przywidzenie? może uszy słyszały słowa nigdy nie rzezone? może trwoga przed uczuciem tęsknoty strąciła mnie już w bezpowrotną krainę złudzenia?... Nie widziałem nic, niczego nie rozróżniałem; w niewiedzy zaś tej wyciągałem jeno błagalne ramiona i wołałem coś do Olgi, ale ona zdała się nie słyszeć, więc jąłem krzyczeć, pytać, błagać.

Wreszcie odrzekła mi tak cicho, że nie byłem pewien, czy to jej głos słyszę, czy też odległą jakąś nutę przypomnienia.

— Jutro! jutro! — szeptały blade wargi Olgi. — Jutro, gdy przyjdzie dziewczeczka czarnooka, której czoło białość hostji ci przypomni... , chcę hostję zrumienić, miłość przemienić i włonić w me życie życia dwa...

Jutro — co dłużna ci jestem, czego ci jeszcze nie dałam — oddam... wszystko, wszystko do ostatka. Więcej, niśli chcesz... Wszystko, wszystko do ostatka...

Ledwie łowić zdołałem poszczególne słowa i połączyć je wszystkie, aby z trudem móc pojąć ich znaczenie, a już rozumiałem, że Olga staje mi się tylko dźwiękiem słów minionych, zjawionych w ostatniej tej, niepojętej obietnicy.

Zerwałem się z kłęczek.

Oprzytomniałem pod wpływem własnego głosu, własnego przeraźliwego szczeknięcia. Bo zawył znów we mnie zbłąkany pies, ten sam, co się tam tłucze jeszcze gdzieś w ciemnych zaułkach skołatanej mej duszy.

Rozejrzałem się po pokoju. Olgi już nie było; byłem sam. Jedyne znak widomy moich przeżyć tej nocy, list do Muncha leżał na ziemi, ... aha! tam leżał, gdzie go była

Olga upuściła. Podniosłem go, przeczytałem w świetle łamiących się promieni lampy elektrycznej i widniejącego już dnia.

Tak spędziłem noc, bez uprzytomnienia sobie, co było jawą, co snem. Rozejrzałem się po pokoju. Łóżko nietknięte; nie spałem wcale...

Zwolna zacząłem sobie wszystko przypominać...

W największym pośpiechu zrzuciłem z siebie ubranie; po kąpieli w lodowatej wodzie odzyskałem równowagę.

Ubrawszy się, zadzwoniłem na lokaja i zażądałem winnej polewki.

Tak! znów byłem dawnym Tymonem; już wiedziałem, co czynić; wszystko było mi jasne, wynikające samo z siebie. Zapieczętowałem list i wyszedłem na miasto.

Sam dziwiłem się sobie, że po tak męczącej nocy załatwiam swobodnie i z całym zainteresowaniem wszystkie najdrobniejsze sprawy. Wyszedszy z poczty, zacząłem waleśać się po magazynach i paczkę po paczce kazałem posyłać pod adresem Olgi. Ten i ów drobiazg, to i owo z delikatesów i słodczy na wieczór dzisiejszy. W ten sposób upłynęły prawie trzy godziny, mogłem więc już udać się do Jolany. Nietylko miałem ją zaprosić na dzisiejszy wieczór, ale przede wszystkim pochwalić się wreszcie, iż spełniłem całkowicie daną jej obietnicę.

Po raz pierwszy skierowałem się w stronę domu Achimana z uczuciem rozgrzeszenia. Po raz pierwszy miałem spojrzeć w głąb oczu Jolany z tą niezmaconą niczem pogodą, która jedna zdolna jest zawiązać ostateczną łączność dwojga par oczu patrzących w siebie nawzajem. A zdobyć sobie takie spojrzenie Jolany znaczy tyle, co osiągnąć pewien stopień rozwoju człowieczeństwa.

Świadomość ta w tej chwili pokryła wszystkie przeżyte udręki, bóle i rozdarcia. Już tylko oddalone echa łkań duszy przypominały mi codopiero przebyte chwile, a w odnawiającą się mą jaźń wstępowało nowe życie wraz z swymi rozległymi horyzontami i nieznanymi mi dotąd celami.

Już też w przeczuciu zacząłem przeżywać niedaleką przyszłość tak, jak ją sobie wyobrażałem. Dzisiaj oto miała Jolana zamknąć za mną na zawsze wrota życia minionego, a nowe otworzyć mi i przez nie wprowadzić w działanie nieznanych, wewnętrznych mocy.

Z takim oto uczuciem spieszyłem teraz do Jolany; a im bliżej byłem domu Achimana, tem gwałtowniej biło mi serce w piersi, tem zawrotniej chwytały mnie ramiona oczekiwanego życia.

Gdy znalazłem się w izbie Achimanowej, nie mogłem wydobyć z gardła ni słowa; przypadłem do kolan Jolany i łzami zrosiłem jej dłonie.

Pierwszy raz ujrzałem dziewczynę wzruszoną. Teraz dopiero pojąłem całą doniosłość wykonanego jej zlecenia i w tej chwili może nazbyt cenilem swój czyn, który wydał mi się niemal bohaterski.

Tak jest! odrobienie wynikłej z danej przewiny konieczności łącznie poczytujemy sobie za wielką zasługę. Tymczasem jest to tylko dojściem do tego *punctum vitae*, w którym byliśmy w przeddzień zapoczątkowania błędu.

A jednak czułem się uprawnionym do wewnętrznego wesela.

W tem uczuciu szczęśliwości nie zauważyłem zrazu, iż Jolana jakoby w niem nie brała udziału. Dopiero szybki powrót do zwykłego jej spokoju przymusił mnie do bacznego czytania z jej oczu myśli i uczuć niewypowiedzianych. A gdy

po długim mojem mówieniu, pełnem uniesień i zapowiedzi na przyszłość zoczyłem, że czarne dziewczyny oczy smutnieją i zapadają się gdzieś, jakoby w własną głębinę, umilkłem nagle. Milczenie zaś moje było jednym, ciąglem pytaniem. Snać zrozumiała je Jolana i ozwała się po dłuższej chwili:

— Czy pewny jesteś, Tymonie, iż nie będziesz żałował mojego pójścia dzisiaj właśnie do Olgi?

— Cóż to? — zdziwiłem się — dlaczego tak pytasz, Jolano? Jakże miałbym żałować twej obecności dzisiaj, skoro żegnać będę — Ziemię, by powitać — Niebo?! . . .

Nic nie odpowiedziała jeno zamysliła się tak głęboko, że czułem całą świętość przeżywanych myśli; to też milczałem w skupieniu, jak w chwili podniesienia hostji w kościele.

Jolana skupiła w swem międzyoczu wszystką swą tajemną siłę, która oto w tej chwili jakoby dobyła się z jej wnętrza i widomą myślą osiadła na jej białem czole. Nie była to już ta moc idąca z dziewczyny, co to czyniła ze mnie bezsilne jej narzędzie, że nie kochając jej, dla niej porzuciłem wielbioną kobietę, że nie spodziewając się po niej szczęścia, dobrowolnie porzuciłem szczęście posiadane.

Ale była w tej chwili w Jolanie moc przyszłości; tam mnie ona prowadziła i jakoby nakazywała siłę wielką i niewątpliwą wobec ucisku życia, który zdał się zapowiadać lekko ściągnięte luki brwi Jolany.

Nagle dziewczyna powstała z miejsca i wyprostowała się w swej pięknej, jak posąg, postaci.

— Nie żałuj mnie, Tymonie, pamiętaj!

— Nie pojmuję, Jolano! Wiem tylko, iż dzisiaj dopiero przemawiasz do mnie moim imieniem; za to głęboką

czuję do cię wdzięczność. Powiedz przecież, Jolano, dlaczego mnie upominasz, abym cię nie żałował?

— Bo możesz nie zrozumieć mej ofiary, a ona konieczna.

— Już zrozumiałem, Jolano! bez twej ofiary nie byłbym dokonał Achimanowego wskazania.

— Ofiary nie ujrzałeś, ale ujrzysz, Tymonie.

— Mów wyraźnie, Jolano.

— Ujrzysz sam.

Spostrzegłem, że dziewczyna nie chce więcej o tem mówić.

Umilkłem, czując po raz pierwszy podniecenie Jolany i jakieś niewiadome oczekiwanie.

Wszelkie domysły moje były daremne; cokolwiek przychodziło mi na myśl, coby Jolana uczynić mogła, tak nie stosowało się do całej jej istoty, że coprędzej przypuszczenia te odpychałem od siebie jako bezsens, mogący mnie tylko od dziewczyny oddalić; a tego najbardziej teraz się obawiałem.

Jolana wyszła z izby i niebawem wróciła, trzymając braciszka w poduszce. Z litością wpatrywała się w ładnego chłopczyka, który rozglądał się ciekawie, a uśmiechał raz w raz do swojej opiekunki.

Rzekła nagle Jolana:

— Tymonie! Nigdy cię o nic nie prosiłam; dzisiaj mam cię poprosić o — pieniądze.

Spojrzałem w oczy dziewczynie tak zdziwiony nieoczekiwanem żądaniem, że twarz jej zalała się rumieńcem.

— Tak, Tymonie, i to dla ciebie niespodzianka! A jednak proszę cię o — pieniądze.

— Ależ owszem! — jąłem tłumaczyć pospiesznie — ile potrzeba?

Jolana przymknęła oczy.

— Ile możesz...

— Sam niewiele mogę — odparłem nieco zakłopotany.

— Czy jednak przyjmiesz z pieniędzy Olgi, któremi mam prawo rozporządzać, choć uczynię to po raz pierwszy?

Rzekła Jolana, nie otwierając oczu:

— Przyjmę...

Sięgnąłem po książeczkę czekową, siadłem przy stole i jąłem wypełniać czek na sumę taką, do rozporządzenia której moralnie czułem się upoważnionym. Ręka mi drgała; ledwie poznałem własny podpis. Wręczyłem czek Jolanie, która odebrała go bez słowa. Nastąpiła głucha cisza. — Jolana pochyliła się nad niemowlęciem, chowając przedemną twarz. Patrzyłem na nią i pomyślałem sobie:

— Może Darjusz zażądał pieniędzy na kaucję za Achimana.

Ta myśl mię całkiem uspokoiła i zupełnie minął nieprzyjemny odruch, i raczej zacząłem sobie wyrzucać, że żądanie pieniędzy mogło mnie wogóle dotknąć niemile. Coś też przemawiałem do dziewczyny tłumacząc, uspakajając i bagatelizując całą sprawę.

— Wybacz Tymonie! odejdz już. Muszę teraz pozostać sama. Kilka zaledwie godzin czasu, a potem z wami wieczór, a potem... tyle czasu! tyle czasu...

— Co ci jest Jolano! — zawołałem, zrywając się i obejmując jej ramiona. A ona tylko głowę pochyliła na mej piersi, a ręce bezwładnie opuściła, że z trudem pochwyciłem jedną ręką poduszkę z niemowlęciem, które zaczęło się osuwać z kolan dziewczyny.

Jolana zemdląła.

Stan zdrowia dziewczyny wielce mię zaniepokoił; nie było przecież czasu do namysłu. Podtrzymując zemdloną jedną ręką, ująłem poduszkę z dzieckiem drugą i ostrożnie, a z pewnym wysiłkiem położyłem dziecko na stole, poczem wziętem na ręce Jolanę i stałem tak przez chwilę, wpatrując się z czcią i nabożeństwem w blade jej lica.

Wreszcie położyłem ją na leżaku i pobiegłem do kuchni po wodę. W tejże chwili weszła tam sąsiadka, którą znałem z widzenia.

— Jolana zemdlła! — szepnąłem gorączkowo. — Pomocy!

Sąsiadka jęła rozpinąć suknie dziewczyny na piersi, a ja skrapiałem jej twarz zimną wodą, poczem podałem szklankę do ust. Po chwili jęła pić i oczy w pół otworzyła. Patrzała na nas spokojna, blada, pogodna. „Braciszek“ leżący na stole począł kwilić; sąsiadka zaniósła go do kołyski i uśpiła; ja zaś siadłem na krawędzi leżaka, trzymając Jolanę za rękę, a ona moją ścisłała kurczowo.

— Miałeś odejść, Tymonie, — szepnęła i uśmiechnęła się blade. — Chwilę pozostań jeszcze, a potem pójdz i oczekuj mnie z Olgą wieczorem. Teraz chwilę jeszcze... Czy jest tu stara sąsiadka?

— Jest, Jolano. Czy chcesz, aby przysła?

— Niech przyjdzie.

Przywołałem sąsiadkę. Jolana ujęła ją za rękę i poczęła szeptać:

— Więc zgoda, dobra pani Agnieszko! weźcie „braciszka“ na wychowanie... Weźmiecie, prawda?

— Jak przyobiecałam juści wezmę; uchowa się Panu Bogu na chwałę. Starań dolożę, bo i wiem czego chcecie,

Jolano i czego chce Achiman; jeno by chleba mu nie zbrakło w życiu, ni dobrej książki!

Jolana jęła szukać ręką za stanikiem; znalazła czek i podała go sąsiadce.

— Oto pieniądze na wychowanie „braciszka.“ Dobry pan dał i w dobre oddaje ręce.

Nie będzie pani miała kłopotu z wyżywieniem małego.

Dajcie mu na imię — Tymon; ochrzczijcie wtedy, gdy do chrztu będzie dojrzały, a za całość duszy jego odpowie przed Bogiem — wasza... Niech Bóg wam poszczęści...

Słuchałem tych słów niby testamentu; z pewnym osłupieniem i lękiem patrzałem w Jolanę, czując, że jest coś, czego nie rozumiem. Jednakże nie odważyłem się pytać, bo czułem, że każde pytanie mogło brzmieć jak wyrzut; więc tylko jałem litować się sam nad sobą, że przed chwilą prośba Jolany o pieniądze mogła być dla mnie niezrozumiała.

Na życzenie Jolany opuściłem dom Achimana, zostawując dziewczynę na opiece troskliwej sąsiadki. Szedłem do domu pełen zadumy i skupienia.

XXII.

Willa rozgorzała światłem tak silnem, że wśród zapadającego zmroku zdała się kryształowym zamkiem z bajki. Wielobarwne smugi świetlne krzyżowały się w przedziwnych pasmach i trójkątach, jak obrazek w kalejdoskopie i z okien każdego z pokojów inne szło światło, różne w swej barwie i sile.

Willa swem przedziwnem oświetleniem zdała się krzyczeń na miasto całe, iż dokonuje się w jej wnętrzu jakieś tajemne misterjum, dostępne jeno wybranym trzem istotom.

Sale i gabinety zasłane były taką obfitością kwiatów i ziela, że żywe ich barwy zdawały się iść w zawody z przepychem światła — i niewiadomo czy kwiaty, czy też setki świec żywych i elektrycznych żarówek bardziej oślepiały oczy. A w tym niezwykłym obrazie, niby w stubarwnym gotyckim witrażu, Olga jak zjawia kobiety, która w swej piękności rozkwitła ponad wszelką rzeczywistość i chyba żyć może w snach artysty i w marzeniach niedościgłych jakiegoś błędnego rycerza-upiora.

— Anioł-Królowa! — wyrwało się z mej piersi ciche westchnienie, gdy wchodząc, ujrzałem Olę przez drzwi, a czar ten pomnożony był stokrotnie i więcej, aż w nieskończoność w odbiciu dwóch wielkich zwierciadeł, wiszących naprzeciw siebie.

Anioł-Królowa! Istotnie też suknia Olgi miała dostojność królewską i zarazem anielską powiewność. Delikatne fałdy przejrzystego jedwabiu o barwie wody źródlanej układały się na rzeźbionem — jak z kości słoniowej — ciele Olgi tak, że nie zmyliły ni jednej linii tego wytwornego rysunku, ale raczej wszystką przebogatych linii harmonję mistrzowsko stylizowały.

Olga i zewnętrznym wyglądem widocznie chciała podkreślić ostateczne zerwanie z wszelką dotychczasowością. Nic na niej nie było z mody, nic z piękna chwili. Ani to był strój dawny, ani fantastyczny; to była — przeszłość!

Pojąłem od pierwszego wejrzenia, że wszystko to miało przemawiać do mnie bardziej, niż cała nasza uroczna, a przemijająca w tej chwili przeszłość, wspólnie przeżyta.

Zbliżywszy się, zauważyłem istotnie niezwykłą pomysłość toalety Olgi, bo oto lniane złoto włosów jakąś przedziwną falą spływało po przez ramiona na piersi i łączyło się z suknią, jakoby jedną tworząc całość.

Olga powitała mnie ruchem rozkosznym, a jednak tak majestatycznym, że z podziwu przystanąłem, patrząc w tę postać kobiecą jak w sen.

Wzięła mnie za rękę, poprowadziła na środek sali i obróciwszy się dookoła siebie, ruchem starożytnej egipcjanki kazała się podziwiać, czcić, wielbić.

Poczem znowu ujęła mnie za rękę i jęła oprowadzać po wszystkich gabinetach, ciesząc się jak dziecko z swych niewyczerpanych pomysłów. Każdy z gabinetów skąpany był w innem świetle — istotnie siedm barw tęczy!... Każda z barw jest symbolem jednego okresu naszej miłości. Tak mnie objaśniała Olga; ale nie było czasu na zastanawianie

się i wracanie myślą w przeszłość, bo wciąż nowe czary, nowe niepodziane zjawiska świetlne.

W buduarze wreszcie, skąpanym w błękicie, stanąłem oczarowany ujrzanym nagle obrazem.

Suknia o barwie wody, okalająca ciało Olgi, jakoby znikła w powodzi błękitnego światła i w pastelowych odcieniach seledynu zarysowała się przedemną Olga naga, przejrzysta, niby biały cień nieuchwytny, bezszelestny... Czarownych kilka ruchów tanecznych, potem wir szalony aż do niepamięci i ruch miłosnego oddania...

Nagła ciemność; obraz znikł, a w pustej, czarnej przestrzeni rozległ się szaleńczy śmiech, opętany śmiech wyuzdanej rozpaczy.

Chwila ciszy. Ciemnię nagle rozdarł ostry strumień światła purpurowego. Olga stała ubrana jak przedtem opodal drzwi wiodących do sypialni. Ręką uchyliła oddrzewia, z poza których biła purpura rażącego światła.

Weszła do sypialni.

Ledwie stanąłem w drzwiach, oślepiła mnie paląca czerwień do tyła, że zrazu nie widziałem nic przed sobą. Powoli zacząłem rozpoznawać czarowne szczegóły nowego obrazu. Oto w powodzi pąsowych goździków, których woń upajała niemal do miłosnego szaleństwa, tonęło łoże zasłane bogatymi puchami i jedwabiami, a na niem w półomdleniu ONA... z wyciągniętymi ku mnie ramionami, wołająca niememi usty ostatniej pieśczozy, ostatniego pocałunku.

W tej chwili poczułem, że pod wpływem tych rąk i tego uśmiechu załamuje się we mnie wszystko postanowienie, że rozstępuje się pod ogniem tej purpury skrzątnie i z takim trudem budowana lepianka, którą wyniosłem i pewnym gmachem już mniemałem.

Chwila wielka! Wszystka przeszłość uderzyła we mnie z taką siłą, iżę ugiąłem się i skuliłem w sobie. Zasłoniłem oczy. Moc Olgi nie słabła.

Ramiona czarownej kobiety ku mnie wyciągnięte i nieme, błagające usta... Wtem!... Ach! Muncha piekące dłoni uściśnienie!...

I sprzęły się w zajadłej walce dwie moce nieubłagane -- człowieka uścisk dłoni i kobiety pocałunek.

I wszystkich kwiatów purpura i czerwień światła rozlały się przedemną potokiem krwi; a krew płynęła z onej walki, która dokonywała się właśnie we mnie. Tak we krwi płynęła Olga ku mnie, z wyciągniętymi ramionami, zemdlona z rozkoszy kochania. I już przestałem czuć piekący uścisk Muncha, bo słodycz Olgi mocniejsza była nad wszystką pamięć minionych bólów, gdy nagle uczułem na sobie owo spojrzenie, które po raz pierwszy na mnie spoczęło w krwawy rewolucji dzień, na ulicach miasta... Tak! to samo spojrzenie!

Oczy Jolany!

Przez chwilę nic nie widziałem, ani zdawałem sobie z tego sprawę, co się ze mną działo. Czułem tylko, że mnie prowadziły ręce anioła, ciche, łagodne, kojące.

Chociaż po pewnym czasie odzyskałem nieco świadomości rzeczy, to z trudem tylko rozpoznałem ten nieuchwytny moment zdarzeń, który rozgraniczał dokonujące się we mnie przemiany od spełniających się rzeczy widzialnych i dających się określić codzienną pamięcią. To też nie zdołałem już powiązać wszystkich wrażeń, które bawiły się mną, jak swawolne dzieci dojrzałą pomarańczą. Wiem tylko, że Jolana przyszła, jak była obiecała, że siedliśmy we troje do wieczery, która miała być biesiadą chyba Lukullusową.

Wszelako wszystko, co zewnętrzne, przechodziło mimo mnie i jeno spojrzenie oczu Jolany znaczyło w mej duszy te ostatnie tajemnego tworu akcenty, których sam nie byłbym zdolny dokonać.

Jolana była milcząca; ledwie raz wraz padło jakieś obojętne jej słowo. W sobie skupiona, pogodna, cicha, słuchała wesołego mówienia Olgi; ale wiedziałem, że tak jak i ja nie słyszała nic, ani troszczyła się o zrozumienie niezwykłego podniecenia Olgi.

Na chwilę wpadłem w pewne otrzeźwienie i oto dwie te kobiety jawiły mi się w momencie przecłowieczenia się mej istoty. Obie zaciążyły na mym losie i na mych uczynkach jak nieodwołalne fatum.

Co? Obie?

Czyżby!?

Ostatecznie jedna z nich zwyciężyła! Tak! Zwyciężyła Jolana. I choćbym był uległ w ostatnim oka mgnienu, kiedy to cały ogień kobiecej miłości i szału oblał moje zmysły, kiedy to ocean purpury i światła odebrał mi moc panowania nad sobą... Tak! wtedy — choćbym był uległ; wiem, iż w czas jeszcze podźwignęłaby mnie Achimanowa dziewczyna, jak podźwignęła swem zjawieniem się w ostatniej może już chwili walki.

Olgo! jesteś pokonana!

I może dlatego właśnie nie mogę oderwać mej duszy od ciebie, choć oddałem ją już niepodzielnie — Jolanie. Może dlatego właśnie!...

I bezwiednie jęła wołać ma dusza takiego Olgi czynu, któryby mnie przymusił do ostatecznego odwrócenia się, aby już nigdy nie spojrzeć w ten czar Ziemi, który bezsprzecznie skupia w sobie przedziwna ta kobieta.

Czyn ten miał nastąpić. Tak! Był on potrzebny, był nieodzowny, aby dokonało się dzieło, o które modliła się co dnia dusza Jolany.

Coś mnie tknęło, coś mną wstrząsnęło, ale nie wiedziałem co to było. Niespodzianie tylko w pamięci mej odżyły słowa Jolany o całkowitej ofierze, a potem jej pytanie wczorajszego dnia, zali nie będę żałował przyjscia jej do willi.

Wszystko to płatało się bezładnie w mej głowie, że jeno ostało we mnie to przecucie, iż Jolana wie co czyni, a ja stałem się tylko narzędziem w jej ręku, że Jolana zna wyniki swych dążeń, a ja ich nie znam, że wie co stać się musi podczas gdy ja nic nie wiem.

Wśród takich myśli nie zdołałem przysłuchać się z uwagą niezwyklej wymowie Olgi; to też treść jej słów wogóle nie dotykała mojego wnętrza i raz wraz jeno uderzała mnie Olga swem nadzwyczaj estetycznem wzięciem, czarownym dźwiękiem swego głosu i wielkim stylem, który zjawił się w niej dzisiaj w takiej potędze i w takim uroku, że przyćmił wszystko, co widziałem dotąd pięknego i wyszukanego w tej niezwyklej kobiecie.

Po wieczery i czarnej kawie przeszliśmy do salonu. Olga poustawiała własnoręcznie w czterech rogach wielkiego kobierca po jednym trójnogu, z których każdy dźwigał misternej roboty srebrne naczynie. Zwyczajem swoim wznieciła Olga w naczyniach owych woniejące dymy, tym razem obfitsze niż zwykle. W mgnieniu oka napełniła się sala gęstym błękitem upajającej woni.

Jolana siedziała na kanapie; Olga przystąpiła do mnie, ujęła swobodnie za rękę i poprowadziła w stronę Jolany. Zanim zdołałem się obok dziewczyny, Olga nagłym ruchem

objęła mą szyję i wargami wpiła się w moje usta i wyszeptała:

— Żegnam cię, Tymonie!

Stałem oszołomiony. Olga oddaliła się, już tylko mglista jej sylweta majaczyła mi w gęstej powłoce powszechnego dymu.

Siadłem obok Jolany i spojrzałem jej w oczy, jakbym czekał w nich przebaczenia, albo chciał się tłumaczyć.

Ale Jolana zdała się być myślami nieobecna.

Zapatrzona w dal niewiadomą najwyraźniej wargami szeptała modlitwę.

— Coś tu jest — pomyślałem sobie — coś wokół nas krąży, czego ja nie wiem, a co zbliża się do mnie, coś, co jest wiadome Jolanie... a może i Oldze?

Na chwilę ogarnął mnie niesamowity lęk; podszedłem do Olgi, która w tej chwili siadła do fortepianu. Nie zdążyłem zagadnąć, ani nawet rzucić pytającego spojrzenia. Olga uczyniwszy szeroki ruch głową, oburącz rozchyliła suknię na piersi tak, iż ją całkowicie obnażyła i zaśmiała się śmiechem rozkosznym, a tak szatańskim, że mimowoli cofnąłem się ku Jolanie.

Szaleńczy śmiech zakończył się rozpaczonym tryłem na klawiaturze i akordem, który wstrząsnął całym moim ciałem.

Czułem, że tu się coś dzieje, ale już nie miałem mocy przeciwdziałania. Woń dymu odebrała mi już była władzę nad sobą samym. Zatoczyłem się i ciężko siadłem na kanapie obok Jolany. W tejże chwili usłyszałem wyraźnie słowa modlitwy dziewczyny:

— Daj Panie moc ofiary!... Niech się dokona wola Twoja, niech Ci się narodzi CZŁOWIEK...

I drgnęła nieznacznie dziewczyna, spostrzegłszy, że mogłem dosłyszeć słowa jej modlitwy; ale ja już niemocny byłem i wół zdrętwiały.

Z drugiego zaś końca sali szły ku mnie dźwięki instrumentu i śpiew Olgi.

Śpiewała mi pożegnanie.

Ani zdołałem uchwycić treść pieśni, ani pojąć melodję; wiem tylko, że Olga mówiła więcej, niż powiedzieć może kochanka wracająca do męża i więcej, niż czuć może kochająca kobieta, żegnająca swe szczęście.

O! więcej!

Ogarnęło mnie rozrzewnienie, a tony pieśni przeobrażały się w widzialne zwoje cieni i mamideł.

Z srebrnych naczyń na trójnogach buchały błękitne dymy coraz obfitsze; wreszcie snuć się z nich jęły żółtozielone nitki, które w ostrych, lekko zarysowanych konturach poruszały się w całej przestrzeni sali i powoli zmieniły woń kadzideł w gryzący czad.

Ująłem rękę Jolany; chłodna była i bez ruchu. Poczulem nieodparta potrzebę skłonienia głowy na ramieniu dziewczęcia i tak zwolna zacząłem usypiać. A w okół obłoki wonne, a w dali pieśń i dźwięki strun, a przy mnie Jolana, biała jak hostja, cicha, rozmodlona...

Przechyliłem głowę. I Jolana ku mnie głowę skłoniła, a zimnym skurczem ścisnęła mą dłoń. W tej chwili ogarnęło mnie uczucie świętego, nigdy nie zaznanego upojenia; prawie bezwiednie nachyliłem się ku ustom Jolany. Pocałowałem je i w tejże chwili mróz przeniknął moje ciało. Usta Jolany zimne były!... Chciałem się zerwać, krzyknąć. Nie miałem siły; spojrziałem w twarz Jolany. Biała była i pod-

cieniona siną barwą trupa. Oczy w pół przymknięte. Wątpi jej dłoń w skurczu zamarła na mojej.

Wydawało mi się, iż wiem wszystko.

Straszliwa rzeczywistość spojrzała mi w oczy — i znikła. Nagle umilkł przeraźliwy już i nierównie urywany śpiew Olgi.

Niepewnym wzrokiem powiodłem po sali i osłupiałem.

Wszystkie kwiaty martwe, spopielone obwiesiły się na skręconych łądygach, a liście zgoła zwęglone. Z całego przepychu, bukietów i girland ostały jeno suche wiechcie i powrozy. — Kwiaty umarły!

Ledwie dostrzegalne, żółto-zielone pasma czadu dopowiadały mi reszty.

Zrozumiałem!

Zerwałem się i poskoczyłem ku Oldze. Stałem przed nią i przeszylem wzrokiem ostatecznej rozpacz i wyrzutu... a ona?...

Ona jak przyczajona łasica postąpiła na moje spotkanie, i powolnym ruchem powiodła ręką po sali.

— Oto są kwiaty naszej miłości — szeptała — trupy! trupy! trupy! Oto jest twoja umiłowana dziewczeczka czarno-oka, której czoło jest hostji białością, która to przyszła miłość spopielić, by w hostję przemienić i włonić w swe życie życia dwa...

I oto jestem ja, której kwiaty spaliły się twoją miłością...

Ona i ja! Jolana i Olga — dwa trupy! Kwiaty! Kwiaty! spopielone kwiaty!

I oto ty jesteś Tymonie! ty pośród kwiatów kwiat, ty pośród trupów — trup...

I już nic z miłości nas nie wyzwoli, i już nic nie wyzwoli nas z trucizny. My rozkochane w sobie trupy wśród

kwiatów spopielonych! Patrzaj! Tymonie! oto taka jest miłość moja! oto taka!

I nagłym ruchem zdarła z siebie pół sukni i zaśmiała się tak straszliwie i tak przeciągłe, że jeno już wycie jakieś słyszałem i potępieńczy skowyt, a potem głucho, urywane charczenie, coraz cichsze, coraz bardziej zdławione.

Olga leżała na podłodze, wijąc się w konwulsjach.

Chciałem pochwycić, ratować, wołać pomocy, pootwierać okna i drzwi, iżby rozpedzić jad czadu — ale w tej chwili zdławił mnie skurcz gardła i straszliwy, piekący ból poczułem w piersi. Zatoczyłem się i padłem na ziemię opodal nieruchomej już Olgi. Ostatnim wysiłkiem porwałem się i dowlokłem do wpół siedzącej, wpół wyciągniętej na sofie Jolany.

Trucizna paliła mi wnętrzności; wśród żrącego bólu w piersi i dławiącego szlochu padłem twarzą na martwe kolana dziewczyny.

— — — Delikatne, żółto-zielone smugi czadu spowijały nas długo, wszystką tajemnicę życia łoniąc w siebie i dokonując ostatnich przemian, będących już poza naszą świadomością tego życia.

XXIII.

Ciemne koszmary z wolna jęły uchodzić; tchnienie ich wszelako wciąż czułem wokół siebie i mnogie spostrzegalem ich ślady.

Już ciężkie, męczące wspomnienie przebytej z koszmarami walki osiadło na mej piersi, która dyszała ciężko. Raz wraz dotkliwy ból palił płuca i krtań, a skurcz chwycił wtedy, gdy miałem coś przemówić do pielęgnującej mnie siostry.

Uprzytomniłem sobie wreszcie, iż leżę chory w szpitalu.

Chwile przytomności nawiedzały mnie coraz częściej, że wreszcie pewnej nocy, gdy leżałem na wznak bez ruchu całe godziny wpatrzony w skaczący na suficie refleks nocnej lampki, jęły mi się rysować w oczach kształty straszliwych przeżyć. Tak! każda myśl, każde wrażenie, każdy ucisk duszy, lęk i przygniatające oczekiwanie — wszystko to jęło układać się w formy dotykalne, żywe i nieodwołalne.

Patrzałem teraz w nie jak w ciekawe zjawy; zimnem patrzałem okiem, okiem badacza, obserwatora. Nie inaczej!

I gdy począłem zastanawiać się nad własnym stanem, poczułem się nagle... tak! poczułem się — wyzwolonym.

Z czego?

Zrazu nie umiałem na to znaleźć odpowiedzi. Próbowalem tedy odszukać w pamięci wszystkie mego życia podstawowe szczegóły, które złożyły się na mój stan obecny. Daremny był to wysiłek.

Nie zdołałem nawet uprzytomnić sobie ani środowiska, w którym żyłem dotąd, ani ludzi, którzy byli mi bliscy, lub którzy choć pośrednio mogli mieć łączność z mojem życiem.

W tej chwili nie wiedziałem nic i tylko czułem się — wyzwolonym!

Drećzyło mnie ustawicznie pytanie: z czegom ja wyzwolony?...

Po długiem, natężonem myśleniu zdało mi się, jakobym usłyszał przytłumiony szept dobywający się z wnętrza ściany.

Szeptowi odpowiedziałem szeptem:

— Z czego wyzwolony?...

Wyraźnie usłyszałem odpowiedź:

— Z ludzi...

I w tej chwili poczułem gwałtowne obroty dokonujące się w mej nadwątłonej świadomości. Wewnętrzne jakieś prężenie niewiadomych mocy, jakieś zmaganie się, przechodzące w bolesny skurcz. Jąłem oddychać ciężko i z wysiłkiem, aż nagle piekący ból chwycił mą krtani; odkaslnąłem cicho i boleśnie.

— Człowiek wyzwolony z ludzi!

To zdanie jąłem powtarzać sobie, skoro minął ból w piersi i w krtani, a jeno kojący pot osiadł kroplami na mem czole.

— Człowiek wyzwolony z ludzi!

Oto jedyna prawda, której treść w tej chwili umiałem myślą pochwycić, i wydało mi się, że jest to myśl podstawowa i bardzo oczywista, a prosta; czemu więc dzisiaj dopiero po raz pierwszy zjawiała mi się myśl owa?

Ktoś zbliżył się do mnie.

To siostra!... Tak! istotnie, siostra szpitalna. Zaga-dnęła mnie, dopytując się troskliwie, dlaczego leżę tak niespokojnie, a nie śpię i jąła poprawiać poduszkę pod moją głową.

Nie wiem dlaczego upatrzyłem sobie w siostrze istotę, która przyszła zburzyć mą myśl tak ciężko wywalczoną, a zjawioną w chwili bolesnego skurczu mych spalonych wnętrzności. Ona to przyszła zniweczyć tę prawdę nieodwołalną, która ośwładnęła całą mą istotą i była w tej chwili jedyną moją siłą: „Człowiek wyzwolony z ludzi!”

Zbliżenie się siostry zdało się zadawać kłam tej zdobytej prawdzie. Powziąłem myśl obronienia jej, nie dopuszczając do siebie jakiegokolwiek ludzkiej istoty.

Już też skurczyłem się w sobie jak kot do walki gotowy.

Chciałem zawołać, ostrzec siostrę, rzucić jej jakieś słowo straszne, potworne, iżby z lękiem oddaliła się, ale ona położyła miękką, kojącą swą dłoń na moim czole i mówiła mi, coś, co nie było mi wrogię, mówiła coś, co mi zaczęło siły odbierać i kruszyć chęć walki.

A więc pokonany jestem! a więc ta mizerna, obca mi, zgoła obojętna istota ubezwładniła mnie jednym dotknięciem ręki! O! jakże byłem słaby!

Cóż więc! zali ja człowiek wyzwolony jestem od ludzi?! Popatrzyłem ostro w oczy siostry. Smutne były i wpatrzone w siebie. Usta jej skrojone, jak usta Madonn Luiniego, poruszały się nieznacznie, wciąż przemawiając do mnie, ale słów tych zrozumieć nie mogłem.

Nagle zerwałem się i siadłem na posłaniu.

— Siostro! — zawołałem, — powiedz mi, siostro, czy ty należysz do rzędu — ludzi?

Nie odpowiedziała. Spojrzała na mnie złęknionemi oczami, poczem dość stanowczo kazała mi się położyć i leżeć spokojnie. Jąłem błagać, aby mi odpowiedziała na pytanie.

Posłuszny jej przykazom leżałem na poduszkach cichy, pokorny prawie i jeno tłumaczyłem, że od jej odpowiedzi

zależy mój stan, bo ona właśnie może do się wzbudzić ufność we mnie, jeżeli szczerze odpowie mi na to pytanie.

Rzekła wreszcie cicho:

— Jeżeli panu trzeba mej odpowiedzi...

— Tak, siostrze! powiedz: czy należysz do rzędu ludzi?...

Westchnęła głęboko, a łza zaświeciła w jej oku.

— Już — nie... rzekła ledwie słyszalnym głosem.

— Nie? — zawołałem z przejęciem. To dobrze! to bardzo dobrze, bo i ja...

Siostra nie pozwoliła mi mówić dalej. Podała jakoweś lekarstwo i po chwili straciłem wszelką świadomość.

Śnać zasnąłem.

Mijały dni i tygodnie, a ja w bezsenne noce wciąż wpatrywałem się w migocący na suficie odblask nocnej lampki i nie mogłem zeń nic wypatrzyć.

O ile doniedawna każdorazowe zbliżenie się siostry wywoływało we mnie odruch dęku i sprzeciwu, o tyle teraz obecność tej kobiety, która przecież też już nie jest w rzędzie ludzi, działała na mnie kojąco. Po niej jakim czasie zacząłem nawet odczuwać potrzebę jej towarzystwa. Zwolna ośmielałem się też do niej, a ona była coraz przyjaźniejsza... tak mi się wydawało.

Razu pewnego zagadnąłem siostrę bez ogródki.

— Więc i siostra wyzwolona z ludzi?

Spojrzała na mnie pytająco, poczem skinęła głową; wreszcie rzekła obojętnie:

— Cóż w tem dziwnego, skoro jestem siostrą miłosierdzia?

Umilkłem i myślałem długo.

— Czy wyzwoliłaś się, siostrze, sama z własnej woli i mocy? — jałem pytać natarczywie po pewnym czasie, a ona

patrzała we mnie niebieskimi, nieco ukośnymi oczami; zda się, wdzięczna była za te pytania. Badałem więc dalej nieustępliwie, aż mi odrzekła:

— Wyzwoliłam się sama, z własnej mocy, choć nie z własnej woli.

— Jak to? — pytałem, starając się rozumieć taką możliwość — z własnej mocy, a z woli cudzej?!

— Odgadłeś pan.

— To niemożliwe!

— Czemu niemożliwe, skoro pan mogłeś wyzwolić się z własnej mocy i z woli własnej?

— To jest możliwe, — rzekłem — bo moc z woli się rodzi.

— Czasem z musu — wtrąciła siostra, poczem westchnęła:

— Lepiej nie mówmy o tem.

— Czemu? — zdziwiłem się — Czemu nie mamy mówić o tem, co dla nas może jest najważniejsze?

— To minęło, więc nie może być już ważne — przynajmniej dla mnie.

— A dla mnie jest ważne — rzekłem.

— Dla pana może... Dla mnie już wszystko zamknięte. Ostateczną decyzją poświęcenia się miłosierdziu i przekreślenia całego już życia i wszystkich jego rozkoszy, złud i pragnień (tu przyciszyła głos) — zmazałam już winę, która po mej stronie była. A pan?... Ach Boże! czy dobrze, że i ja przykładam rękę do tego, co pana czeka?

— Co mnie czeka? — zdziwiłem się. — Co mnie może czekać?

— Nie mówmy o tem — przerwała nagle siostra i odeszła do okna.

Blade miesiąca światło padało na jej twarz, w którą patrzyłem z niewytłomaczonym wzruszeniem. Spostrzegłem, że siostra płakała.

Wtedy jąłem przywoływać ją natarczywie. Wreszcie gdy zagroziłem, że nie bacząc na mój stan zdrowia, znajdę dość sił, aby wstać i ją przyprowadzić, wtedy uległa. Siadła na krześle obok łóżka i, nie czekając moich zapytań, rzekła:

— Pan nie zdaje sobie widocznie sprawy z swego położenia.

— Zupełnie nie zdaję sobie sprawy pozatem, że wiem, iż doszedłem do wyzwolenia z wszystkiego.

— Cóż to za wyzwolenie?! Teraz więżą pana w szpitalu, a potem?

— Cóż potem?

— Potem uczynią z panem to, co uczynili z Jaszczukiem; jeno, że on dobrowolnie oddał się im w ręce... Takie to pańskie wyzwolenie?!

— Uczynią to, co uczynili... z kim?

— Z Jaszczukiem.

— A co uczynili z Jaszczukiem? Kto jest Jaszczuk? co mogą uczynić ze mną?

— To pan nic nie pamięta? A zresztą... zresztą ma pan słusność. Poco ma pan zwierzać się mnie?... przecież mogę być wysłana na przesłpiegi.

Nastąpiła długa chwila milczenia, przerywana jeno skwierczeniem knotka olejnej lampki.

Siostra patrzyła na mnie, jakby oczekiwała zaprzeczenia, lub jakowejś odpowiedzi.

Milczałem, bo nie wiedziałem, o czym ona mówi. Snać przeżywała ciężkie jakieś chwile. Ale czemu ona do onych chwil wciągnąć chce moją osobę? Liczne domysły płątały

się w mej głowie, że wreszcie wszelki straciłem wątek myślowy; utrwaliło się w mej pamięci jedynie nazwisko „Jaszczuk.“

— Kto jest Jaszczuk? — zagadnąłem nagle.

— Obecnie więzień; odpowiadać ma przed sądem za zabójstwo.

— Kogo zabił?

— Mojego narzeczonego.

— Aaa!...

— Z zazdrości, bo wpierw obiecałam była wyjść za Jaszczuka.

— Aaa!...

— Jaszczuk zabił.

— Aaa!...

— Bo ja wreszcie nie chciałam wyjść za Jaszczuka, jako że przeciwni się rodzice, bo on był prosty chłop, a my dzierżawcy lepszego folwarku. A narzeczonego mój był też chłopskim synem, ale po ojcu cały grunt dziedziczyć miał.

Z gniewu więc zabił Jaszczuk rywala.

Jeden zabity, drugiego zabiją — to i z ludzi jestem wyzwolona, a jakże!

Poniechałam wszystkiego, bo wszystko musi być wyrównane, więc dla wyrównania winy, oddałam się na zawsze miłosierdziu.

A pan co? Jakie jest pana wyzwolenie?

Ostatnie słowa wyrzekła z drżeniem w głosie i czułem, że koniecznie chce wypowiedzieć coś ważnego. Nie przeszkadzałem jej i milczałem.

Rzekła wreszcie w pół do siebie:

— Boże! czemu miłość tyle pochłania ofiar? Tu dwóch mężczyzn, tam dwie kobiety!

— O czem mówisz, siostrze?

— O mojej miłości i...

— I... o czem jeszcze? — pytałem dalej.

— I o miłości pana.

— O mojej?

— ... która kosztowała życie aż dwóch kobiet!

— Moja miłość? — dziwiłem się szczerze.

Siostra zawahała się. Milcząca patrzyła mi w oczy; rzekła wreszcie niepewnym głosem:

— Więc to nie pan otruliś obie swe kochanki?!

— Co to jest? Siostrze! co ty mówisz?!

Okrzyk mój musiał być bardzo przekonujący. Siostra przeraziła się; zasłoniła oczy i szeptała:

— Boże! cóż uczyniłam! Nie powinnam tak mówić do pana...

— Czemu, siostrze? — spytałem łagodnie.

— Pan chory, trzeba panu spokoju. Ale — tu siostra spojrziała na mnie z takim wyrazem litości, a równocześnie takie zabłysły w jej oczach iskry buntu, że chwyciłem ją błagalnie za rękę i jąłem zaklinać, aby mówiła dalej, jeśli chce mnie uzdrowić.

Jęła mówić pospiesznie:

— Bo i pocóż panu zdrowie? czy po to, by pan z większą świadomością winy zniósł wyrok? a potem... ach!

— Siostrze! — przerwałem — o czem mówisz? O jakim wyroku?

Siostra nachyliła się ku mnie i głosem pełnym trwogi wyszeptała prędko:

— Obwiniają pana o otrucie dwóch kobiet. Sądzić będą... Czy pan zapomniałeś co było?

— Mnie posądzają o otrucie dwóch kobiet? jakich kobiet?

— A czy pan nie wiesz, — ciągnęła siostra pospiesznie — że sam jesteś struty i leczysz się w szpitalu? czy pan nie wiesz, że trując tamte kobiety, sam się otrułeś?

— Ja? ja? — pytałem bez jakiegokolwiek świadomości rzeczy.

— A ten ból w piersi, to co? — mówiła siostra — to trucizna spaliła płuca... Tamte umarły, pan ocalałeś...

— Tamte umarły... — szeptałem mechanicznie i bezdźwięcznie.

— Żona Muncha i córka starego żyda, córka Achimanowa...

— Żona Muncha... córka Achimanowa — powtarzałem — a cóż ja? cóż ja?

— Pan kochałeś obie te kobiety!

Chwila ciszy. Nagle rozległ się za ścianą urywany krzyk a potem przeciągłe jęki.

Na korytarzu dzwonek. Siostra wybiegła. Oddalony niepokój dochodził do mych uszu; wszelako głucha była dusza moja na pojęki ludzkie i zgoła obojętna.

Począłem rozmyślać o dowodzeniach siostry.

Dowiaduję się oto, że kochałem dwie kobiety! jakże to być mogło? Kochałem, a nie Kocham! Kochałem dwie, nie Kocham żadnej?

A może ja Kocham którą kobietę, jeno że nie zdaję sobie z tego sprawy?

Jaszczuk?... Tak, ona mówiła o Jaszczuku... Śmieszny człowiek!... zabił człowieka! POCO ON ZABIŁ CZŁOWIEKA?! ŻE KOCHAŁ, WIĘC ZABIŁ?! A ona uciekła z rządu ludzi, bo kochała?... Ha! ha! ha!!!

A potem mówiła o żonie Muncha. To ja ją zabiłem! Ja? — a ja!

Tak ona mówiła; tak mówiła siostra. I córka Achimana?! i tę ja zabiłem? ja? — a ja! Tak mówiła siostra. I obie kochałem? Obie! Kochałem i zabiłem! Ha! ha! ha!

Długo bawiłem się myślami, jeno raz wraz przerywał mi tę zabawę bolesny kaszel. Zdawało mi się, że czytam interesujący romans, którego treść bardzo zawiła wymaga pewnej dozy inteligencji czytelnika, iżby zagadkową książkę zrozumiał.

Nie mniej przecież byłem z siebie zadowolony; wreszcie czemś znowu zajął się mój umysł i począł czegoś szukać. Męcząca była niemożność znalezienia założeń czytanej historii. Jakże miałem zrozumieć opowiadanie, skoro zapomniały mi się gdzieś pierwsze stronnice książki?

Czytam na odwrót, od ostatniej stronnicy począwszy, ku tym zagubionym; stronnice każdą od dołu do góry.

Ta oto odwrotność powoli wprowadza mnie w istotę romansu. Już coś zaczynam rozumieć, coś wyczuwać... Aż nagle przeczytałem imię: Olga.

Dreszcz wspomnienia przebiegł moje ciało. Dreszcz zimnego wspomnienia! — przeszedł i już nie wrócił.

— — — Mijały długie godziny, a myśl moja błąkała się bezładnie w jakichś zapomnianych zawiłościach i jeno wracała ustawicznie do jednego pytania: jakaż to jest książka, która mnie tak całkowicie pochłonęła?

Uparte szukanie tytułu, chęć uprzytomnienia sobie wyglądu książki, jej oprawy, układu, czcionek i papieru... To takie ciekawe, a takie nieuchwytnie!

Już też coraz wyraźniej jąłem czytać motto książki, czy jej znak, czy niewiadomy jakiś napis, który wszelako zdał się wznosić jakoby ponad książką, albo świecił aureolą dokoła.

Już też zdołałem przeczytać: „Nie pierwszej czytać ją będziesz, aż ci mnie zabraknie.“

Cóż to? Znane kiedyś, acz zapomniane słowa!

Jąłem szukać myślą w całej literaturze, jąłem odgadywać nazwisko autora... w pierw pośród tych, których wielbiłem, potem pośród tych, którzy byli mi obojętni, albo których myślą i ideją zwalczałem.

Jakkolwiek niepoślednią posiadałem w życiu znajomość literatur wszystkich niemal narodów, to jednak nie mogłem sobie uprzytomnić w tej chwili ani autora owego zdania, które mnie dręczyło, ani dzieła, w którym ono pomieszczone być mogło. A jednak słowa te dźwięczały mi wyraźnie w uszach, że bodaj nawet głos słyszę, który je wymawia, że już niemal widzę twarz człowieka, mędrca, starca i dłoń jego kościstą położoną na książce, a wyciskającą na niej nieodwołalne piętno Prawdy.

Nagle, niespodziewanie wyrwało się z mej schorzałej krtani westchnienie: Achiman!!

I oto wyraźnie krzyczała we mnie ta odwrotność, która na wspak kazała mi czytać zawiły ten romans. Bo imię Achimana stało się we mnie słowem samo przez się, nie będąc wynikiem pracującej myśli. Przeciwnie, skoro westchnienie stało się dźwiękiem, a dźwięk słowem, a słowo imieniem, wtedy dopiero ożyła myśl i pobiegła do — domu Achimanowego.

Tak tedy odwróciła się snąć moja dusza, że dopiero w odwrotności znaleźć się zdołała i w niej czytać istotność życia i prawdę przeżyć.

Już też coraz jaśniej widziałem nierozzerwalną całość życia i jego dążeń *punctum ultimum*, to tajemnica spoj-

rzenia zaklętych w me życie oczu, tajemnica rozjaśniona przedziwną hostji białości...

Jolana!!

Myślałam jętem obłuskiwać prawdę mego życia z wszystkich mego zmyśleń i oszukań. Zwolna też prawdę widzieć zacząłem.

I znów utonąłem duszą w czytanej książce, a teraz już zoczyłem wielki na niej napis, tytuł wymowny, nienasuujący żadnych już zmyśleń. Oto przeczytałem tytuł: „CANIS.“

Oto jest książka, którą ofiarował mi był Achiman, to był klejnot mego skarbnicy.

Canis! Książka ta, to zwierciadło mego życia! Czy tylko mego? Niech każdy odpowie sobie i życiu swojemu. Ja biorę ją w życie mego posiadanie, bo już nauczyłem się czytać; a umieć czytać to znaczy umieć żyć. Jakie czyta czełek książki, takie przeżywa życie, jak czyta, tak żyje.

A przekleństwem było me, że nie mogłem znaleźć dla się książki, to też czytanie me nie było zgodne z życiem. Uzgodnił je dopiero Achiman.

Canis!

I cóż? Zali lęk nie ima się krtani mej schorzałej, zali wspomnienie psa zbłąkanego w mej duszy i włóczącego się po zaułkach mego miasta — psa skulonego — nie skomli we mnie na ostatek ten, który — widzę to dziś jasno — zamyka księgę mego zmylonego bytowania?!

Nie! Ani czuję lęk, ani skomli we mnie dusza.

Pies zbłąkany — zda się — mnie opuścił. Dzisiaj dopiero pojąłem istotę mego, dzisiaj go zrozumiałem, gdy mnie już nie nawiedzał!

— — — O psie tym zbłąkanym mówiła dużo książka, dana mi przez Achimana.

Przeczytawszy stronic niewiadomą ilość (numerowane nie były, jako nie są numerowane stronnice mego życia) jałem z wolna rozpoznawać własne, minione przeżycia.

I może po raz pierwszy spostrzegłem, że przeżycia moje nie są przeżyciami same w sobie, że nie są oderwane od ogólnego splotu bytowania ludzkiego, ale że z nimi ściśle związane są przeżycia innych ludzi.

Tak! Nie wszystko, co przeżyłem miało swe źródło we mnie, ale też niejedno, co przeżyli tamci, ze mnie wyszło.

Gdy po dłuższych rozmyślaniach zacząłem sobie kolejno układać wszystkie rozwojowe etapy moich przeżyć, nareszcie całe moje życie ukazało mi się w całej swej prawdzie, w całej wyrazistości — a zwłaszcza jego rok ostatni. I nagle przestała załamywać się myśl moja w wysiłkach pamięciowych i już jasno widziałem wszystko co było we mnie, ale w tejże chwili z tego centrum, którym byłem sam, wytrysnęła myśl nowa, myśl w kilku kierunkach. Zwróciła się ku tym żywym istotom, których przeżycia moim uległy działaniom. Cóż im zgotowałem?

Rozejrzałem się po izbie szpitalnej, bo wydało mi się, że w niej rozmieszczone są twarze tych właśnie istot, których bieg życia zetknął się z przeżyciami moimi. Istotnie też w cieniu zjawiały mi się kolejno twarze widm i oczami jęły do mnie przemawiać. Tęskny smutek powiał ciężkim tchnieniem przez mroczną izbę szpitala.

Wszyscy jednak zgodnemi patrzeliśmy oczami po sobie i nie było ni cienia wyrzutu, lub żalu.

Jeszcze nie umiałem sobie zdać z tego sprawy, która z twarzy czyje nosi imię; wszelako całość poznałem nieomylnie.

Wreszcie zakwitły wokół wielkie obfitości kwiatów. Roztańczyła się izba ich barwą, nappełniła ich wonią. Po chwili kwiaty pochyliły swe głowy i zczerniały. Już tylko spopielone łodygi drobne, powykrzywiane boleśnie, obumarłe.

A woń gryzącego czadu jęła palić moją krtań. Zacząłem się dusić bolesnym kaszlem. Dwie martwe kobiety ujrzałem rozciągnięte na podłodze. Zerwałem się, aby je rozpoznać. Zniknęły.

Rzuciłem się na posłanie wyczerpany i dyszałem ciężko.

— Zabiłem dwie kobiety? dwie kobiety kochałem — i zabiłem?

Nie! nie! nie!

— — — Olgo! Olgo! czemuś to uczyniła?! Gdzie jesteś, Olgo?! czy słyszysz? Jolano! Jolano! czemuś się poddała?! Czy słyszysz Jolano?! Gdzie jesteś, gdzie? iżby doszedł cię mój głos samotny?!

A ja cóż? Gdzieżostałem? gdzie mam pójść??

Jeśli wzięłyście coś z mojego życia, jeśli z własnego coś mi dałyście, czemu ostawiłyście mnie samego sobie? Czemu?

Wyrównanie?

Czy jeszcze wyrównania nie spełniłem? Czy nie jeszcze??

Munch!! Munch!!

Masz swoją Olgę! toż oddałem ci ją, jakom przyobiecał. Za obietnicę tę uściskałeś dłoń znieawidzonego człowieka! uściskałeś! Oddałem, wyrównałem... cóż jeszcze? cóż? A ja twój szloch słyszę i twoje przekleństwo i pogardę. A uścisk twej prawicy pali mnie, ach tak pali!

Ha! I jeszcze tego trzeba było, iżbyś ty nieszczęsny człowieku otrzymał zwrot szczęścia w postaci — trupa!

Jeszcze tego było trzeba!

Ale!... ale nie ja ją zabiłem, nie ja!!

Jam ci ją zwrócił żywą...

Ale spopielily się kwiaty, zwęgliły serca, bo ona żywa przy mnie tylko być mogła...

To ona oddała ci się — trupem!

— — — W tej chwili przeleciał przez ciszę izby chichot urągliwy. To Olga zaśmiała się! Olga tryumfuje.

Odrzuciłem książkę Achimanową... Tak! precz ją odrzuciłem, albowiem nowy znów, ciężki, jak wina, przykaz zeń wyczytałem: „Cudzą winę weź na się, aby pełne było wyrównanie.“

A więc tak! Cudzą winę...

Jakaż jeszcze wina ciąży na przeżyciach naszych? Na przeżyciach tych wszystkich błakających się tu w cieniu twarzy?

Jedna jeszcze! jedna, której ofiarą padła — Jolana...

Wzięta dobrowolnie na się ofiara, winy cudzej nie zmniejsza, ale ją odkupić może.

Iżby pełna była ofiara, działaniu jej uledez musi sprawca wszystkiego zła, bo jeno sam siebie człek zbawić może, od wyższych duchów jeno odkupienia moc czerpiąc...

— — — Więc tak! Z pogodą w sercu, z uśmiechem na ustach biorę na siebie winę Olgi.

Niech Munch nie przeklina żony, że mu się oddała — trupem. Niech wszystko, co ma jeszcze w sobie z zwierzęcia wyżygnie na mnie, aby się moja dusza z zwierzęctwa oczyściła ostatecznie. Niech przyjaciel mój jedyny otrząśnie się, iżem ja to jest trucicielem Jolany. Niech Achiman — nawet on! — niech potępi... a może ja będę pierwszym człowiekiem, którego on potępi.

A potem? — potem wśród pohańbienia niech mnie powiodą tam, gdzie powiedli Jaszczuka!...

O bracie Jaszczuku! jużem uczynił, jako ty, o dobry, wielki duchu-zbrodniarzu!

Tak! Tak chcę! tak uczynię! Jedna niech mnie zobaczy Jolana takim, jakim jestem; jedna Jolana niech mnie ujrzy wyzwolonym.

Oto jest wyzwolenie z ludzi. Oto zdobyta miłość Jolany! Oto zdobyte jej spojrzenie; oto komunja jej serca...

Tak! tak chcę! tak uczynię!...

Dnia pewnego odwiedził mnie Darjusz. W pierwszej chwili byłem tem przerażony i zgnębiony.

Uczucie ulgi na myśl o wyzwoleniu się z wszystkich ludzi załamało się w chwili, gdy ujrzałem przed sobą kredową twarz przyjaciela.

Niebawem jednak przekonałem się, że dobrze się stało, iż przyszedł do mnie Darjusz. Podświadomie bowiem zdałem sobie z tego sprawę, że przeżywam ostatnie dni mojego życia. Dni te jednak zdały się przeciągać, że końca jeszcze nie widziałem i doznawałem tylko dziwnego wrażenia, jakobym wciąż szukał dookoła siebie człowieka, któryby był zdolen nagłym czynem przeciąć to oto bytowanie moje.

A więc z jednego jeszcze człowieka, z człowieka nieświadomego nie byłem wyzwolony. A człowiekiem tym nie był Darjusz. Czulem to wyraźnie, zresztą nie rozmawiałbym z nim tak swobodnie o ciężkich przeżyciach ostatnich miesięcy.

Darjuszowi wdzięczny teraz byłem za jego odwiedziny; dopomógł mi uprzytomnić sobie dokładnie wszystko co się stało i przypomniał wszystkich bohaterów mojego dramatu, który — śnać dobiegał do końca. Przedewszystkiem zaś dopomógł mi w tem, że ujrzałem sam siebie w bardzo wy-

rażnych konturach. I rzecz dziwna: w tej chwili patrzałem na się jakoby z oddalonej planety na jakąś nikłą istotę. poruszającą się w mrowiu zamieszkałem na globie ziemskim. Tak! jeszcze się poruszałem. Może i słuszna była teoria Darjusza, głoszona wówczas, w więzieniu, o społeczeństwie wszów?!...

— — — Nie pytał Darjusz o moje zdrowie, ani chciał wiedzieć co będzie dalej, co zamierzam, jeżeli dane mi będzie jeszcze cośkolwiek zamierzyć własnowolnie. Urywane jego pytania zmierzały wyraźnie do ostatniej już rozmowy. Darjusz chciał odemnie wyznania.

Rzekł wreszcie:

— Życie twoje i życie moje potoczyło się w pełnię wewnętrznego ruchu. Nie żyliśmy ubogo, prawda?

— Istotnie, Darjusz! — westchnąłem — pełnię życia żyliśmy. Załamałeś się w rewolucji, a ja?...

— I ty w rewolucji załamałeś się.

Darjusz zamyslił się i rzekł po dłuższym milczeniu:

— Każden człowiek przeżywa raz rewolucję w czas jednego swego bytowania. Każda społeczność organiczna przeżywa rewolucję w czas jednego swego bytowania, które nie trwa dłużej, ponad jedno tysiąclecie.

Szczęśliwy człowiek ten, który w rewolucji nie pada, jeno się odradza.

— Tyś się narodził od nowa, Darjusz!

— Narodziłem się od nowa.

— Ja zaś uległem. Przyspieszyliście moją rewolucję i uległem.

Darjusz pomyślał chwilę i rzekł:

— Dokonanie się w duchu jednostkowym rewolucji uzgodnione być musi z dokonującą się lub przygotowującą

rewolucją zbiorową. Gdy nie masz zgodności tej, duch jednostkowy rewolucji ulega i pozostaje mu jeno odrodzić się aż dopiero w nowem bytowaniu, w nowej formie.

— Więc to już koniec mego bytowania...

Niedaleki — sędzę.

— Wiem.

Chwila milczenia.

— Co w sobie czynić masz, — ozwał się wreszcie Darjusz — wiesz chyba. Achiman przysłał mnie do ciebie jeno dla przypomnienia. Niczego nowego objawić ci nie zlecił, jeno przypomnieć kazał. Wiesz wszystko?

— Wiem.

— I Achiman rzekł mi, że o tobie wie wszystko. On wiedzieć ma; iżby obcowanie jego ducha z twoim zawsze, czy w bycie tym, czy po za nim, dokonywać się mogło. On wiedzieć ma, a nie wiem, czy wie. Dlatego od ciebie niechaj dowie się przezemnie.

— Pytaj, Darjusz — rzekłem głucho — bo i tobie bardziej wiedzieć trzeba, niśli Achimanowi. On jeżeli nie wie, to i sam dowie się; tobie trzeba mego objaśnienia.

Przeczuwałem do czego zmierza Darjusz i jałem pastwić się nad samym sobą. Tak trzeba! — sądziłem.

Nagle twarz Darjusza zmieniła się do niepoznania; ukryty niepokój krążył w żyłach pod skórą jego bladego oblicza. Chwycił mnie za rękę i rzekł głosem wzruszonym, pełnym utajonego lęku;

— Tymonie! Ostatnie stawię ci pytanie. Niepokój mnie ogarnął na skutek wszystkich życia oczywistości, które we mnie wołają straszliwym jakimś skowytem, że one nie kłamią.

Życia oczywistości nie kłamią! a ja im na przekór wołam: kłamiecie! Wnętrzne bowiem moje czucie woła: nie-

prawda! Tymon nie zabił Jolany! Tymon nie zabił Olgi!
Tymon nie targnął się i na własne życie!

Tak oto wołam, ale oczywistości życia chcą wołaniu temu kłam zadać. Tymonie, rozstrzygnij! Tymonie! czy otrułeś Olgę? czy otrułeś Jolanę?

Drżąc począłem na całym ciele. Nie mogłem słowem odpowiedzieć; jałem tylko kurczowo ścisnąć dłoń Darjusza. On zbladł aż do białości kredy.

— Milczysz? — wyszeptał w strasznym przecuciu.

Cisza. — Nagle...

Nie wiem co się stało. Poczulem tylko straszliwy ból w krtani i wydało mi się, że jakaś niewidzialna, przepotężna dłoń dobywa mi z gardła owe straszne, nieprawdziwe, potępiénce słowo i ciska je prosto w pierś przyjaciela.

Jak marmurowa kolumna jął posuwać się Darjusz ku drzwiom.

W tej chwili nie byłem pewien, czy odpowiedziałem na pytanie? czy przyjaciel napewno odpowiedź mą usłyszał?

— Zabiłem!! — krzyknąłem przyjacielowi; a on raz jeszcze spojrzął na mnie — i znikł.

Tak oto dokonało się ostateczne moje z ludzi wyzwolenie. Teraz rozumiałem, że już czas na mnie. Już dalsze bytowania mego chwile, to chwile stracone, zbędne. Świadomość taka, to pełnia dojrzałości człowieczej; osiągnąwszy ją, można dopiero wiedzieć, czy czas już się dopełnia, iżby duch jednostkowy sposobił się na formy swej przemiany.

— — — Jakkolwiek w ostatnim czasie zdrowie moje polepszało się bardzo wyraźnie, to jednak wiedziałem, iż duchem wkraczam już w nową sferę bytowania; a ciało? — ciało podążyć musi w bardzo krótkim czasie tam, gdzie mu

pójść każe przykaz wyższy; bo nie żyje ciało ni dnia więcej nad te, które potrzebne są rozwojowi ducha.

— — — Długie mijały noce i długie dni, a ja trwałem w rozmyślaniach, sposobiąc się uparcie na przyjście dnia wyzwolenia.

Twardość miałem w duszy i mrozące zimno. Dopiero po niejakim czasie uczulem w sercu łagodne tchnienie zapomnianej tęsknoty. Razu pewnego zasnąłem z dziwnie błogiem uczuciem, i potem... potem kojąca tęsknota kołysała mnie po fali przypomnienia, a gdzieś w oddali wyczuwałem płynącą w niezmierzonej przestrzeni duszę Jolany. Tak! Jolany to była dusza. Też same drgnienia; też same uczucia nawiedzały mnie, co wtedy, pod dachem domu Achimanowego. O! błogosławiony bądź domie pokoju! błogosławione bądźcie oddrzwia tego domu, iżście szeroko rozwarły się przedemną w dzień udręki i bólu życia. Błogosławione bądź ognisko, pod ciepłem którego wzrastała dziewczyna czarnooka, której białość była hostji białością.

Po wielekroć błogosławiony bądź starcze, iżś życiu wydarł dziecię, aby życiu dać dziewiczość Jolany. Bo życie moje w jej promieniu znalazło światłość nieznaną.

— — — Oto spopielone ostawiam kwiaty, zwęglone uczucie, spalone żywcem kochanie. Wzięłaś je, Olgo! wszystkie i uczyniłaś, co zechciałaś. Jeno nie wzięłaś mi duszy Jolany. Trucizna twoja naszych dusz nie sięgła. Do Jolany tęskni moja dusza, do niej płynie pełna pokoju i wielbiącego, cichego zapomnienia...

Na modlitwie do duszy Jolany schodziły dni mojego życia. I choć nie wiedziałem, co będzie, choć nie umiałem nawet myśleć o tem, co się stanie, czulem, iż schodzę z tego świata, aby połączyć się z duszą Jolany i złożyć jej w ofierze

tę najstraszniejszą krzywdę, którą wziąłem na się, pozostawiając na ziemi o sobie jeno pamięć złoczyńcy, mordercy, truciciela.

Tego chce wyrównania konieczność. Ofiarą niech zrównam się z duszą Jolany, iżby moją wzięła w posiadanie, iżby stała się w nas ostateczna harmonja, a błysło nam słońce miłosnego ranka.

Siostra miłosierdzia z uczuciem głębokiej litości patrzyła na mnie i miałem wrażenie, jakoby starała się powstrzymywać postępy wracającego mi się zdrowia. Nie rozumiała mnie przecież. Zresztą wszystko co miałem w sobie z tych pierwiastków, które wziąć mogłem tam, gdzie się miałem spotkać z Jolaną, zazdrośnie tailem w sobie, iżby ich już nie dotknął ziemi pył.

Mijały długie dni kontemplacji. Ciało moje coraz mniej odczuwało potrzeb: sen wydał mi się zgoła zbytecznym, pokarmu prawie nie przyjmowałem, krom źródlanej wody.

Po niejakim czasie wydało mi się ciało moje czemś zgoła zbytecznym, raczej uciążliwym balastem przez samo swoje istnienie. A jednak musiało jeszcze mieć jakiś cel swego bytu. I jeżeli była we mnie jeszcze jaka udreka, to chyba ta, że nie mogłem sobie jasno uprzytomnić celowości swego ciała.

Razu pewnego przypomniał mi się ów niewiadomy człowiek, z którego pono jeszcze nie byłem wyzwolony; ten człowiek ostatni, ten niewiadomy. Wreszcie doszedłem do przekonania, że między nim a mojem ciałem musi być jakiś związek, skoro pytania, obracające się około dwu tych istot były jedynemi zagadnieniami, na które nie miałem jeszcze rozwiązania. Wszystko inne było mi już wiadome. Ta jedna

myśl jeszcze, myśl o stosunku niewiadomego człowieka do mojego ciała dręczyła mnie ustawicznie. Wreszcie zrozumiałem, że ciało moje ma jeszcze ten cel, aby onemu niewiadomemu człowiekowi było w czemś pomocne. Jakiś utajony w tem czułem przykaz, a przykazowi temu chciałem być posłuszny. Może po to tylko istnieje jeszcze ciało moje, iżby przyczyniło się do mojego wyzwolenia z ostatniego z pośród ludzi?

Pytanie to przeistoczyło się prędko w dogmat. Uwierzyłem weni, dlatego począłem według sił znów odżywiać moje ciało i starałem się je krzepić snem, o ile mnie nawiedzał.

Mimo wszystko nie przestawałem tęsknić do Jolany i rozumiałem, że leżąc w szpitalu, nie przybliżę się do niej, ale że winienem szukać z nią styczności. Między ciałem i duchem musi być jeszcze łączność, a jeśli mój duch nie jest dość silny, iżby zdołał siłą swej tęsknoty i woli obcować z duchem Jolany, niech pomogę sobie w tej chwili bliskością ciała Jolany!

Począłem myśleć o jej grobie. Grób czułem w tej chwili żywym, pełnym przedziwnych misterjów, dokonujących się za przyczyną dusz obcowania. Może Jolany dusza tęskni? może mnie szuka, a znaleźć nie może na skutek ciągłej jeszcze z ciałem pogrzebionem łączności?

Achiman nad jej grób nie zachodzi; Achiman uwięziony. A Darjusz? — Jeśli Darjusz odwiedza grób Jolany — czy zdolen jest z duszą jej zawiązać porozumienie?

Czułem, że mojego przyjścia czeka Jolana. Postanowiłem odszukać jej mogiłę.

Jedynym sprzymierzeńcem, gotowym mi dopomóc, mogła być siostra miłosierdzia. Myśl ta wydała mi się bardzo

szczęśliwą, tem bardziej, że sojusz taki nie zadawałby kłamu mojej świadomości wyzwolenia się z ludzi, albowiem i siostra z ludzi była wyzwolona!

Jąłem układać plan. Przedewszystkiem musi mi stwierdzić siostra, gdzie jest grób Jolany, a potem wyprowadzić mnie z szpitala potajemnie. Niczego bowiem nie chcę już od ludzi, żadnych nie stawię im prośb, żadnych nie przyjmę usług. Zresztą nie wypuszczonoby mnie, bo choroba — powiedzą — nie pozwala, a pomyślą: prawo nie pozwala. Bo ja zapewne z szpitala mam pójść do więzienia.

Nowa myśl! Tak! do więzienia! Tam gdzie Achiman! Gdzie był Darjusz, gdzie Jaszczuk.

Istotnie — więzienie, to dom wszystkich znakomitych ludzi, których znałem. Zacząłem wierzyć w swoje wartości.

O! jakżebym był rad do niedawna na samą myśl o dziele losu tamtych pięknych ludzi; jakżebym był szczęśliw na myśl mieszkania pod wspólnym z nimi dachem, pod jednym dachem Ideji!

Dzisiaj już nie!

Dzisiaj i z nich jestem wyzwolony, dzisiaj już tylko Jolany szukam! Nie mogę przeto wyjawić nikomu zamiaru odszukania grobu dziewczyny, aby mi nie przeszkadzano.

Niebawem cały już plan miałem gotowy. To też gdy z rana weszła do izby siostra miłosierdzia, nieszczęsna Celka, Jaszczukowa niewierna dziewczyna, a ja, jak zawsze o tej porze od szeregu już dni ubrany w szpitalny płaszcz siedziałem przy oknie, ozwałem się do niej w te słowa:

— Siostrze, czy życzysz mi dobrze?

— Jeśli komu dobrze życzyć mogę, to panu — odparła spokojnie — Ale na cóż się przyda panu i największa moja życzliwość? cóż ja mogę?

— Możesz, siostrze. Spełń tylko jedną moją prośbę...

— Jaką to?

— Chcę wiedzieć, gdzie jest grób Jolany, córki Achimanowej.

— Czy trzeba to panu wiedzieć?

— Trzeba!

Siostra zamyśliła się

— Uczynisz to dla mnie, siostrze? Ostatnia to prośba moja; innych nie mam już życzeń i o nic nikogo prosić nie będę już.

Siostra rzekła po chwili:

— Tego mi nie wolno... Ale... ale uczynię to dla pana.

— Bóg niech ci wynagrodzi, siostrze! — rzekłem rozczulony i uściskałem jej szorstką od pracy dłoń.

— Męczysz się pan, chcę panu ulżyć, chcę dopomóc. Dzisiaj po południu mam wolne cztery godziny. Cmentarz tuż pod murami szpitala. Pójdę, odszukam. Do wieczora wiedzieć pan będziesz, gdzie spoczywa Jolana.

O jakże promienne były dla mnie chwile oczekiwania tej wiadomości! O jakże przydługie godziny dnia tego!

Wreszcie zjawiała się siostra i niespokojnie podeszła do mnie. Zerwałem się z łóżka, na którym leżałem w oczekiwaniu szczęśliwej wiadomości.

Pytać jąłem natarczywie:

— Gdzie?! gdzie?!

Ona zaś patrzyła na mnie pełna niepokoju i myślała śnać zgoła o czem innym.

— Czy odnalazłaś, siostrze, grób Jolany? — pytałem natrętnie.

— Odnalazłam... ale...

— Mów, siostrze, gdzież on?!

— Siądź pan spokojnie — rzekła — bo tu o ważniejsze rzeczy sprawa się toczy.

Przyciszyła głos, gdy usiadłem.

— Panie! co robić? Boże! Boże miłosierny!

— Co się stało, siostrze?

— Panie! posłyszałam, że jutro mają pana zabrać stąd.

— Mnie zabrać?

— Do więzienia śledczego.

Popatrzyłem na siostrę z całym spokojem. Ona wlepiła swe biedne oczy w moje, jakoby wypatrzeć chciała, co się w nich dzieje na tę wiadomość. Ale prędko się uspokoiła, widząc, że wieść ta żadnego na mnie nie wywarła wrażenia.

— Nic to, siostrze — rzekłem wreszcie obojętnie. — Daleko ważniejsza jest dla mnie wiadomość o miejscu spoczynku ciała Jolany. Mów mi o tem.

Siostra patrzyła na mnie przez chwilę niespokojnie i pytająco, wreszcie jęła mówić:

— Nie mogę na to patrzeć obojętnie! Pan nie może czekać, aż tu przyjdą. Zabiorą i zamkną. Cóż panu wtedy zależeć może na stwierdzeniu miejsca spoczynku Jolany? Na grób nie puszczą pana... Pan musi się ratować!

— Ratować? I po cóż?

— Choćby dlatego, by móc odwiedzać grób Jolany.

— Chcę raz tylko jeden stanąć nad mogiłą.

— Więc choćby dlatego... Panie! już wiem co czynić. Pan tu nie może pozostać dłużej. Wyprowadzę pana dziś w nocy, wskażę grób Jolany, a potem — potem niech pana Bóg prowadzi... byle dalej, byle pan zniknął ludziom z oczu.

Nastąpiła długa chwila milczenia, którą wreszcie przebrałem:

— Poprowadzisz mnie siostrze, na mogiłę Jolany?

— Dzisiaj w nocy.

— Bóg niech ci wynagrodzi!

— Nie trzeba...

Siostra otarła łzę fartuchem i jęła łkać, że dosłyszałem jeno urywane wyrazy:

— A potem co? potem co?

Popadłem w głęboką zadumę. Przypomniały mi się chwile straszliwych rozterek i wewnętrznych targań. Uczucie którego dawno już nie zaznawałem, znów ozwało się we mnie, szarpnęło raz i wtóry i znikło.

Ciemno już było w izbie szpitalnej, gdy spostrzegłem, że jestem sam. Ogarnął mnie niepokój męczącego oczekiwania; zwolna jednak jął się układać w ciche skupienie. Zacząłem sposobić się do przeczuwanego misterjum na grobie Jolany.

Czyż byłem gotów? — Nie jeszcze! Czuję potrzebę uwarstwienia w sumieniu wszystkich, tak na pozór sprzecznych we mnie wartości.

Jąłem staczać sam z sobą bój zacięty. Dwie moce sprzęgły się we mnie, żrąc się i mocując, a żadna ustąpić już nie mogła. Trwało długo to zmaganie się, aż wyczerpany z wszystkiej wewnętrznej władzy, ległem niemocny, półzemdłony; ale już ostateczna życia energja tak się zśrodkowała w swym ostatnim skurczu, że działanie jej ustać nie mogło ani na chwilę tę, która potrzebna była dla wytchnienia, aby znów walka z nową siłą rozpocząć się mogła; walka trwała bez przerwy. Teraz myśl wystąpiła na arenę.

Jęły przesuwać mi się przed zbolałem czołem, niby różańca misterne paciorki, wszystkie te moje miłosne zaklęcia, które wreszcie rozpały w duszy Olgi do białości jej żądze kochania i niepohamowanej namiętności.

A kiedy pierwszy przesytu wyczułem posmak, jałem uświęcać miłość naszą kadzidłem wieczności. Kobieta na ołtarz wewnętrznego kościoła wywyższyłem, a zasię sprawowałem obrządek miłości według wskazań celów ostatecznych. Ale był to tylko obrządek!...

Tak oszukałem ją, tak oszukałem siebie.

Nagle koścista dłoń przykazu, dobrotliwa dłoń Achimana ściągnęła mnie z ołtarza i powaliła na najniższym z stopni jego. Wtedy zacząłem śpiew głuchego pojęku i kajania się w prochu mego kościoła. Jako ten śpiew upodłonego tłumu, ten śpiew niewolników, żebracza modlitwa... A ona... wywyższona kobieta, ostała tam na ołtarzu otulona w rozkoszną woń kadzidła.

Jałem się dźwigać pod wpływem wielkiej mocy dwojga oczu wpatrzonych we mnie z wyżyny zgoła innej sfery.

Białość hostji wiodła mnie odtąd pomimo ołtarza, pomimo błękity rozścielonych wokół pasm wonnego dymu, pomimo smętne ognie, tłące się w mrocznej świątyni.

Szedłem w zwyczaj...

A ona? Rozmodlona w sobie kobieta, w miłości tonąca na ołtarzu mego kościoła, jęła kościół ten przebudowywać tak, iżby był zawsze przystosowany do jej miłosnych pożądań. I zwała to miłością wyższą i wierzyła w jej wieczność.

W duszy mej dokonywało się rozszczepienie; koniecznością niewiadomą, uparty proces przeinaczał we mnie wszystkie wartości. Jałem wreszcie odróżniać wieczność od dnia, jałem żyć wartościami trwałymi. Wtedy też zarysowały się przed memi oczami konieczności zakończeń, te nieomyślnie sprawdziany dążeń dnia. Aż wreszcie nastąpiła chwila zakończenia dnia miłości, aby mogła narodzić się we mnie miłość, której nie zbraknie tchu w drodze w nieskończoność.

I dzień ten przyszedł; a dokonała dzieła ręka ta, która chciała mieć miłość w sobie zamkniętą.

I spopielily się kwiaty i zwęglily serca . . .

— — — Tak rozmyślając, tonąłem w nurtach minionych przeżyć i znów zaczęły ogarniać mnie te wstrząsy, które to pożerały mojego życia wszelką władzę w czas ostatnich, dręczących miesięcy, a z których przecież, z pomocą trującego czadu, z rąk miłowanej kobiety, uwolniłem się był ostatecznie.

Powrót strasznych koszmar przywrócił mi znów przytomność. Zerwałem się nagle i spojrzałem wokół siebie. Ciemna izba szpitalna, a za oknem posrebrzona bladym miesiącem połyskiem mgła nocna; wszędy zaś cisza i wielkie oczekiwanie niewiomego.

Posłyszałem szmer; cicho skrzypnęła klamka u drzwi wchodowych. Weszła bez szelestu siostra miłosierdzia, otulona w wielką, szarą, wełnianą chustę. Podeszła do mnie i zarzuciwszy na mnie chustę podobną, szepnęła:

— Czas! Pan gotów?

— Gotów.

Ujęła mnie za rękę i cicho wyprowadziła z murów szpitala. Jak dwa upiory sunęliśmy bezszelestnie poprzez blade srebro nocnej mgły. Nie czułem nic, krom skurczu dłoni siostry i nie słyszałem nic, krom przyspieszonego oddechu jej ust. Minęliśmy bramę cmentarną i zatrzymaliśmy się na chwilę, jakoby w bezwiednym zamiarze chwycenia tchu i rozpatrzenia się wśród niezliczonych grobów, krzyżów i kamieni.

Wtem od strony bramy cmentarnej ukazała się tajemnicza jakaś sylweta postaci zgarbionej o rozmiarach ogromnych. Postać przybliżywszy się do nas, wsparła się o łopatę, a zdała się rozpościerać ciemne nad nami skrzydła.

Mgła to była pewnie i zmęczona myśl moja, a jednak postać jakby mówić jąła cichym, męskim starca głosem.

Słyszałem potem głos siostry:

— Nie stawajcie na drodze życia człowieka.

— Grabarzem jestem — odparła postać starca —
Życie dopełniam, jeśli dopełnienia trzeba.

A siostra rzekła:

— Nie jeszcze! Poniechajcie!

— Nie wasza, ani moja tu wola...

— Grabarzu ludzi! — westchnęła siostra, a on odparł
echem:

— Ludzkiej męki — I zwrócił się do mnie stary grabarz i wyciągnął dłoń i rzekł mi:

— Bracie! odszukaj mogiłę, a w Ziemi znajdziesz szukane Niebo.

Poczem zwrócił się starzec do siostry:

— A wy, siostro, zawróćcie, nie trzeba waszej obecności.

Siostra ścisnęła mi rękę na pożegnanie i zniknęła za brama.

Cień grabarza jął posuwać się w głąb cmentarza; bezwolnie podążałem za nim, potykając się raz wraz o kopce rozlicznych mogił.

Grabarz wreszcie stanął nad świecącym, żółtym, świeżo ruszonym kopcem, wziął wilgotnego piasku garść, cisnął mi nim w oczy i znikł.

Stałem nad mogiłą Jolany.

Mogiła żywa była, przepojona aurą Jolany. Przyklęknąłem i palcami pieścić jąłem wilgotny piasek i czułem, że dotykam cząsteczek dziewczęcej istoty. Odnalazłem Jolanę; znów jestem jej bliski, bo dusza jej jeszcze jest w bli-

skości ciała, które spoczęło pod tym miękkim, wilgotnym piaskiem. Jąłem całować mogiłę i w tejże chwili uczułem wyraźnie bliską obecność Jolany.

— Ty jedna wiesz! — szeptałem. — Ty jedna wiesz, że jestem przy tobie całą mą istotą. Ty jedna znasz tajemnicę moją! Oni wszyscy... ach! potępili! oni niepotępić nie mogli, bo nie wiedzą prawdy... Ty jedna wiesz... Jolano! Jolano!

Modliłem się długo i czułem, że modlitwa przybliżyła mą duszę do duszy Jolany. Zapora, która jest jeszcze między nami, moje człowieczeństwo zewnętrzne, kruszeje zwolna, ale stale.

Wyzwolenie moje zbliża się. Pierwszy i główny akt dokonała trucizna Olgi, a dalej już łatwiej z ludzi jąłem się wyzwalać, aż wyzwoliłem się nawet z przyjaciela. Wzięciem cudzej winy na się wyzbyłem się ostatniego przyjaciela.

Wciąż wszakże czułem, że jest człowiek, z którego zwolnić się nie mogłem; i teraz oto świadom jestem, iż on jeden stoi wpoprzek drogi, po której dążę do ostatecznego połączenia się z Jolaną. O zjawienie się tego ostatniego człowieka jąłem się modlić. Po długotrwałym mroku i ciężkiej mgłę nocnej, uczułem nagle ulgę; promień jutrzeńki zawitał w mem sercu. Istotnie też pierwszy rumieniec poranka zjawił się na wschodnim kraju nieba, ja zaś kończyłem modlitwę. I wydało mi się, że niepokalana białość hostji oblicza Jolany po raz pierwszy zarumieniła się brzaskiem wschodzącego słońca, a wielkie jej, głębokie, jak toń morza oczy, spoczęły na mojej wyzwolonej duszy.

Mgła opadła i orzeźwiła kwiaty na grobach i obudziła łagodnym dotknięciem zmęczone moje oczy.

Rozejrzałem się wokół.

Groby! Groby! Groby! a wśród nich snujący się róż poranka, radość życia i pogoda.

Niebawem słońce rozlało się po wszystkiej ziemi i wniknęło także do mojego wnętrza. O! jakaż pogoda zapanaowała we mnie w tej chwili!

Powiodłem tęsknym spojrzeniem po cmentarzu, bezwiednie szukając oczami — człowieka.

I otóż jest! Opodal bogaty grobowiec z płytą marmurową, zasłany wieńcami. Pod grobowcem klęczy czarna postać mężczyzny, skulona, łkająca w modlitwie za umarłych.

Wlepiłem oczy w postać tę i nie mogłem ich odeń oderwać; tak patrzyłem długo i wółprzymotnie.

Wreszcie przeszedł mnie wstrząs, idący od wewnątrz. Doznałem uczucia nigdy jeszcze nie przeżywanego: moment oczekiwania chwili, która ostatecznie każe utrwalić się w nowej formie mej wewnętrznej istocie; to moment mego narodzenia.

Postać mężczyzny ruchem ociążalym podniosła się z klęczek i tak trwała przez chwilę.

Patrzyłem w obcego, jak w upiora, albo jako zwiastuna szczęsnej, słonecznej, nadchodzącej chwili. On rozejrzał się dookoła i — nagle zatrzymał na mnie swój wzrok i drgnął.

Długo patrzeliśmy na się w głębokiem milczeniu i ciszy.

Nieznajomy postąpił ku mnie ciężkim, a niepewnym krokiem i znów stał opodal jak twardy, ponury posąg wyrzutu.

Oczy rozwarłem szeroko i z wrażenia ruszyć się nie mogłem, a on po chwili zaczął się przybliżać. Rozpoznałem jeno, że dobył coś z kieszeni i trzymając w ręku, jął kierować ku mnie, idąc wciąż bliżej — bliżej...

Aż gdy człowiek ów stanął tuż przedemną i spojrzął mi twarzą w twarz z wyrzutem tak piekielnym, że chwiałem się na nogach, wtedy mrok jakiś niewiadomy ściemnił moje oczy i tylko jęknąłem:

— Munch! Munch!

W tejże chwili — strzał!...

Oprzytomniałem na mgnienie oka: Munch do mnie strzelił! Zachłysnąłem się krwią, ugięły się podemną kolana i ległem twarzą na mogile Jolany, ściskając ją oburącz z całej serdecznej mocy — ja, jej poza grób wierny kochanek, ja człowiek wyzwolony z ludzi!! Z ostatniego z ludzi uwolnił mnie śmiertelny strzał Muncha.

O!! bądź za to błogosławiony, ostatni mój człowieku, iżeś dobrem odplacił mi za zło.

Bądź błogosławiony!

— — — Ciepła krew moja jęła cieniutkimi strumieniami opasywać mogiłę Jolany i wsiąkać w nią, niby szukając serdecznych połączeń z zastygłą już krwią dziewczyny. Potrzebny snąc był i zewnętrzny znak spójni między nami; podobność chciała także stwarzać w nas harmonję; to też już i ciało moje — ot leży tam, na mogile bez ruchu, stygnące, a mnie jeno chyba litować się nad tym wyrazem skurczu i boleści, który na niem pozostał już nieodmienny. Westchnąłem pełnią szczęścia, czując się wyzwolony z skurczu onego.

— — — Po dłuższym czasie zbliżył się do mogiły grabarz. On to był, który przywiódł był mnie w czas nocny nad mogiłę. Stanął nad ciałem wsparty o łopatę i tak dumiał przez chwilę; poczem, nachyliwszy się wpół ujął sztywniejącą już ciało moje i z mogiły je usunął, a pobok ułożył, poczem łopatą jął miarę brać na nowy grób.

A twarz mojego ciała ku słońcu była zwrócona i podawała się światłu, iżby czytało całą mego życia prawdę. Słońce patrzyło w mą twarz, a ona śmiało weń patrzyła, a ja już nie dziwiłem się widokiem własnego oblicza, choć w całej prawdzie po raz pierwszy je ujrzałem. Już byłem po tej stronie bytu, gdzie dziw wszelki ustępuje świadomości rzeczy.

— Grześć będziesz to ciało? — ozwał się wreszcie do grabarza.

— Niech zwrócony będzie dług ziemi — odparł grabarz.

— Pogrześć trza w tej oto mogile — szepnąłem, wskazując na grób Jolany.

— Troskasz się o ciało swe? — spytał grabarz — i o mogiłę i o ciało nieżywej dziewczyny?

— Tu duszę jej czuję, to i sam tu chcę być.

— A gdy przyjdzie chwila, że nie trza wam miejsca, ni czasu?

— Wtedy prosić was nie będę, odnajdę ją — i już prosić nie będę.

— Wiadomo.

— Ale teraz jeszcze prosić mi trzeba: pogrzebaj me ciało w tej mogile. Jedna Jolana wie, że stałem się godny tej właśnie mogiły.

— I mnie wiadomo — rzekł głucho grabarz i jął łopatą drapać po surowym żwirze, że aż w powietrzu zadzwoniło zgrzytem

Umilkł grabarz i patrzył w półprzywarte, spokojne już powieki ciała leżącego pobok — i ja po chwili wzrok utopiłem w własnej twarzy.

— I mnie wiadoma twoja ofiara — westchnął znów grabarz.

Spojrzałem nań pytająco, poczem rzuciłem przed się:

— Nikt nie wie, krom Jolany.

— Ja wiem — odpowiedział grabarz.

— Jakoż wiedzieć możesz?

— Patrzę w ciebie, to i wiem.

— A cóż o mnie wiedzieć możesz, prócz tego, że masz pogrześć moje ciało?

— Nie szukaj więcej, nad to, co odnalazłeś wzięciem na się cudzej winy.

Drgnąłem, a on opuściwszy łopatę na ziemię, wyciągnął przed się obie dłonie, suche, zimne, kościste i przymknął oczy, i tak mówił, jakoby do siebie:

— Złe jest, kiedy człowiek żywy mniema, że dokonanie stało się, gdy się nie stało. Złe zasię jest, gdy staje się dokonanie człeczce bez człowieczej świadomości.

A mówiąc, przyjacielu! w udręcę swej zatopiony przeszedłeś kres przeznaczenia bez pełnej świadomości dopełnienia wyrównania; tego więc już nie szukaj, a jeno szukaj jeszcze świadomości. A gdy ją posiędziesz: znajdziesz Jolanę i nowej przemiany pracę w sobie rozpocznesz, Jolany tchnieniem ożywiony.

Wszelako pierwiej zadośćuczynić musisz świadomości najbliższych z pośród pozostałych ludzi, iżby własną w sobie stworzyć świadomość. Pójdź do nich, siebie w nich odnaleźć. i pozwól im odnaleźć się w tobie. A o mogiłę ciał nie troskaj się, bo ciało tve, które oto leży, mojej już oddane pieczy i wezmę je, jakożem wziął w pieczę Jolany ciało. Pójdź więc i czyn, co czynić masz.

Próbowałem grabarza zagadnąć, próbowałem dociec znaczenia słów jego, ale on już zgarbiony jął łopatą ziemię przewracać, a kopać mogiłę.

Mowa mi odeszła i jeno czułem potrzebę ciągłego krążenia wokół mogiły i własnego ciała martwego, tam oto leżącego w oczekiwaniu spełnienia czynności skrzydlatego grabarza.

Uczułem już wzmagający się we mnie wir okrężny i konieczność przyspieszenia ruchu.

Jąłem zataczać wielkie kręgi wokół własnego ciała, z którego tam oto ostatnie snąc uchodziło źdźbło żywego ciepła; wszelako wciąż jeszcze czułem się złączony z ciałem. Oderwać się nie mogłem, a przecież zawisnął nademną grabarza przykaz, iżbym pobieżył dać świadectwo prawdzie wśród pozostałych, albowiem wzięta na siebie cudza przewina kłam może czynić pośród ludzi żywych i dalsze rodzić zmylenia, sądy, czyny.

Przykaz ten ciążył na mnie, a od ciała oderwać się nie mogłem. Rozpocząłem walkę; a było to w walce krążenie wokół bierności. Sił nabierałem coraz to więcej, to też ruch mnożył swe obroty, a kręgi wiru stawały się coraz większe, coraz odleglejsze.

Zwolna popadałem w świadomość nieświadomości, w bezruch ruchu — a wtedy dopiero wyczułem moc, która mnie pchała w określonym już kierunku.

Stopniowo też dowiadywałem się którego z żywych nawiedzić mam; ja pół-duch krążący pośród mogił cmentarzyska.

XXIV.

Wreszcie wyzwolenie! wyzwolenie się z ludzi! tak!
i z własnego człowieczeństwa!

I już jeno mnożyć w sobie moc przeciwdziałania prze-
możnej sile magnetycznej, która nieustannie ciągnie tam,
skąd wyzwoliła się codopiero dusza już wolna i nowym zgoła
przykazom podległa.

Ale i siła ta magnetyczna ma spełnić swe zadanie: wy-
zwolić mnie z przykazu grabarza. Spełnieniem zaś jego zle-
ceń wyzwolę się, abym, duch wolny, odnalazł wolnego ducha
Jolany.

I o ilem jeszcze wczora, czy w przybliżonej mierze czasu,
tęsknił do mogiły Jolany i troskał się, azali ciało moje spocznie
przy niej, iżby poślubione było w wspólnem łożu — o tyle
dzisiaj i z tej tęsknoty wyzwoliła się moja dusza, jako że
poznała, iż nie w ziemi jest duch i nie w mogile gwiazda
mojego szukania.

Stało się tedy, że w pewnej chwili pojąłem istotę mego
zadania i ujrzałem ją tak oczywistą, że już żadne zmylenie
nie zdołało opóźnić mojego wzwyż pochodu.

Szedłem teraz w bliskość żywej ziemi, iżby stało się
zadość grabarza przykazowi...

XXV.

Ciężka noc — noc z głębi duszy płynąca. W mętnej ciemni przestraszony jęk. Oblęd oczu i bolesny palców skurcz.

Że stało się zadość krzywdzie, więc straszne brzemię przeszło na tamtego; bo on uczynił wyrównanie. Było zaś ono mnie pisane, a on mi wyrwał mą powinność, przeto wziął na się ciężar mój.

Teraz oto przerażonemi oczami Munch patrzy we mnie, choć mnie nie widzi, jeno czuje moją obecność. A jam nie przyszedł doń, iżby straszyc jego duszę, ale iżbym wyzwolił się z przykazu grabarza.

Stało się więc, że wszystek lęk życia i udręka i szarpiąca duszę rozpacz wyszły ze mnie i wżarły się w Muncha.

Ha! ha! — *Canis!*

Oto ów kudłaty pies zbłąkany, oto ów skulony w sobie pies!... Ów, który był we mnie, a wylazłszy, jął pisać karty mego życia. On to jął działać życia mego twór, artyzm moich dni, piękno mąk przeżytych.

— — — Szczeknął ostatecznie pies.

— — — Munch palnął mi w łeb.

— — — Twór mój dopełnił się.

XXVI.

Brat więzienny...
Zbrodzień...

Odmówił ostatniej pociechy kapłana.

Rzekli ludzie: zły jest i godzin śmierci.

— — — A jednak mi brat!...

Już oto szubienica gotowa; już kat rękawy zakasuje i czeka przyjscia skazańca; a ten ostatnie odprawuje modlitwy w celi więziennej.

Odczuł bliskość moją. Tęsknym powiódł wzrokiem po szarej płaszczyźnie ściany; a na jej szerokości byłem właśnie ja w tej chwili.

I jedno westchnienie moje rozjaśniło twarz Jaszczuka.

Twardo zgrzytnęły oddrzwia celi. Zabrali zbrodniarza i powiedli na stracenie.

Gdy zawisł na drzewcu, na czole jego złożyłem brata pocałunek

Jaszczuk westchnął po raz ostatni.

XXVII.

Już tylko jedno pragnienie żyło we mnie i rosło w miarę mego zbliżania się do szukanego celu.

Albowiem szukaniem duszy Jolany żyła moja dusza i równocześnie poznawała, że tam na ziemi półmartwa była i jeno tamtą duszę przeczuwała zaledwie. Jest to przecież w życiu cenny skarb, gdy dusza duszę już na ziemi choć przeczuwać zdoła. Skarb ten snąć mimo wszystko już tam byłem posiadł, dlatego zdolen jestem teraz szukać.

Czasem zda mi się, że szukając błędzę; tymczasem błędząc — szukam; a żadne zbłąkanie nie jest bez znaczenia, jest niemniej owocnem szukaniem.

Czym zbłądził, że pewnej nocy pod Darjuszowym dachem znalazła się dusza moja w bezpośrednim z nim zetknięciu?

Nie! nie zbłądziłem tym razem; wyczytałem to z oblicza przyjaciela. Spokój miała w sobie ta twarz kredowa i myśl i skupienie. Nie drgnęła, jak inne twarze, skoro bliskość moją nagle odczuły.

Wargi przyjaciela szepnęły:

— Wyprzedziłeś mnie, Tymonie! — A ja coś mówiłem, co on widocznie zrozumiał, a czego ja sam nie pojąłem.

Teraz oto już rozumiem: między nim a mną była dusza Jolany. On jej dosięgnąć nie mógł ani nie może, bo żyje

w swej dawnej powłoce; nie jest wyzwolony. Ja jej nie sięgam jeszcze, jako że spełnień w stanie wyzwolonym jeszcze nie dokonał.

— — — — —
Już też nowa zarysowała mi się droga. Czekał mnie w celi więziennej Achiman.

Wiedziałem już dobrze: gdy się za życia cielesnego dusza w duszę wkleszczy, to śmierć ciała nie zdolna ich rozerwać. Achiman stworzył we mnie życie nowe, zabijając dawne. W jednej formie dwa narodzenia! jednego przeto wcielenia zbędność w mych żywotów nieodgadnionym łańcuchu.

Jął się szept naszych dusz.

Achiman rozmawiał ze mną.

— Zdławiłeś w sobie życie — mówił — iżby życiem się odrodzić; a odrodziwszy się, zasię włoniłeś w swe życie życia dwa. Klątwa miłości powiodła cię w miłości cud.

Duchów obcowanie twoim stało się udziałem. Czegoś nie zaznał w tamtem, odnajdziesz w życiu tem; co przepelniło naczynie twego ducha, to ostało tam, to obumarło, że zbędne jeno (przemieniczne) innym duszom karmem będzie.

Bo nic się nie dzieje, krom dla ulepszenia; a dzieje się tak, choćby człowiecze zmylenie widziało w tem zło i przekleństwo.

Wiesz już dzisiaj, iżes posiadał Jolanę, bo szlakiem jej białych stóp bieżą stopy twoje.

Miłujcie się w duszach waszych, a ja podążę, iżbym wam błogosławił. . .

Słuchałem słów Achimana niby świętego szelestu aniołowych skrzydeł. Sam mówić nie zdołałem, a jednak wyjawilem wszystko sędziwemu mędrcomi. Napięcie mojej myśli i nawał uczucia, które to w tej chwili zbiegły się (rzekł-

bym — w całym życiu mojem rozproszone ptaki na jedno przywołanie zewsząd się zleciały) — silnie wraziły się w duszę Achimana. Zdało mi się w tej chwili, że dusze nasze się zrównały. Uderzyły we mnie znów myśli rozproszone i w zwartej jedności jęły mówić do mnie; a wśród nich błąkał się szept Achimana, a posłyszałem zeń jeno słowa końcowe:

— Zaprawdę doskonałość człowieczą zdobyć może jeno wola i umienie starca, okrom nieliczne duchy, które już w kwieciu życia bóstwo w sobie wywalczyły. Tymonie, błogosław Jolanę, iże w podwoje szczęścia prowadzi cię teraz, choć po przemianie formy widomej. Błogosławieniem tem niech się złączą dusze wasze.

Tamto życie dopełniło się. Wyrównanie jest.

Odszedł cię wszystek ciężar, a twór, którego jąłeś się młodzieńcem, pełny jest. I już nie będziesz sporu wiódł z upartem widmem psa, jako że wyzbyłeś się bestji onej z duszy i z tworu twego.

Co zaś przez życie w twór ten rzucałeś rwącym uczuciem niemal bezwiednie, jeno z namiętności serca, to już ci nie jest tajemne, ani nie są ci obce źródła poczynań.

Oto posiadłeś tajemnicy część tę, która na żywot ten była ci znaczona. To objawienia w sobie zamknięty promień.

Błysk poznanej rzeczywistości.

Ujrzana ducha pierwotność.

Wzgardzonej bestji przemienienie.

Wyolbrzymiony embrion formy.

Forma człowieczeństwa.

Pół-forma.

Pół-człowiek!

Człowiek!

... Teraz sądz...

Sądz, jako że teraz dopiero sądzić jesteś mocen.

Sądz i patrz... patrz i sądz... patrz w Światło.

W Światła promień patrz, który po wiele razy wymierzył
globu ostrość i okrągłość — który niepoznany tłukł się długo
po zaułkach ciemnych miasta, aż oto przyczał się w duszy
twojej, a miastu bladym połyskiem nową zapowiedział erę.

Achimana szept gdzieś się jął rozplywać, a wargi moje
powtarzały niemal bezwiednie:

— Zgasły latarnie, skoro zajaśniał promień mój; i zdało
się ciemno na ulicach miasta, choć była jasność wielka; i zdał
się niepokój, choć była cisza i milczenie świętej chwili.

Achiman dłonie swe złożył na mem czole.

To było nasze pożegnanie.



XXVIII.

Sądź i patrz... Patrz i sądz...

Patrz w Nędzę...

Patrz w Światło...

Zbolałem okiem w jasność patrzę, a drżącymi dłońmi przyglądam ostre najeżenia Nędzy, która nieodstępną była mi siostrzycą.

Zdradziłem ją — a ona, która pozostała mi wierna, a w swem okrucieństwie niezmienna aż po życia kres, teraz oto w miłości nieprzebranej podaje mi usta i dobrym, łagodnym całunkiem życie wynagradza.

Nędza-kochanka całunkiem żegna mnie...

Bywaj! o nieodstępną, o umiłowana, wierna mi do skonu serca mego powiernico!

XXIX.

Hi! hi! hi!...
Przeciągły śmiech minionej chwili — sztyd życia —
zgardlenie tymczasowości, że oto zwyciężyło trwanie.

Już cisza.

Idę — idę — idę...

Jawy sen...

Myśli niezaprzeczonosc...

Rzeczywistosc!

Och! czemu teraz dopiero Rzeczywistosc ujrzalem
w sobie?!

Czemu teraz dopiero?!...

XXX.

Wyzwolenie!

Jolana!

Wstęgi złotej jedna nić promienna; tę sobie wysnułem . .

Przędza jasnych utęsknień . . .

Droga. wzwyż . . .

Po promieniu . . .

Tam ONA . . .

Idę — idę

po promieniu w Słońce, w przypomnienie zginionego Tworu . . .

Idę — wrócę, iżby osiąść Człowieczeństwa moc.

Mózgiem niezdzierzona przeżyć tajemnica i w niej za-
błate poczynań źródło . . .

K O N I E C

Biblioteka Główna UMK



300044847795